tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 2 (1305)
7-12.01.2025
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

Robert Walenciak
Rok 2024 – kto w górę, a kto w dół?

Leon Kruczkowski
– ofiara bezrozumnej dekomunizacji

Prof. Sławomir Mandes
Sekularyzacja to proces

Gabriela Muskała
W aktorstwie nic nie jest czarno-białe

Tajemnica Orbána i tajemnice PiS-u

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
9 771509 311508 02

eprasa.pl d2b0a30df4

KONCERT

świetliki

17 STYCZNIA 2025

KLUB STODOŁA, WARSZAWA

BILETY: TICKETCLUB.PL

eprasa.pl d2b0a30df4

Jerzy Domański

Ruch poparcia dla rozliczeń

Bezcelowe jest szukanie kogoś, kto rozumie uchwałę Państwowej Komisji Wyborczej. Wszystko dało się tak zagmatwać, że co prawnik, to inna opinia na temat jej realnych skutków. Uchwała przeszła, bo dwóch członków PKW wstrzymało się od głosu. Po prostu nie wiedzieli, co jest białe, a co czarne. Woleli więc się nie określać. Ile w tym zachowaniu jest presji środowisk związanych z Kaczyńskim? Chwalą się tym politycy PiS, powtarzający jak mantrę, że presja ma sens. Tyle że to, co robili w sprawie złamania woli PKW, mieści się bardziej w obyczajach gangsterskich niż nawet w marnej demokracji. Groźby wypowiadane publicznie przez polityków PiS sprowadzają się do tego, kto będzie siedział, jak tylko dojna zmiana wróci do władzy. A za co? Za wszystkie działania próbujące rozliczać złodziejstwo wielu grup przestępczych. Odebranie im ukradzionego wymaga ogromnej determinacji: władzy, sądów, prokuratur, służb specjalnych i NIK. W większości tych instytucji bardzo sowite pensje pobierają ludzie, którzy zajmują się głównie utrącaniem rządu. I powrotem do władzy

Zachowanie trzech zastępców prokuratora generalnego, których powołał jeszcze Ziobro, to modelowy opis kłopotów, jakie ma dziś Adam Bodnar z naprawianiem tego najbardziej zdewastowanego przez PiS i Dudę obszaru. Polacy pytają, dlaczego wszystko toczy się tak wolno. Nie będzie oczekiwanych zmian bez wysłania prezydenta Dudy na zieloną trawę. Po tym, co ten człowiek zrobił i co mówi, vide – jego ostatnie, na szczęście – orędzie, w którym plótł jak agitator, wiem jedno: Polska nie będzie praworządnym państwem, dopóty za takie rzeczy, jakich dopuścił się Andrzej Duda, nie będzie kary. Sprawiedliwej. A jakże. Mają oczywiście rację ci, którzy mówią, że wiele spraw toczy się zbyt wolno, że są ministerstwa pracujące w tempie ślimaka, że obsada foteli wiceministrów przez wszystkie partie jest groźną patologią. Mógłbym jeszcze długo wymieniać cienie tej władzy. Ale gdy porównuję obóz rządzący i jego wyborców z dojną zmianą i jej ślepo wierzącym w każdą brednię elektoratem, to wiem, że potrzebny jest silny i masowy wstrząs. Bez uruchomienia społecznej energii przeciwników powrotu do władzy grup przestępczych i złodziei wrócą szybciej, niż myślimy. Przeciwstawić się im musi ponadpartyjny, obywatelski i masowy ruch. Trzeba pokazać, że naprawdę białe jest białe, a czarne musi siedzieć.

Bardzo dziękuję za życzenia świąteczne i noworoczne
i za wspieranie finansowe naszego tygodnika.
Proszę o dalszą życzliwość w Nowym Roku:
Fundacja Oratio Recta
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
z dopiskiem: „Darowizna na rzecz PRZEGLĄDU"

BĄKOWSKI

eprasa.pl d2b0a30df4

W NUMERZE

KRAJ

8 Rok 2024 – kto w górę, a kto w dół?
Nadzieje i rozczarowania

14 Kiedy nad Dunajem pojawią się kolejni pisowcy?
PiS i Orbán działają ręka w rękę

20 Lenie Zbigniewa Ziobry
Adam Bodnar nie ma lekko

24 Katolicy bez przykazań
– rozmowa z prof. Sławomirem Mandesem

32 Biblioteka musi nadążyć za czasami
– rozmowa z Mirosławem Pawłowskim

36 Szpital jak marzenie
Dziurawy oddział w Choroszczy

ZAGRANICA

16 Tajemnica Orbána, tajemnica Węgier
– rozmowa z prof. Bogdanem Góralczykiem

38 Bristol, mamy problem
Korespondencja z Wielkiej Brytanii

42 Klimat kontra sport
Problemy sportów zimowych

HISTORIA

28 Dekomunizacja Kruczkowskiego
IPN wymazuje na całego

KULTURA

46 W aktorstwie nic nie jest czarno-białe
– rozmowa z Gabrielą Muskałą

49 Qulturalia

50 Pisać jak Sapkowski
Nowa powieść o wiedźminie

52 60 wrogów i 40 przyjaciół
Irena Santor – pierwszy głos „Mazowsza"

OBERWACJE

56 W krainie kadzidła
Korespondencja z Omanu

ZDROWIE

60 Dlaczego musimy spać?
– rozmowa z prof. Moniką Białecką

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański
Ruch poparcia dla rozliczeń

23 Jan Widacki
Co przyniesie nowy rok?

31 Andrzej Romanowski
Nowa Wiara

35 Andrzej Szahaj
Wyższe szkoły zarabiania pieniędzy

45 Roman Kurkiewicz
Tylko uciążliwy czy jednak potworny?

59 Tomasz Jastrun
Rok 2024 odszedł

24
KRAJ

KATOLICY BEZ PRZYKAZAŃ
– rozmowa z prof. Sławomirem Mandesem

42
ZAGRANICA

KLIMAT KONTRA SPORT
Problemy sportów zimowych

46
KULTURA

W AKTORSTWIE NIC NIE JEST CZARNO-BIAŁE
– rozmowa z Gabrielą Muskałą

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. BERNADETT SZABO/REUTERS/FORUM

eprasa.pl d2b0a30df4

Prawo karne w państwie prawa

Nawiązując do felietonu prof. Jana Widackiego, a szczególnie do kontekstu dotyczącego definicji państwa prawa, a więc państwa, w którym szanowany jest art. 10 Konstytucji RP stanowiący o trójpodziale i równowadze władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej, przestajemy rozumieć realizację w praktyce tego artykułu. Jak to bowiem możliwe – a jest możliwe – że parlamentarzyści, tj. posłowie i senatorowie stanowiący władzę ustawodawczą, ochoczo maszerują do rządu stanowiącego władzę wykonawczą i tam się sadowią? Gdzie tu zasada równowagi i funkcja wzajemnej kontroli? Jeśli np. poseł będący ministrem przedstawi Sejmowi ministerialną inicjatywę ustawodawczą, to jako poseł będzie głosował za nią? Oj, będzie, więc stanie okrakiem na dwóch filarach władzy, które mają być niezależne. Jest i rozszerzenie tego procederu: poseł lub senator będący ministrem sprawiedliwości, czyli sprawujący jednocześnie władzę ustawodawczą i wykonawczą, ma bowiem możliwość ingerowania również we władzę sądowniczą. I to dopiero jest przypadek!

Felietony
Jan Widacki
Prawo karne w państwie prawa

Elżbieta i Teodor Makowscy

Finis Europae?

Finis Europae?
Największe zagrożenie dla Starego Kontynentu to rywalizacja konfliktu USA z Chinami
PROF. ANDRZEJ KARPIŃSKI

Rozmowa z prof. Andrzejem Karpińskim potwierdza politykę neointerwencjonizmu USA wobec UE. Przy czym recepta jest fatalna, ponieważ przyłącza się do chóru głoszącego potrzebę większych wydatków zbrojeniowych. Owszem, są też opinie na temat zwiększenia nakładów na badania i rozwój, aby polepszyć konkurencyjność. Czyli nic nowego. Przynajmniej prof. Grzegorz W. Kołodko krytykuje zbrojenia.

Artur Kozłowski

•

Cała Europa znajduje się w fazie upadku, ale szczególnie zdumiewa tak szybka degradacja najpotężniejszej dotąd europejskiej lokomotywy – Niemiec. Podręczniki historii i ekonomii będą kiedyś się zajmować – jako czymś niebywałym w dziejach – sposobem, w jaki tamtejsze elity polityczne w ciągu trzech-czterech lat najzwyczajniej w świecie zarżnęły własną gospodarkę, dotąd źródło siły i znaczenia ich kraju. Nie sposób uznać, że takie dewastacyjne działania przeprowadziły siły niezależne od ośrodków zewnętrznych. Największych spustoszeń dokonali głównie oszalali ideologicznie zieloni Khmerzy, pełniący funkcję amerykańskich podwykonawców, cyngli w dziele niszczenia potencjału gospodarczego Niemiec. Upadek tego kraju, wywołujący schadenfreude mniej rozumnego i trudniej łączącego fakty polskiego komentariatu, odbije się potężnie na całej UE, kto wie, czy nie głównie na Polsce, która, jak wiadomo, nie ma własnej gospodarki, gdyż odgrywała dotąd wyłącznie rolę niemieckiego podwykonawcy.

Rafał Wojciechowski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Na ulicach Kandaharu. Afganistan, 29 grudnia 2024 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl d2b0a30df4

Druga uchwała Państwowej Komisji Wyborczej jest **tak zagmatwana, że nie rozumieją jej nawet członkowie PKW**. Jakkolwiek by jednak kombinowali, to dwie sprawy są oczywiste. PiS w wyborach oszukiwało na finansowaniu kampanii na skalę, jakiej jeszcze nie było. A Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego nie jest sądem w rozumieniu Konstytucji RP.

•

Prezydent Duda wygłosił swoje ostatnie orędzie noworoczne. Powiedzieć o nim żenada to zdecydowanie za mało. Polityk odpowiedzialny za kompletny rozkład sądownictwa i prokuratury, demolowanie wojska przez Macierewicza i wysyłanie na placówki dyplomatyczne ludzi ośmieszających Polskę **wygłosił propisowską i antyrządową pogadankę propagandową**. Nazwanie jej orędziem to ponury żart.

•

List Episkopatu odczytany w kościołach w Nowy Rok **broni lekcji religii w szkołach i utrzymania zatrudnienia katechetów**. Ostro atakuje Ministerstwo Edukacji.

•

1229 zł miesięcznie wynosi od 1 stycznia zasiłek przysługujący osobom, których dochód **nie przekracza 1010 zł w gospodarstwie jednoosobowym, a 823 zł w rodzinie**. Widać, że potrzebna jest nowa polityka społeczna skierowana do 2,5 mln osób skrajnie ubogich.

•

Kontrola zarządzania tantiemami przez Stowarzyszenie Filmowców Polskich i powołany przez nie Związek Autorów i Producentów Audiowizualnych wykazała ogromne nieprawidłowości. **Były prezes Jacek Bromski** w ciągu czterech lat **otrzymał z ZAPA ponad 3,7 mln zł**, a od 2008 r. jednoosobowo dysponował kwotą 200 tys. zł rocznie, podniesioną w 2022 r. do 500 tys. zł. Do tego wydatki prezesa na loty w klasie biznes, alkohole, imprezy rodzinne itp.

•

Zmarł Jimmy Carter (100 lat), prezydent USA w latach 1977-1981. Doprowadził do podpisania układu w Camp David między Izraelem a Egiptem, za który dostał Pokojową Nagrodę Nobla. Jego doradcą ds. bezpieczeństwa narodowego był Zbigniew Brzeziński.

•

Zmarł Piotr Pytlakowski, reporter, pisarz, scenarzysta. Związany z tygodnikiem „Polityka". Wcześniej współpracował z „Przeglądem Tygodniowym". W 1999 r. zdobył nagrodę Grand Press w kategorii dziennikarstwo śledcze. Pamiętamy jego film „Wszystkie ręce umyte. Sprawa Barbary Blidy".

•

Prezydent Duda, ośmieszony groteskową akcją Piesiewicza, który rekomendował go do MKOl, pogłębił swoje związki ze sportem, kierując do Trybunału Święczkowskiego nowelizację ustawy o sporcie. Prezydentowi nie podoba się idea zwiększenia liczby kobiet w zarządach związków sportowych ani obecność członków kadr narodowych w tych zarządach.

•

6 mln zł kosztowała Orlen w latach 2018 i 2023 **ochrona prywatnych nieruchomości Daniela Obajtka** przez firmę detektywistyczną Invest Protect, kierowaną przez Wojciecha Koszczyńskiego, byłego oficera CBŚ.

PRZEBŁYSKI

Co ma w szafie Szefernaker

Z zawodu działacz polityczny. Po katolickim liceum w Szczecinie, z żoną, która ma licencjat zrobiony w Toruniu u o. Rydzyka. Paweł Szefernaker żali się w Radiu Plus, że chcą mu odebrać immunitet, bo jest szefem sztabu Nawrockiego. Jeszcze jeden pisowiec z amnezją. Od 2014 r., gdy partia wyznaczyła go na przewodniczącego Forum Młodych PiS, ma z czego się rozliczać. Swoją drogą, wyznaczanie przez partię szefa młodzieżówki to aberracja w stylu bantustanów. Szefernaker zrobił karierę w PiS, bo nikomu nie zagrażał. Modelowy nudziarz. Gorsza kopia Błaszczaka. Będzie pilnował Nawrockiego. Kiedyś taką rolę odgrywał oficer prowadzący. W duecie z Nawrockim wyróżniają się nienachalną błyskotliwością.

Zobaczymy, co prokuratorzy znajdą, badając decyzje operetkowego rządu Morawieckiego (27 listopada – 11 grudnia 2023 r.). Kaczyński, Duda i Morawiecki w popłochu załatwiali zaległe sprawy. A Szefernaker był wtedy przez dwa tygodnie ministrem. Nie bez powodu.

Bardzo droga fikcja

14, 21, 26, 34. To nie są liczby na kupon totalizatora. Tyle (w milionach) kosztowało nas porozumienie podpisane w 2020 r. przez Jacka Kurskiego z Episkopatem. Jeszcze w 2019 r. budżet audycji katolickich wynosił niecałe 14 mln zł. W 2020 r. już 21 mln, w 2021 r. – 25,1 mln, w 2022 r. – 26,8 mln i 2023 r. – 34,4 mln zł. Kurskiemu łatwo przychodziło wydawanie kasy z abonamentu i dotacji państwowych. Po wyborach prezydent Duda zawetował ustawę okołobudżetową, a talib PiS Świrski bezkarnie blokuje środki należne mediom publicznym. Episkopat nic nie robi, by ci synowie Kościoła stanęli w prawdzie. Wręcz odwrotnie. Ksiądz prof. Józef Kloch, przedstawiciel Kościoła w Radzie Programowej TVP, nie poparł uchwały wzywającej Świrskiego do natychmiastowego przekazania środków z abonamentu. Zajęci kolejnymi żądaniami nie chcą pomóc ledwo dyszącej telewizji.

Codzienne msze, koronki, audycje kościelne. Na wszystkich antenach. Paranoja. Oglądalność praktycznie zerowa. Fikcja. Tyle że bardzo droga.

Wielkie branie we Wrześni

Długa jest lista afer, które mają na głowie prokuratorzy. Ukradzione setki milionów złotych i setki złodziei, powtarzających za pisowskim ministrem Romanowskim: to nie moja ręka. Tak jest na górze. A na dole? Prokuratura Rejonowa w Lesznie prowadzi postępowanie w sprawie nagród, jakie sobie przyznawali urzędnicy w Starostwie Powiatowym we Wrześni. Śledztwo obejmuje lata 2019-2024. Powiat był i jest w tak tragicznym położeniu, że dla 78 tys. mieszkańców brakowało kasy na wszystko. Ale nie na nagrody dla urzędników: 101 tys., 60 tys., 36 tys., 34 tys., 29 tys. itd. Razem w 2023 r. było to 1,6 mln zł. A w ciągu pięciu lat aż 14 mln zł. We Wrześni urzędnicy pokazali, że nie tylko rząd potrafi się wyżywić.

FOT. GOV.PL, YOUTUBE, STAROSTWO POWIATOWE WRZEŚNIA

eprasa.pl d2b0a30df4

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

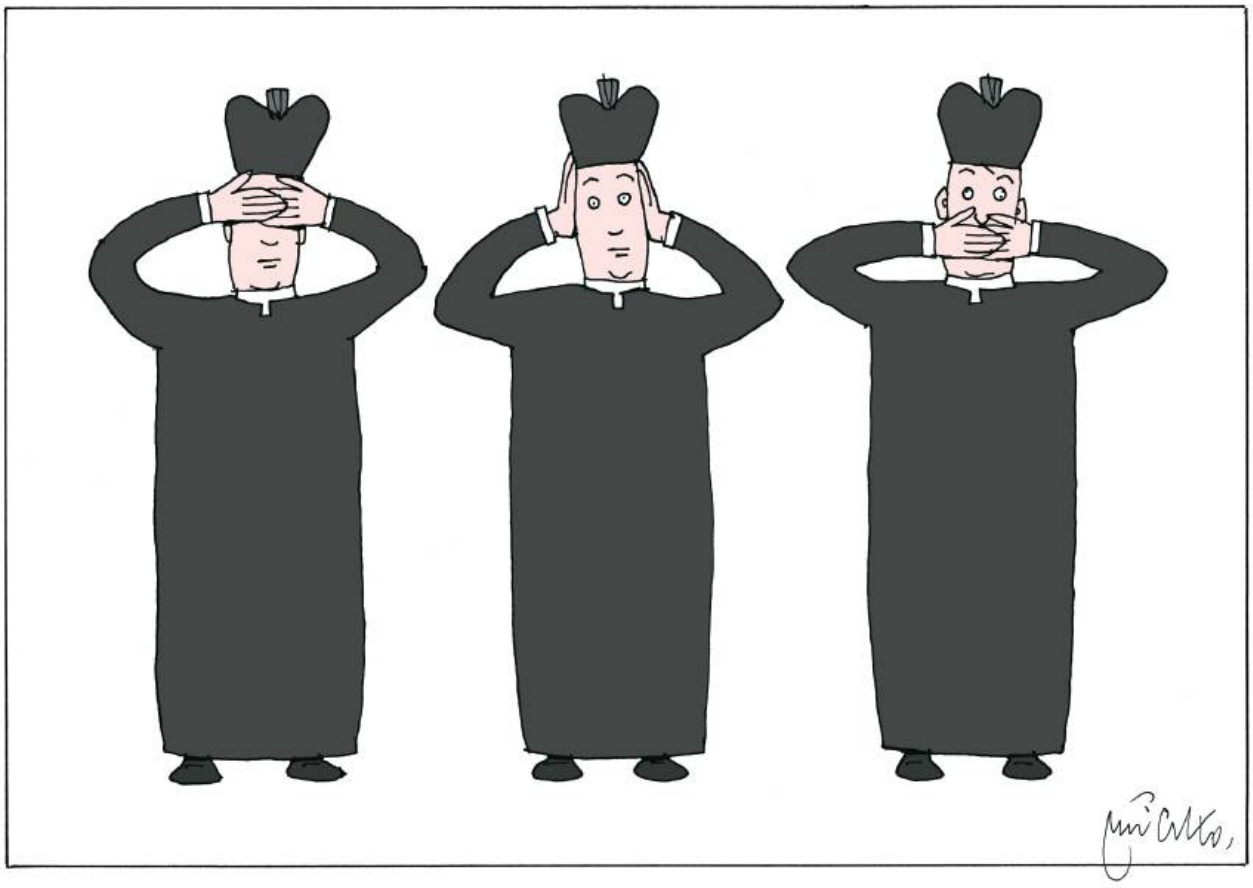

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jaka jest największa wpadka roku 2024?

PROF. ROBERT ALBERSKI, *politolog, UWr*

Jak pokazuje ten rok, warto czekać z takimi ocenami do samego końca. Największą wpadką jest decyzja PKW o przyjęciu sprawozdania finansowego PiS. Choć ta niekonsekwencja może śmieszyć, sytuacja jest poważna. Nielegalne finansowanie kampanii wyborczej ze środków publicznych to jedna z największych zbrodni, jakie można popełnić przeciwko wyborom. PKW nie chce i nie potrafi konsekwentnie temu się przeciwstawić. To otwarcie furtki, o ile nie bramy, do wszelkich nieprawidłowości, bo partie zostają z komunikatem: hulaj dusza. Wszystko to składa się na psucie demokracji i stawia pod znakiem zapytania uczciwość procesu wyborczego. Szkoda, że PKW koncentruje się na zawiłościach proceduralnych, a traci z oczu kwestie fundamentalne. Jej decyzja jest więc nie tylko największą wpadką 2024 r., ale również rzutuje na rok 2025, w którym rozstrzygną się wybory prezydenckie.

PROF. MICHAŁ WENZEL, *socjolog, USWPS*

Można wskazać wiele pojedynczych sytuacji, ale ja widzę wpadkę roku w cyklu wydarzeń – w prezydenturze. Mam na myśli sprawowanie urzędu przez Andrzeja Dudę. Chociaż tutaj nie ma wiele do omówienia, a i sam Duda przejdzie zaraz do historii. Skupiłbym się na tym, w jaką stronę ten urząd zmierza. Prezydent jest wszak politykiem, który ma mandat pochodzący z wyboru całego narodu. Jednocześnie jego rola słabnie za sprawą partii politycznych. Dlatego wpadką roku jest dla mnie sposób, w jaki wybrano kandydatów na przyszłego prezydenta. Od dłuższego czasu prezydentami są osoby niesamodzielne, podległe liderom partyjnym. Rafał Trzaskowski został kandydatem w prawyborach, których wynik był znany od początku. Z drugiej strony mamy tzw. kandydata społecznego, czyli kandydata PiS, Karola Nawrockiego. Jest on w oczywisty sposób marionetką Jarosława Kaczyńskiego. W obu przypadkach w dalszym ciągu będziemy mieć prezydenturę słabą, podległą liderom partyjnym.

WIESŁAW GAŁĄZKA, *konsultant polityczny*

Wszyscy politycy mają ex aequo pierwsze miejsce. Zacznijmy od Donalda Tuska, który popełnił błąd, źle oceniając zagrożenie powodzią i zwalając wszystko na bobry. W samej PO wpadką, która może mieć poważne konsekwencje, jest wybór Trzaskowskiego zamiast Sikorskiego jako kandydata na prezydenta. Sikorski jest bowiem człowiekiem na trudne czasy. W PiS również słabo. Kandydat Nawrocki to człowiek bez właściwości, który do niczego się nie odnosi. Do tego ucieczki i azyl polityczny na Węgrzech posła Romanowskiego. Duda sam w sobie jest wpadką. Hołownia zalicza wpadkę, decydując się na kandydowanie, bo osłabia tym ruchem koalicję. Wreszcie PSL z wicemarszałkiem Zgorzelskim, który nazywa uchodźców bydłem. To dopiero wpadka.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl d2b0a30df4

W GÓRĘ W DÓŁ

Rok 2024 – kto w górę, a kto w dół? Nadzieje i rozczarowania

Robert Walenciak

Rok 2024, rok rządu Donalda Tuska, był specyficzny. Po pierwsze, okazał się rokiem niespełnionych politycznych marzeń. Po drugie, był rokiem potężnych politycznych napięć, zapaśniczego siłowania się. Mocnego, ale na remis.

Zacznijmy od niespełnionych marzeń. Wyborcy Koalicji 15 Października liczyli, że rząd sprawnie pozamiata po Prawie i Sprawiedliwości i jego wyczyny rozliczy. Nic takiego się nie zdarzyło. Zamiatanie po PiS idzie opornie, partia Kaczyńskiego po paru miesiącach otrząsnęła się z wyborczej przegranej i coraz odważniej atakuje rządzących. A wspiera ją w tym Andrzej Duda, który w orędziu noworocznym odkrył się całkowicie w swojej stronniczości i nienawiści do nie-PiS. Mówił, że koalicja doprowadziła do chaosu w wymiarze sprawiedliwości. Mój Boże, czyli za Ziobry był ład i porządek?

Z kolei PiS liczyło, że utratę władzy zrekompensują mu problemy nowej koalicji, która będzie tak poblokowana, że nic nie zdoła zrobić, w końcu się skłóci i rozpadnie. Te nadzieje też okazały się płonne. Owszem, koalicja się kłóci, ale nie do krwi. Daleko jej do rozpadu. Barykady, które PiS wzniosło, w większości padły. Koalicja szybko odbiła prokuraturę i media publiczne.

Mamy zatem stan pół na pół. Trochę górą jest Tusk, trochę Kaczyński, politycznie mamy klincz, tkwimy i – jak mówi Tusk – „będziemy ciągle, przynajmniej do lipca, tkwili w jednoczesnym systemie prawa i bezprawia". Do lipca – do odejścia Andrzeja Dudy.

A dalej będzie tak jak teraz albo łatwiej. Zależy od wyniku.

Oto więc minął nam rok przejściowy, podczas którego pani polityka czekała na rok 2025, na decydującą dogrywkę. Dla jednych był dobry, dla drugich okazał się porażką. Zerknijmy jeszcze raz, kto poszedł w górę, a kto w dół.

W GÓRĘ

Donald Tusk

Niby wielki zwycięzca, Polska jest w jego rękach, ale przecież nic znaczącego jeszcze nie osiągnął. Jak Trzaskowski przegra prezydenturę, to i on będzie musiał ewakuować się z premierowania. Niby więc coś ma, ale wciąż niewiele.

Piszą też, że dominuje nad rządem, że taki silny. Może i silny, ale wiem, że dominować nad takim rządem to nie jest nadzwyczajna sztuka. I chyba także nie nadzwyczajna mądrość, bo łatwiej by miał, gdyby cały zespół tą łódką wiosłował, nie tylko on.

Tak oto, chwaląc Tuska, ganię go przy tym. Gdyż taka właśnie jest jego sytuacja – niby mu klaszczą, ale niczego nie skończył, jest w połowie rzeki. I albo ją pokona, albo utonie. I klops.

Rafał Trzaskowski

Ma wygrać wybory prezydenckie, potem być prezydentem i podpisywać ustawy, których nie podpisuje Duda. To jest ta nadzieja. Czy się uda?

A kto to dziś wie? Ta druga tura, w której o Pałac Prezydencki będzie pewnie walczył z Karolem Nawrockim, będzie, po pierwsze, plebiscytem, wojną zastępczą Tuska z Kaczyńskim. Ale po drugie, będzie to konkurs osobowości, bo chcielibyśmy prezydenta z pierwszej ligi, a nie królika z kapelusza. Trzaskowski, takie mam wrażenie, podchodzi do sprawy poważnie, kręci filmiki, trenuje, jeździ po kraju. Chyba wie, że nikt mu tej prezydentury nie da, ani partia, ani Tusk, ani sztabowcy, to on sam musi ją wyrwać. Bo polityk to samotne zwierzę, wbrew obrazkom, które widzimy na co dzień.

Adam Bodnar

Magik. Pisowcy wołają, że prawa w Polsce nie ma, że zamach, dyktatura, mafia, że prokuratura przejęta krwawo. No to spójrzcie na Bodnara z tą jego dobroduszną twarzą i usypiającym głosem. Wyglądu mściwego oprawcy to on nie ma. Okrzyki trafiają zatem w pustkę, ludzie z tego się śmieją.

Mam do Bodnara szacunek, bo dostał resort zabetonowany, przez lata mieli tam rządzić ziobryści, a Duda miał ich chronić. Bodnar ten beton rozkuł, przynajmniej porobił w nim sporo dziur. I swoje porządki wprowadza. Dla prokurator Wrzosek – za wolno. Dla prawicy… O tym pisałem. Efekt jest taki, że kieruje resortem na wpół zbuntowanym, na wpół obrażonym. I go prostuje. Ciężki to kawałek chleba.

eprasa.pl d2b0a30df4

Władysław Kosiniak-Kamysz

Mówią, że świetnie się czuje jako minister obrony, że pokochał wojsko i generałów. Czyli o dwóch sprawach już wiemy – że na Kosiniaka-Kamysza działa urok trzaskających obcasów. I że nikt tak nie potrafi trzaskać jak generałowie.

Ale nie jego miłość do armii sprawia, że zapisuję mu rok 2024 jako udany. Otóż w tych wszystkich grach i gierkach w roku minionym jedna rzecz była stała – PSL było na górze, przepychało to, co chciało, i hamowało to, co chciało. Jednym może to się podobać, drugim nie, ale doceńmy skuteczność, bo to w polskiej polityce towar deficytowy.

Karol Nawrocki

Dwa miesiące temu pies z kulawą nogą o nim nie słyszał, dziś jest ostatnim nabojem PiS. Bo albo wygra wybory prezydenckie, albo po PiS. Bój to będzie więc ostatni.

Choć może też być inaczej – że Kaczyński miał inną kalkulację. Bo gdyby wystawił Czarnka albo Morawieckiego, to po kampanii wyborczej każdy z nich by mu partię odebrał. A tak nie straci niczego albo niewiele. Nawrocki zatem to takie kaczyńskie mniejsze zło.

Poza tym dla mnie jest fenomenem, że do walki o stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej wielka partia wystawia człowieka z czwartego szeregu, politycznego amatora, który na niczym się nie zna i ciągnie się za nim smród kumplowania z kibolami i gangsterami. Jeżeli to ma być ta nowa jakość w polskim życiu publicznym, to ja dziękuję.

W DÓŁ

Zbigniew Ziobro

Nazywa Donalda Tuska szefem mafii. Znaczy, wyzdrowiał, bo już innym wymyśla. Tyle mu zostało. Nie ma już swojej partii, PiS wchłonęło Suwerenną Polskę, właśnie ją trawi, każdy z jego niedawnych podwładnych układa się po swojemu. Ziobro, swego czasu ulubieniec Kaczyńskiego, jest gdzieś z boku. Poza tym drży. W aferze Funduszu Sprawiedliwości prokuratorzy mają postawić zarzuty 23 osobom, Marcin Romanowski jest tylko jednym z wielu. A wśród zarzutów jest udział w zorganizowanej grupie przestępczej, więc i Ziobrę mogą wskazać jako szefa tej grupy. Zresztą słynny list Kaczyńskiego skierowany na jego ręce, by miarkował się w sprawach funduszu, stanowi rodzaj aktu oskarżenia.

Pętla się zaciska. Jeśli się zaciśnie, Ziobro będzie krzyczał, że Tusk i Bodnar to bandyci i mordercy. Jeżeli się nie zaciśnie, będzie się z nich śmiał, że fujary. Dziecinne to emocje, ale nie martwmy się tym, bo nie warto się przejmować słowami polityków, którzy lecą w dół.

Mateusz Morawiecki

Zakochał się w polityce, kijami go od niej nie odegnasz, ale czy polityka zakochała się w nim? Nie miał dobrego roku. Przegrał batalię o nominację prezydencką. Choć podkładał Nawrockiemu nogę, jak potrafił, i podlizywał się Kaczyńskiemu, prezes nie dał się nabrać.

Jeśli chodzi o PiS, wciąż jest tam traktowany jak ciało obce. Owszem, wszyscy wiedzą, że ma pieniądze, więc warto z nim trzymać, on sam udaje pisowca najtwardszego z najtwardszych, wymyśla Tuskowi, że to pyton, niebezpieczny człowiek, judasz, bajerant, grozi mu trybunałem. I nic.

To nie koniec czarnych chmur. Morawiecki drży, co wyniknie ze sprawy Red is Bad, czy jakiś skruszony go nie przytopi. Pokrzykuje zatem, pręży muskuły, ale to puste okrzyki, więcej w nich strachu niż siły.

Niby walczy, niby wciąż jest w grze, ale co to za gra, jak się jest na łasce prokuratorów.

Daniel Obajtek

Zakładają się ludzie, czy wyjechał na Węgry, czy jeszcze nie. Bo wniosek o uchylenie jego immunitetu już został wysłany.

Głośno o nim bezustannie, teraz piszą, jak za pieniądze Orlenu, 6 mln zł, firma ochroniarska chroniła jego prywatne posiadłości i zbierała kwity na posłów PO.

Odłóżmy na bok takie drobne sumy. Jak sam ujawnił, dorobił się majątku o wartości 35 mln zł, w tym 30 ha ziemi, dwóch hoteli, sześciu domów i dwóch mieszkań. Teraz pracowicie przepisuje je na fundację rodzinną, żeby się „zabezpieczyć". Ciekawe, że zabezpieczenia nie przyszły mu do głowy, gdy dawał 1,6 mld zł firmie OTS na zakup ropy, która do Polski nie dotarła.

Toczą się przeciwko niemu postępowania, m.in. w sprawie fuzji Orlenu z Lotosem, Orlen w najbliższych tygodniach ma złożyć przeciw niemu pozwy cywilne. Ciągnie go w dół sprawa Olefin III, gdzie przetracono kilkanaście miliardów złotych. Obajtek to już nie jest myśliwy, to zwierzyna.

eprasa.pl d2b0a30df4

Radosław Piesiewicz

Kasa, misiu, kasa. Wielki talent. Bo zaiste trzeba wielkiego talentu, by tak splugawić ideę olimpijską i sam PKOl, unurzać go w rozmaitych gierkach finansowych. Igrzyska w Paryżu? Przecież nie o sportowcach pamiętamy, tylko o luksusowych hotelach dla działaczy. Premie dla medalistów? 2,5 mln zł z tej puli poszło na pensje prezesa i jego zastępców. Dyskusja o sporcie? Dyskutujemy, czy Piesiewicz zarabia 100 tys. zł miesięcznie, czy tylko 38 tys. I to dalej jest ukrywane.

Mam wrażenie, że Piesiewicz (nazywają go PiSiewiczem) to człowiek naszych czasów. Ryszard Ochódzki, który przekradł się do III RP i rozwija swoje zdolności – tu kamyk z Jasnej Góry, tam konto w banku. Jedno dla ludu, drugie dla pana R.

Jacek Kurski

Całe szaleństwo Jacka Kurskiego, lekceważenie prawa i przyzwoitości teraz cofa mu się boleśnie. Nowy rząd odwołał go z Waszyngtonu, z Banku Światowego, musiał wrócić do Polski. Potem ujawniono, jak unieważniał swój pierwszy ślub kościelny, jak mu to załatwiał bp Głódź. Tfu! Teraz wybuchła afera z jego synem, prokuratura wraca do dawnej sprawy, nie rozwijajmy tego wątku…

Sam Kurski woła, że te nieszczęścia spadły na niego, bo trafił pod strzelbę Donalda Tuska. Dziadek z Wehrmachtu śni mu się więc po nocach. Można i tak mówić. Ale wtedy człowiek zaraz zapyta: a gdzie jest Jarosław Kaczyński, który przez lata go wywyższał i chronił? Gdzie jego moc? Oto upadek i bezsilność dwóch – i Kurskiego, i jego szefa.

Absolwenci Collegium Humanum

Collegium Humanum to śmieciowa uczelnia hołubiona przez PiS. Jej rektorowi, Pawłowi Cz., minister Czarnek nadał medal „Zasłużony Dla Nauki Polskiej". Za pieniądze można było tam kupić dyplomy MBA, użyteczne, gdyż za rządów kaczystów wprowadzono przepis, że do zasiadania w radach nadzorczych spółek skarbu państwa wystarczy MBA.

I ruszyło. Najpierw dyplomy załatwiali sobie pisowcy, a potem doszli inni, ludzie PO i pozostałych partii, rektorzy uczelni (!), generałowie, sportowcy… Za parę tysięcy złotych (a wielu za darmo, bo zakład pracy refundował). Czyli oszukiwali nas i okradali. Bo za oszukane dyplomy dostawali posady w spółkach i brali za to pieniądze. Oto sojusz ponad podziałami!

Przygnębia mnie ta afera, dotyczy ludzi, których chcielibyśmy widzieć w roli elit, a widzimy jako cwaniaków i oszustów. To trzeba wypalić żywym ogniem. A jeżeli rządzący wahają się w tej sprawie, bo nie chcieliby skrzywdzić swoich, mam dla nich słowa zachęty. Otóż PiS poległo nie tylko dlatego, że było bezczelne, nie szanowało prawa i szczuło. Także dlatego, że jego działaczom w głowach się poprzewracało, od łatwych pieniędzy i lewych układów. To jest ten rak, który toczył PiS, a dziś całkiem śmiało napoczyna Platformę.

BEZ ZMIAN

Jarosław Kaczyński

Och, co to się miało zdarzyć w roku 2024! PiS miało się rozsypać, spaść do poziomu 20%, prezes miał być odesłany na emeryturę i zastąpiony przez kogoś młodszego. I co? PiS stoi na równi z PO, a Kaczyński trwa, rządzi partią, nic mu się nie rozsypało, dalej mu klaszczą, zachwycając się każdym jego zdaniem. To on wybrał Nawrockiego na kandydata na prezydenta i nikt nawet nie pisnął. Znaczy się, trzyma wodze partii i trzymać będzie. I pozostanie tak, jak było do tej pory.

Nie wiem, czy to jest lepsza wiadomość dla zwolenników prawicy, czy dla jej wrogów.

Sławomir Mentzen

Konfederacja wystawiła go na prezydenta. Znaczy się, pierwszy sukces już ma. Ma i drugi, bo w sondażach prezydenckich regularnie zajmuje trzecie miejsce, jako kandydat sprzeciwu. Ale co dalej? Kolejna impreza w pubie?

Mentzen jest ofiarą zabetonowania polskiej polityki, bo Nawrockiemu nie podskoczy, PiS nie nadkruszy, pozostaje mu robienie dobrej miny do złej gry. I czekanie na ruchy tektoniczne, które tę scenę rozbiją. To się zdarza. Kłopot Mentzena (i nie tylko jego) w tym, że nie częściej niż co 20 lat.

Biskupi Kościoła katolickiego

Zabiera im Barbara Nowacka jedną lekcję religii w szkole, a oni krzyczą, jakby burzono kościoły. Że „zamykają drzwi Chrystusowi", że oto szturm ateistyczny, że wali

eprasa.pl d2b0a30df4

się wiara i w ogóle. Zaprawdę trudno znaleźć w III RP ludzi mniejszej wiary. Bo czy chrześcijaństwo upadnie w Polsce, gdy paru księży skasuje mniejszą pensję?

Chciałbym biskupów pocieszyć. Pan Bóg, szlachetni hierarchowie, nad wami czuwa. Ani telewizja TVN, ani orgie na plebaniach zbytnio wiarą nie zachwiały. Polacy wciąż chodzą na msze, Wigilia i Boże Narodzenie są dla nich ważne. Politycy PSL zaś wciąż biskupom się podlizują. A kto jak kto, ale oni wiedzą najlepiej, kto jest silny, a kto słaby.

Adrian Zandberg

Uwolnił się z triumwiratu, sam jest ze swoją partią na scenie, nie musi za nikogo świecić oczami, za żadną inną lewicę. Partia Razem zawsze uważała, i pewnie do dziś uważa, że dwie rzeczy ją krępowały, uniemożliwiały jej rozwój. Pierwsza to inne partie lewicowe, zwłaszcza SLD, które rzucały za długi cień. Ale SLD już nie ma. Cień Czarzastego nikogo nie przytłoczy. Po drugie, razemowcy mówili, że źle im w pół koalicji, pół opozycji, bo to zmusza do żyrowania rządowi Tuska tego, czego nie chcą. No to wreszcie są wolni i swobodni. W sondażach raz mają 1% poparcia, innym razem 0,3%. Czy razem, czy osobno, zawsze na marginesie.

Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik

Wylądowali miękko. Na brukselskim bruku. Czy raczej w brukselskich luksusach. W roku 2024 było o nich głośno. Gdy policja ich wygarniała z Pałacu Prezydenckiego. Albo gdy żony, ubrane na czarno, niczym wdowy, łkały nad ich nieszczęściem. Bo Wąsik w areszcie schudł, a Kamiński cierpiał pragnienie. Straszne to było prześladowanie.

Tak czy inaczej, obaj spadli na cztery łapy. Na fali wielkiego współczucia pisowski elektorat wybrał ich do europarlamentu i już o nich zapomniał. Mają luksusowe zadośćuczynienie za wierną służbę. Ale nie rekomendowałbym im zbytniego luzu, bo parę spraw nad nimi wisi i nie zostanie tak szybko odwieszonych.

ROZCZAROWANIA

Andrzej Duda

Szuka posady zagranicznej, dobrze płatnej. Na razie celuje w MKOl. Załatwia mu to Radosław Piesiewicz, szef PKOl, amator kasy i kolorowych marynarek. Pasują do siebie fizycznie, więc ta przyjaźń mnie nie dziwi. Ani te ambicje.

Jeśli chodzi o Andrzeja Dudę, spełniło się to wszystko, o czym wiele razy pisałem – że jego prezydentura ma jeden cel: pomaganie PiS i zwalczanie jego przeciwników. Konkretnie – obecnego rządu. To ten horyzont i innego nie ma. W gruncie rzeczy więc nie powinienem czuć się rozczarowany, bo przecież mnie nie zaskoczył. A jednak…

Włodzimierz Czarzasty

Zbiera mu się od dawna. Gdy lewica dostała łomot podczas wyborów europejskich, zapowiedział, że zrezygnuje ze stanowiska szefa partii. Ale nie powiedział kiedy. Dlatego przypuszczam, że będzie się trzymał tej posady jak przyklejony, bo co innego może robić? Spodziewajmy się zatem lewicy paroprocentowej, w roli wiernej przystawki. Której twarzą będzie znana intelektualistka Anna Maria Żukowska, brylująca w mediach. W sumie nie mam o to pretensji, bo skoro nie może być lepiej, niech będzie przynajmniej śmiesznie.

Szymon Hołownia

Rok temu był gwiazdą, publiczność oglądała go z zachwytem, jego riposty wyświetlano w internecie, no i opowiadano, że to nie Sejm, tylko Sejmflix. I tyle było jego. Dziś zastanawiamy się, czy w wyborach prezydenckich będzie miał trzeci, czy czwarty wynik, a może piąty. A on sam już nie wie, czy jest katolicki, czy nowoczesny, czy PSL-owski, czy jakiś inny, to wszystko się miesza.

Jego historia dowodzi, że w polskiej polityce, owszem, można zrobić show i się przebić, ale na chwilę. Bo w rzeczywistości to żaden sprint, lecz dystans dłuższy niż maraton, bez początku i bez końca. I tego Hołownia nie zrozumiał.

Kadra Polski w piłce nożnej

Podobno co drugi Polak jest kibicem. No to nie dziwmy się, że jesteśmy narodem straumatyzowanym i zezłoszczonym.

Właściwie jest coś zaskakującego w tym, że trzydziestoparomilionowy naród rozkochany w futbolu nic z tej miłości nie ma, poza paroletnim epizodem sprzed 50 lat. Bo łoją nas wszyscy, bo chłopaki w biało-czerwonych koszulkach biegają bez ładu, to bardziej skład drewna, a czy prowadzi go trener z Polski, czy zagraniczny, również wielkiego znaczenia nie ma.

A że to się nie nudzi? A może bardziej chodzi o to, że piosenkę „Polacy, nic się nie stało" fajnie się śpiewa, że malowanie twarzy na biało-czerwono też jest fajne,

eprasa.pl d2b0a30df4

podobnie jak popijanie cienkiego piwa z plastikowych kubków. Jest zabawa! A że ktoś jeszcze biega po trawie, to coraz mniej istotny dodatek.

Komisje śledcze

Co to się miało wydarzyć, jaki miał być furgot! Trzy komisje śledcze miały w pył obrócić PiS, poseł Tomasz Trela zapowiadał, że zapyta Jarosława Kaczyńskiego o brata i wyprowadzi go z równowagi. Nie pamiętam, czy zapytał, w każdym razie Kaczyński robił z dukającymi komisarzami, co chciał, zakładał im majtki na głowę. Żal było patrzeć.

Dwie refleksje w tej sytuacji się rodzą. Pierwsza, że w polityce jedną sprawą jest rzeczywistość, a drugą wygadanie i ogólna umiejętność odwracania kota ogonem. I że w tej kategorii koalicja jest słaba jak świnka morska, pardon, kawia.

Druga, że pewnie Tusk o tym wiedział. Ale rzucił do szturmu taką piechotę, jaką miał, żeby te komisje podtrzymywały uwagę, żeby gadać, żeby ludziom przypominać. Żeby to, co teraz ma zrobić prokuratura, było czymś oczywistym i bardzo oczekiwanym.

Łukasz Schreiber i Marianna Schreiber

Pisowska patologia. Para z parciem na szkło. Jeszcze się nie rozwiedli, ale już publicznie chwalą się nowymi partnerami. Marianna – Przemysławem Czarneckim, synem Rysia Czarneckiego, przecież pisowca z krwi i kości, i ze zwyczaju, Łukasz – kolejną blondynką, tym razem od modelingu. Tak się strzela oglądalność!

Potem pewnie pójdą do kościoła pomodlić się, wiadomo, Pan Jezus był pisowcem, wszystko pisowcom wybacza, a jak będzie trzeba, to i unieważni stary ślub.

A że mieli dziecko po drodze? Nie widać, by ich to frasowało. Może dlatego, że sam prezes powiedział, że dzieci głosu nie mają? Naród (pisowski) będzie zachwycony. Wszystkiego ekscytującego w Nowym Roku.

NADZIEJE

Radosław Sikorski

Miał dobry rok. Owszem, przegrał prawybory w Platformie z Trzaskowskim, ale przecież wiadomo było, że przegra. Ważne, że sporo znaczących osób go poparło. Duda blokuje mu ambasadorów, niczego nie podpisuje, ale to też nie jest wielkie zaskoczenie. Na arenie międzynarodowej Sikorski gra rolę pogromcy rosyjskich ambasadorów i legend o rosyjskich przewagach. Cóż, bardziej z niego Chruszczow niż Gromyko. Ale i tym nie zaskakuje. Swój poziom trzyma.

Dlaczego więc wpisuję go w nadziejach? Bo mam wreszcie nadzieję, że za chwilę zakończy się budowa ambasady w Berlinie i placówka zostanie uroczyście otwarta. Po 20 latach różnych działań. I Radosław Sikorski już nie będzie co roku musiał opowiadać w Sejmie, co z nią się dzieje.

Henryk Skarżyński

Henryk Skarżyński ma już wszystko – order Orła Białego, uznanie świata, wspaniały ośrodek, w którym leczy osoby z wadami słuchu. Byłem tego świadkiem – podchodzą do niego ludzie, dziękują za leczenie, mówią, że dzięki niemu słyszą, mogą żyć jak inni. Jakież więc można mieć nadzieje wobec człowieka tak spełnionego? Ano takie, że jego śladem pójdą inni. Prof. Skarżyński to postać podręcznikowa: nie wyjechał z Polski, zbudował ośrodek słynny na cały świat, leczy, organizuje kongresy nauki i medycyny, namawia do badań profilaktycznych, do zdrowego życia, do wiary w naukę. Ostatni Mohikanin w tym coraz bardziej oszalałym świecie.

Dariusz Korneluk

Współczuć mu czy gratulować? Prokurator krajowy. Pisowcy wołają, że nielegalny i że jak odzyskają władzę, to go zamkną. Ale to jego strażnicy wpuszczają do siedziby prokuratury, a nie Dariusza Barskiego. I to jemu księgowa przynosi kwity do podpisania. Oto oznaka władzy.

Pisowska część prokuratury mu się stawia, ale reszta pracuje. Na tę pracę patrzy pół Polski. Wiadomo dlaczego. Tyle przecież się nasłuchaliśmy o złodziejstwie ekipy PiS, że byłoby gorszące, gdyby obecna władza powiedziała: odpuszczamy wam, nie rozliczamy. Ale chyba wahadło pójdzie w drugą stronę, w najbliższych tygodniach powinniśmy się spodziewać aktów oskarżenia, zatrzymań itd. Nazwiska polityków, którym prokuratura chce uchylić immunitet, znamy. Po Romanowskim mają przyjść następni. Jedni czekają na to ze strachem. Ale drudzy z nadzieją. Że w końcu zaczną wsadzać.

Piotr Serafin

Człowiek Tuska. Komisarz UE ds. budżetu, zwalczania nadużyć i administracji publicznej. Tak nazywa się jego

eprasa.pl d2b0a30df4

NOWY ROK Z PRZEGLĄDEM

Kup roczną e-prenumeratę PRZEGLĄDU na sklep.tygodnikprzeglad.pl

- Nowy numer już w każdą sobotę
- E-book „Cierń szansy. Nie przepraszamy za PRL" **GRATIS**
- Dostęp do wykupionych numerów nawet po wygaśnięciu prenumeraty
- Możliwość opcji **KUP NA PREZENT**

- **INNY PUNKT WIDZENIA**
- **WYJĄTKOWY**
- **NIEZALEŻNY**
- **NAJLEPSI AUTORZY**

Zakup dostęp do naszego **ARCHIWUM**

Znajdziesz w nim wszystko od początku istnienia **PRZEGLĄDU**

Pełna oferta na **tygodnikprzeglad.pl** zakładka **ARCHIWUM**

Otrzymasz dostęp do bieżącego i archiwalnych numerów

stanowisko. Jeden z najważniejszych unijnych komisarzy, bo od spraw pieniędzy. To już nie trybik w brukselskiej machinie, ale dużo więcej.

A jakie wiążemy z nim nadzieje? Przede wszystkim w sprawie miejsca Polski w Unii Europejskiej. Rząd Tuska działa ponad rok, więc już się przyzwyczailiśmy, że nas w Brukseli chwalą i trzepią nam marynarki. Teraz czas na jakieś bardziej konkretne wyrazy uznania – choćby w sprawie transferów środków z KPO. Lub tych na odbudowę Kotliny Kłodzkiej po powodzi.

Druga rzecz – przez lata PiS malowało obraz Unii jako siły obcej i wrogiej. Gdzie mówią w obcych językach (i nie jest to węgierski). Zamkniętej na Polaków. Pora to zmienić.

Agnieszka Dziemianowicz-Bąk

Każe na siebie mówić ministra, co mnie, człowieka z siwymi włosami, wprawia w zakłopotanie, że się pomylę. Poza tym pracowita i ambitna. Jej Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej wygenerowało w minionym roku wiele sensownych i bardzo potrzebnych rozwiązań, takich jak renta wdowia, program „Aktywny rodzic", wydłużenie urlopów macierzyńskich dla matek wcześniaków itd.

Podobają mi się te działania, widzę je zresztą w szerszym kontekście. Otóż Polska, po okresie lat 90., kiedy praktykowaliśmy thatcheryzm, zaczyna się europeizować, zaczyna do nas docierać, że może być inaczej. Ludzie chcą przyjaznego państwa, a nie dokręcania śruby. Poza tym siłą lewicy długo byli politycy kompetentni, użyteczni dla społeczeństwa, a nie krzykacze. Potem to się zmieniło ze skutkiem wiadomym. Ostatni rok pani ministry pozwala mieć nadzieję, że zaczyna jaśnieć światełko w tunelu. I nie jest to światło nadjeżdżającego pociągu.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (15), SHUTTERSTOCK, PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS (2), JACEK SŁOMION/REPORTER (2), MATEUSZ GROCHOWSKI/REPORTER, MICHAŁ ŻEBROWSKI/EAST NEWS, ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS (2), IPN, EAST NEWS, BEATA ZAWADZKA/EAST NEWS, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl d2b0a30df4

Kiedy nad Dunajem pojawią się kolejni pisowcy?

Romanowski nie uciekł do Budapesztu w ciemno

Robert Walenciak

Marcin Romanowski nie uciekł na Węgry dlatego, że taki wyjazd nagle przyszedł mu do głowy. Taka ucieczka musiała być wcześniej przygotowana. Zarówno pod względem logistycznym, jak i politycznym. Musiał niepostrzeżenie wyjechać z Polski, i tak to zrobił, m.in. wyłączając na kilka dni telefon. Musiał mieć wynajęte mieszkanie. Załatwili mu je tajemniczy – jak to określił – „węgierscy znajomi". Musieli więc uczestniczyć w spisku. I zostać wcześniej uprzedzeni o przyjeździe Romanowskiego. Ba! Romanowski musiał swoją ucieczkę omówić z węgierskimi władzami.

Znamienne są słowa węgierskiego premiera, które padły na zamkniętym spotkaniu kilka dni przed tym, nim pobyt Romanowskiego w Budapeszcie został ujawniony. Nie były przeznaczone dla mediów. Że Węgry dały azyl i raczej nie będzie to azyl ostatni. – Nie ukrywam, że myślę, iż nie będzie to ostatnia taka decyzja – zapowiedział Viktor Orbán. Czyli nad Dunajem zjawią się kolejni pisowcy.

Widzimy więc, że akcja Romanowskiego to nie jest sytuacja nagła, napad paniki – że uciekł i poprosił o pomoc. Przeciwnie, to ruch wcześniej uzgodniony i przemyślany. Pozostaje pytanie, na jakim szczeblu uzgodniony. Bo trudno sobie wyobrazić, by polski wiceminister, i to jeszcze były, miał bezpośredni dostęp do premiera Węgier. Kto więc pośredniczył w tych rozmowach? Czy odbywało się to na poziomie Kaczyński-Orbán? Tego na razie nie wiemy. Za to wiemy, że zanim Romanowski przyjechał do Budapesztu, musiał mieć obiecany azyl. I to, że Orbán nie ulegnie naciskom w jego sprawie, czy to pochodzącym z Warszawy, czy z Brukseli. Bo inaczej pojechałby gdzie indziej.

Oczywiste też jest, że Orbán sprawę przemyślał i uznał, że takie działanie mu się opłaca. Przyjmując w Budapeszcie Romanowskiego, a może i innych, zagra na nosie Tuskowi, którego nie cierpi, i pewnie zapunktuje w grupie zachodnich prawicowców. W PiS, w partii Marine Le Pen, w AfD, u Donalda Trumpa. Oto on, dziś główny filar sił trumpowskich w Europie! Nie pierwszy raz!

•

Podobny gest miał miejsce w roku 2018. Wtedy Węgry udzieliły azylu byłemu premierowi Macedonii Północnej, liderowi prawicy, Nikoli Gruewskiemu.

Gruewski był premierem w latach 2006-2016. Po procesie został skazany na dwa lata więzienia „za wywieranie nacisków na urzędników w sprawie zakupu ze środków publicznych od faworyzowanej przez niego firmy luksusowego, kuloodpornego mercedesa S600 wartego ok. 600 tys. euro". To nie koniec, bo toczyło się wobec niego także kilka innych dochodzeń – w sprawie korupcji, nadużycia władzy, oszustw wyborczych i nielegalnego podsłuchiwania opozycji.

Po przybyciu na Węgry Gruewski wypowiadał się w tonie podobnym do Romanowskiego. Że macedoński rząd „poprzez antydemokratyczne posunięcia i bez żadnych dowodów prawnych chce go pozbawić wolności, nadużywając systemu prokuratury i sądów". A postępowanie wobec niego wszczęto na podstawie zmyślonych zarzutów. Mówił też, że jest ofiarą prześladowań politycznych, a także dyskryminacji ze strony wymiaru sprawiedliwości. Bo w jego kraju nie ma już sprawiedliwego i niezależnego sądownictwa.

•

Oto więc gra Orbána – mieszanie w bałkańskim kotle. Nie tylko zresztą w bałkańskim – bo zgłasza pretensje wobec wszystkich swoich sąsiadów. Łączy przy tym wątki narodowe z politycznymi. Budapeszt jest więc z jednej strony, stolicą wszystkich Węgrów, także tych mieszkających w Rumunii, Ukrainie czy na Słowacji. Z drugiej – jest punktem odniesienia wszystkich nacjonalistycznych prawicowców, czymś na kształt stolicy prawicowego kominternu.

Polska, czy raczej PiS, w tych planach bardzo Orbánowi pomaga. Ze wszystkimi wokół Polska PiS była skłócona, mając jednego sojusznika – Węgry. Tę miłość obrazuje zdjęcie zrobione w roku 2020 w Budapeszcie, na którym stoją obok siebie Kaczyński, Orbán i Morawiecki. Zamieściło je na swoim Twitterze PiS. Z podpisem: „Dziś odbyło się spotkanie szefa Fidesz Viktora Orbána z prezesem PiS Jarosławem Kaczyńskim oraz premierem Mateuszem Morawieckim. Omawiano wspólne działania naszych partii w polityce europejskiej oraz kwestię współpracy w kontekście konferencji o przyszłości Europy".

Kaczyński ma też wcześniejsze zdjęcia z Budapesztu, z roku 2018. Wtedy delegacja PiS gościła na Węgrzech kilka dni przed wyborami parlamentarnymi w geście poparcia dla Fideszu. Orbán to docenił. Gdy ogłaszano jego zwycięstwo, nie omieszkał wspomnieć Polski. „Chciałbym podziękować naszym polskim przyjaciołom, prezesowi Kaczyńskiemu i premierowi Morawieckiemu, że

eprasa.pl d2b0a30df4

przyjechali i nas poparli", deklarował.

Radość zapanowała też po drugiej stronie. Rok później, występując w propagandowym filmiku u boku Orbána, Morawiecki mówił: „Przyjaźń polsko-węgierska trwa przez wieki, przez wieki razem broniliśmy wolności, broniliśmy cywilizacji chrześcijańskiej". Ukontentowany był też Kaczyński, który nie ukrywał fascynacji skutecznością działania Orbána. PiS zresztą naśladowało Fidesz – w kampanii wyborczej, w polityce rodzinnej, w walce z Brukselą, a także we wdrażaniu systemu Pegasus…

Przyjaźń polsko-węgierską PiS zamierzało wynieść na jak najwyższy poziom. Powołało Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka. To znaczy, powołała Polska, Instytut Felczaka to państwowa instytucja, nadzorowana przez Kancelarię Prezesa Rady Ministrów, wydająca miliony złotych na promocję przyjaźni.

To wszystko siadło po 24 lutego 2022 r., po inwazji Rosji na Ukrainę. Wówczas okazało się, że Polska i Węgry znajdują się po przeciwległych stronach. Oficjalne kontakty zostały zawieszone. Ale tylko oficjalne. Bo kontakty trwają i są gorące.

Tę nową sytuację z rozbrajającą szczerością opisał Mateusz Morawiecki w wywiadzie dla „Sieci" we wrześniu 2022 r.: „Stosunek do wojny faktycznie mocno nas poróżnił. Ale sądzę, że z biegiem czasu wszystkie pozostałe sprawy, w których wykazywaliśmy się solidarnością, zrozumieniem i wsparciem, będą nas na powrót mocno łączyły. Bardzo bym sobie tego życzył". Odpowiadała mu 23 marca 2023, w dniu przyjaźni polsko-węgierskiej, węgierska prezydent Katlin Novák, pisząc: „Przyjaźń polsko-węgierska przetrwa wszystkie próby". Innymi słowy, w sprawie stosunku do Rosji PiS z Orbánem znajdują się po przeciwnych stronach, ale w innych sprawach są razem.

Węgierskie życie Marcina Romanowskiego.

•

W innych sprawach, czyli jakich? Pierwsza, to walka z Unią Europejską. Druga – pomoc w sprawach biznesowych, takich jak fuzja Orlenu z Lotosem. Fuzja została rozpoczęta w roku 2019, ale długo była blokowana przez Komisję Europejską w imię przeciwdziałania monopolizacji rynku. Ostatecznie problem rozwiązano, sprzedając 30% akcji Lotosu saudyjskiemu Saudi Aramco. Jak oceniła to NIK w swoim raporcie, „co najmniej 5 mld zł poniżej wartości". Ale z najważniejszą pomocą przyszedł polskiemu rządowi państwowy koncern MOL. Uzgodniono z Węgrami, że MOL przejmie 417 stacji paliw sieci Grupy Lotos w Polsce, natomiast Orlen kupi od MOL 144 stacje paliw na Węgrzech oraz 41 stacji paliw na Słowacji. Tę całą transakcję Komisja Europejska zatwierdziła w czerwcu 2022 r. Cztery miesiące już trwała wojna na Ukrainie.

Inną stronę współpracy Orlen-MOL mogliśmy poznać w maju i czerwcu 2024 r., podczas kampanii do europarlamentu. Kaczyński wystawił w niej jako kandydata z Podkarpacia Daniela Obajtka, byłego prezesa Orlenu. Obajtek miał prawo obawiać się, że kampanię może spędzić w areszcie – immunitetu nie miał, a prokuratura wszczęła śledztwo w sprawie sprzedaży Lotosu. Prowadził więc kampanię, a jednocześnie nie wiadomo było, gdzie mieszka. Do czasu.

Dziennikarze kilku redakcji, m.in. Radia Zet i Frontstory, wytropili go w Budapeszcie, w luksusowym apartamencie należącym do spółki BBID, której właścicielami byli węgierscy biznesmeni Attila Balázs i László Dicső, powiązani z rządem. Balázs to partner biznesowy Istvána Tiborcza, męża najstarszej córki premiera Orbána, Ráheli. Z Tiborczem w zarządach różnych spółek zasiada też László Dicső.

Co więcej, jak się okazało, Obajtek ma na Węgrzech pracę – zarabia 15 tys. euro miesięcznie jako dyrektor rozwoju biznesu międzynarodowego w firmie Bayer Construct Zrt. A któż jest jej właścicielem? Bingo! Attila Balázs, ten sam, w którego apartamencie Obajtek pomieszkiwał.

Czy przesadą będzie stwierdzenie, że ta sprawa to tylko wierzchołek góry lodowej finansowych związków ludzi PiS i ludzi Orbána? Raczej nie. Mogliśmy o tym się przekonać parę miesięcy temu, kiedy zaczęto głośno mówić, że koncern Warner Bros. Discovery zamierza sprzedać akcje TVN. I oto znalazł się chętny do zakupu – węgierski oligarcha József Vida, powiązany z Orbánem. Coś musiało być na rzeczy, bo Daniel Obajek nagle zaczął rozpuszczać „żarty", że to on będzie nowym prezesem TVN.

Jak więc widać, PiS i Orbán, owszem, mogą być podzieleni sprawą stosunku do Rosji, ale w innych działają ręka w rękę, niczym najwięksi sojusznicy nowej międzynarodówki.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. PAWEŁ DĄBROWSKI/SUPER EXPRESS/EAST NEWS

eprasa.pl d2b0a30df4

TAJEMNICA ORBÁNA, TAJEMNICA WĘGIER

Od marca 2020 r., czyli od początku pandemii, do dzisiaj Viktor Orbán rządzi dekretami

Rozmawia Robert Walenciak

W najnowszej książce pisze pan o władcach, którzy historię i duszę współczesnych Węgier ukształtowali, rządzili długo i byli kochani. Franciszek Józef, Miklós Horthy, János Kádár... Każdy odcisnął piętno na historii Węgier, każdy nazywany był ojczulkiem. Teraz w tym szeregu staje Viktor Orbán. Jego umiejętności to nie tylko kupowanie ludzi, ale i oddziaływanie na coś, co siedzi głęboko w węgierskim DNA.

– Polityk politykowi nierówny. Natomiast jeżeli sprawuje władzę więcej niż dwie-trzy kadencje, więcej niż 20 lat, to już warto się zastanowić dlaczego. Jakie to są sekrety.

Orbán umiejętnie czerpie z węgierskiej historii, nawiązuje do głęboko zakorzenionych mitów narodowych.

– To jest chyba klucz do Orbána. Przecież on startował jako liberał, i to z poręki George'a Sorosa. A Soros wszystkim, całej wierchuszce Fideszu z Orbánem włącznie, dał stypendia na brytyjskich i amerykańskich uczelniach. Dał im pierwszy samochód, pierwsze powielacze. To były dzieci Sorosa! Ale się zbuntowały, bo były z prowincji. A poza tym Orbán wyczuł, że po lewej i liberalnej stronie nie ma czego szukać, bo zawsze go wykopią. Na prawicy zaś jest próżnia. Świadomie tam poszedł, zmienił wizerunek, zaczął sięgać do historii i grać w to, co nazywamy polityką historyczną.

Na Węgrzech jest równie ważna jak w Polsce?

PROF. BOGDAN GÓRALCZYK
– politolog, sinolog, hungarysta, były ambasador w państwach Azji, wykładowca w Centrum Europejskim UW i jego były dyrektor.

– Może nawet bardziej. Za Franciszka Józefa była korona św. Stefana, co prawda z poręki Habsburgów, ale mieliśmy największy rozkwit Węgier w całych dziejach i największy zasięg terytorialny. Potem na skutek błędów elit zbyt długo trzymano się Niemców i Habsburgów, po drodze była jeszcze Republika Rad Béli Kuna. Po wojnie więc Węgry poćwiartowano. Na rzecz Rumunii Węgrzy oddali 103 tys. km kw. terytorium, Siedmiogród i krainę Seklerów. Po traktacie w Trianon Węgrom zostało 93 tys. km kw. Czyli samej Rumunii oddali więcej, niż im zostało. A oddali jeszcze terytorium Słowacji, Serbii, także Austrii – Burgenland. Ba! Nawet Polsce – parę wsi na Spiszu i Orawie. I to jest pierwszy mit – Wielkie Węgry. Mieliśmy je i straciliśmy.

Kolejny mit – narodu zdradzonego, Węgier rozczłonkowanych, który się narodził w czasach Horthyego.

– Dlatego Horthy miał tylko jedną rację stanu: rewizja, rewizja, rewizja. I poszedł do Mussoliniego, potem do Hitlera. Jak się skończyło, wiemy.

eprasa.pl d2b0a30df4

Ale dziś jest usprawiedliwiany!

– Przez te władze, nie przez społeczeństwo. Horthy pozwolił na numerus clausus, na trzy ustawy antyżydowskie i na Holokaust wykonany rękami Węgrów, w roku 1944, w końcowej fazie wojny. On się z tego wycofał, dzięki temu nie zasiadł na ławie oskarżonych w Norymberdze, tylko jako świadek, i dożył do 1957 r. na wygnaniu w Portugalii. Własną ręką podpisał jednak zgodę, że jego następcą będzie Ferenc Szálasi, czysty faszysta. To się pamięta.

Orbán nawiązuje do ideologii horthystowskiej?

– Zdecydowanie. Daje do zrozumienia, że Wielkie Węgry są możliwe do uzyskania. Ale żeby tak się stało, potrzeba dużej zawieruchy międzynarodowej. Gra więc na rozwałkę Unii Europejskiej oraz na zmianę granic. Widzimy jego stosunek do Ukrainy – chce jej podziału, wtedy dostanie swój kawałek. Choć oczywiście oficjalnie niczego takiego nie mówi, ale w swoim gabinecie mapę Wielkich Węgier ma tuż za biurkiem. Natomiast największym zaskoczeniem dla polskich odbiorców będzie to, jak bardzo Orbán nawiązuje do Jánosa Kádára, jak wiele z niego czerpie.

W jaki sposób?

– O Kádárze niewiele u nas wiemy. W Polsce Ludowej wiedzieliśmy tyle, że jest przywódcą Węgier i dobrotliwym staruszkiem. Bo jak się pojechało do Budapesztu, to było jak w Wiedniu. Tymczasem Kádár to postać wręcz szekspirowska, człowiek ze skrajnej nędzy i biedy. Nieślubne dziecko, matka, biedna zmadziaryzowana Słowaczka, nigdy nie była zamężna. Naprawdę nazywał się Czermanek. Kádár, czyli po polsku bednarz, to jego wojenny pseudonim. Potem został człowiekiem partii i służb, nawet był ministrem spraw wewnętrznych.

Czyli był ważną postacią w stalinowskich Węgrzech.

– Rola Kádára jest dramatyczna. W listopadzie 1956 r. przyjeżdża na rosyjskich czołgach. I, jak się okazuje, ma do końca życia straszną traumę, bo Imre Nagy nie podpisał lojalki i poszedł na śmierć. Znamy jego dramatyczne wystąpienie, gdy jest już stetryczały, już nie w pełni się kontroluje i trzy miesiące przed śmiercią próbuje dokonać ekspiacji, wytłumaczyć się z tamtych dni. Ta spowiedź trafiła na sceny teatralne! Skupił ją całą wokół Imre Nagya, do końca dowodził, że była kontrrewolucja. A to przecież był narodowy zryw i rewolucja.

Jak więc pozyskał Węgrów?

– Krok po kroku, najpierw twardym terrorem, a później na prostej zasadzie: kto nie przeciwko nam, ten z nami. I powolutku, metodą salami, zdobył zaufanie społeczeństwa. Właściwie do drugiej dekady obecnego stulecia we wszystkich sondażach na Węgrzech to Kádár wygrywał jako najpopularniejszy polityk. Orbán to wie i bardzo dużo z niego czerpie.

Co czerpie?

– Całą koncepcję umowy społecznej. U Kádára było tak: ja rządzę, dogaduję się z Ruskimi, wam nic do tego, a wy macie trabanta, wartburga, działkę nad Balatonem, siedźcie spokojnie, cicho, dorabiajcie się. Są tematy tabu: Imre Nagy, rok 1956, Ruscy, diaspora i Trianon. Ale mamy pokój, powoli rosnący, umiarkowany dobrobyt, nawet wam niebieski paszport dam, raz na trzy lata do Wiednia pojedziecie ze 100 dol. Orbán przejął tę filozofię: ja jestem dobry pan, który ma gest. Definicję przedstawił mi jeden z taksówkarzy węgierskich: dobry pan, on kradnie, ale i nam daje kraść, on łupi na górze, my na dole. I jest umowa społeczna!

Zagarnąć jak najwięcej dla siebie i pod siebie?

– Stosownie do statusu. Orbán ma więcej, my mamy mniej. Ale każdy coś może. Palinkę możemy w swoim ogródku wygotować. W Polsce ścigano by za samogon, a tam Orbán pozwolił. Dobry pan! A jeszcze z wielkimi tego świata rozmawia. I goni migrantów, liberałów, Sorosa. Dobry pan. A że wszystko wziął dla siebie i swoich oligarchów, że najbogatszą osobą na Węgrzech jest Lőrinc Mészáros, sołtys we wsi, w której Orbán się wychował, to nie nasza sprawa. Jeśli jest pan wierny i posłuszny, to pan zostanie wynagrodzony.

Kádár też tak działał? Też taki był?

– Kádár taki nie był. Nie miał swoich faworytów, z wyjątkiem jednego, który mu się nie udał, Károlya Grósza, ostatniego szefa partii. Bo to był zapyziały aparatczyk, który zupełnie nie pasował do epoki Gorbaczowa. Natomiast tego, że lider coś rozdaje, jakieś włości, Kádár w ogóle nie rozumiał. Był proletariuszem i komunistą do końca swoich dni. Jedyną jego własnością była przydzielona mu przez państwo niewielka willa. I ponad 3 tys. tomów literatury pięknej, ostatnią książkę, „Panią Bovary", sprowadził w roku śmierci. Osobiście

Węgrzy w swej masie czekają, aż ojczulek da. Czekają na państwo, jemu oddają swój los.

Najbogatszą osobą na Węgrzech jest Lőrinc Mészáros, sołtys we wsi, w której Orbán się wychował.

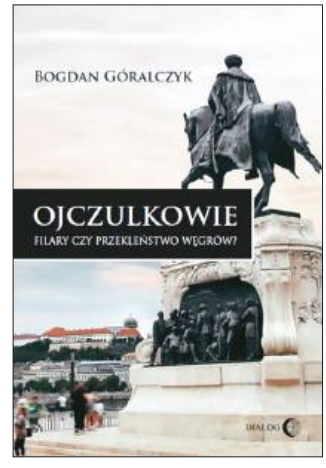

Bogdan Góralczyk, *Ojczulkowie. Filary czy przekleństwo Węgrów?*, Wydawnictwo Akademickie Dialog, Warszawa 2024

eprasa.pl d2b0a30df4

Viktor Orbán objaśnia Mateuszowi Morawieckiemu mapę Węgier w granicach sprzed 1920 r. Budapeszt, 2018 r.

wszystkie katalogował, więc wiemy dokładnie, jakie książki miał i ile. Namiętnie czytał, nie miał telewizora, radia prawie nie słuchał, co miał wiedzieć, wiedział z raportów.

Węgrzy go zaakceptowali.

– W zasadzie do dzisiaj go akceptują. Bo im się spodobał, był blisko z ludem. Jeździł na wieś, do szkół, do przedszkoli, kół gospodyń wiejskich, jadł to, co inni, nie miał wyszukanego podniebienia. Palił papierosy najpodlejsze z możliwych. Symphonia się nazywały, gorsze niż nasze sporty. Człowiek absolutnie swój, z ludu. Za to go pokochali.

Jak mogli mu tak łatwo wybaczyć rok 1956?

– Nigdy nie wybacza się łatwo. Nigdy nie wybacza się szybko. I nigdy nie wybaczają rodziny ofiar. Czyli trzeba dotrzeć do świadomości społecznej, zrozumieć, czego ona w danym momencie oczekuje. Kádárowi to się udało. Trafił jako człowiek z biedy, z ludu, w oczekiwania społeczne i w nie grał. Dzięki temu poszerzał bezustannie swoją bazę. Zaczął od klasy robotniczej, potem przeszedł na inteligencję, aż kupił społeczeństwo. To mu się udało.

Węgrzy lubią takich ojczulków.

– Wygląda na to, że tak tamto społeczeństwo jest wychowane. Orbán to wie i świadomie w to gra. To chyba jest tajemnica jego rządów – nigdy nie grał z elitami, potrafił im się sprzeciwić, gra na lud. Dał najlepszą definicję populizmu, jaką znam: stawiam na lud, bo lud kartką wyborczą daje mi większość, nawet kwalifikowaną, konstytucyjną. A elity z definicji są wąskie i można je przekupić, przestraszyć albo zignorować. Przy czym Orbán byłby jeszcze większym politykiem, niż jest, gdyby nie miał jednej zasadniczej wady – równie jak władzę kocha pieniądze. W przeciwieństwie do trzech poprzedników, o których piszę, jest dogłębnie skorumpowany, stworzył system oligarchiczny, a nawet kleptokrację, i historia może go bardzo źle ocenić.

W Polsce chyba to by nie przeszło.

– Taki polityk jak Orbán w społeczeństwie polskim długo by się nie utrzymał. Dlatego, że Polacy są krnąbrni, są tacy jak Orbán, kuruce, czyli wywrotowcy i powstańcy, a nie potulny naród, który czeka, że ojczulek coś sypnie z kiesy. Efekt jest taki, że my przez ostatnie trzy dekady rozwijamy się, wystarczy pojeździć po Polsce, by to zauważyć, bo ludzie wzięli los w swoje ręce. A Węgrzy? W masie, nie mówię o elitach w Budapeszcie, czekają, aż ojczulek da. Czekają na państwo, jemu oddają swój los. Orbán przez prawie 15 lat zatrudniał w swoim gabinecie jako doradcę niejakiego Árpáda Habonya, którego zadaniem było chodzenie po pubach, po knajpach i słuchanie, co ludzie mówią. Do tego dostosowywał politykę. Był wyczulony na oczekiwania społeczeństwa.

Ludowi węgierskiemu to się podoba?

Telewizja, radio, główne portale internetowe, agencja prasowa, prasa lokalna, wszystkie tygodniki, z małymi wyjątkami – to wszystko jest rząd.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, VIKTOR ORBAN/FACEBOOK

eprasa.pl d2b0a30df4

– Nie ma pojęcia ludu węgierskiego w naszym rozumieniu, tak jak nie ma pojęcia Węgra. Tam już od XIX stulecia istnieje podział na stołeczną, oświeconą, czasami kosmopolityczną elitę i na prowincję. Bo wszystko, co poza Budapesztem, to prowincja. Orbán ją reprezentuje, bo wywodzi się z ubogiej wsi. Ale sytuacja jest bardziej skomplikowana. Sondaże opinii publicznej od dawna pokazują, że największym zbiorem Węgrów jest obóz apatii. Obóz, w którym dominuje takie myślenie: tamci kradli, ci kradną, następni będą kradli, nas to nie interesuje. Byle ojczulek dał.

Czyli mamy liberalny Budapeszt, gdzie burmistrzem jest Gergely Karácsony, odpowiednik Trzaskowskiego, oraz nieliberalną Orbánowską prowincję, obóz apatii.

– To nie koniec. Na Węgrzech – mających 9,5 mln mieszkańców, bo się skurczyły, młodzież wyjeżdża – jest jeszcze 1 mln Romów. Oficjalnie mówi się o 300 tys., ale jak się policzy członków rodzin, uwzględni wymieszanie krwi... To potężne wyzwanie, z którym nikt sobie nie radzi. A tam jest największe bezrobocie, rzędu 60%, i największy przyrost naturalny, którego na Węgrzech nie ma. Orbán wie zatem, że kiedy zbliżają się następne wybory, trzeba im sypnąć, bo oni idą i głosują. Mamy jeszcze jeden mechanizm, który Viktor Orbán uruchomił – to diaspora.

Seklerzy.

– Węgrzy mają powiedzenie: my z nikim nie graniczymy, bo wszędzie po sąsiedzku są Węgrzy. Czyli Orbán się samodefiniuje jako przywódca nie państwa węgierskiego, ale narodu węgierskiego. Zmienił nazwę państwa w konstytucji. Nie ma Republiki Węgierskiej – są Węgry. A Węgry są wszędzie tam, gdzie mieszkają Węgrzy, więc ci w diasporze dostali czynne i bierne prawo wyborcze. I głosują. Seklerzy, górale węgierscy, żyjący głęboko w Rumunii, w ponad 90% głosują na Orbána i Fidesz. Na Węgrzech funkcjonuje zatem sporo elementów składowych. Są Romowie, są ci pogrążeni w apatii, którzy, jak się posmaruje, to zagłosują, jest diaspora… W efekcie liberalne czy lewicowe elity z Budapesztu nie mają nic do powiedzenia.

A media?

– Telewizja, radio, główne portale internetowe, agencja prasowa, prasa lokalna, wszystkie tygodniki, z małymi wyjątkami – to wszystko jest rząd. Te, które są niezależne, docierają do paru tysięcy osób. Wszystkie media są sterowane i powielają propagandę rządu, czytaj: Orbána.

To kolejna tajemnica jego sukcesu.

– Orbán konsekwentnie wzmacnia swoją władzę, centralizuje i monopolizuje państwo. Już w 2014 r. zdefiniował, że to jest nieliberalna demokracja. Ale jak temu się przyjrzeć, jest to coraz bardziej autokracja. Orbán od marca 2020 r., czyli od początku pandemii, do dzisiaj rządzi dekretami. Rządzi jednoosobowo! Następne wybory są w 2026 r., ale on może jeszcze te dekrety pociągnąć do 2027 r.! I co mi zrobicie? W tym sensie wewnątrz Unii Europejskiej i NATO powstał system autokratyczny, mówiąc rosyjskim terminem: suwerenna demokracja, która demokracją nie jest. W tej chwili to system jednowładczy, paternalistyczny, oligarchiczny i autokratyczny.

Prawicy, nie tylko węgierskiej, to odpowiada.

– Węgrom w obozie Fideszu szalenie imponuje to, że ich wódz rozmawia z Putinem, z Trumpem, z Xi Jinpingiem, z Erdoğanem. A Trump w debacie z Kamalą Harris jako jedynego go wymienia i już nie myli z Turkami. Natomiast problem polega na tym, że w lutym tego roku musiała zrezygnować prezydent Katalin Novák. Szokiem okazała się afera pedofilska, gdy wyszło na jaw, że zamieszani są w to ludzie związani bezpośrednio z Orbánem i jego rodziną. To obudziło społeczeństwo, afera spowodowała, że pojawił się fenomen o nazwisku Péter Magyar, którego nikt wcześniej nie znał. I zdobył rząd dusz, także w obozie apatii. W chwili kiedy rozmawiamy, Magyar i jego partia TISZA wygrywają w sondażach. Ale Orbán jest zbyt wytrawnym graczem, żeby to zlekceważyć. Jego media już oblewają Magyara pomyjami. Dlatego mam wątpliwości, czy metodami demokratycznymi da się Orbána odsunąć od władzy. Bardzo w to wątpię. Zagranica tego nie zrobiła, ulica jest wzburzona, ale czy ta fala autentycznego oburzenia, bo sprawy na Węgrzech idą ostatnio źle, wystarczy do zmiany systemu? Trzeba się temu uważnie przyglądać, ale pamiętać, że Orbán postawił wszystkie karty na Trumpa. I wygrał, przynajmniej na jakiś czas.

Taki polityk jak Orbán w polskim społeczeństwie długo by się nie utrzymał.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Kim naprawdę jest Viktor Orbán?

Pasjonująca książka o jednym z najbardziej kontrowersyjnych polityków Europy!

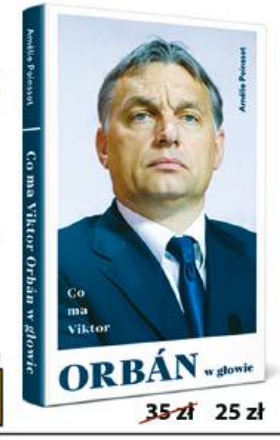

Dostępna także w formie e-booka

~~35 zł~~ 25 zł

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. **Darmowa wysyłka** listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl d2b0a30df4

Lenie Zbigniewa Ziobry

Czy się stoi, czy się leży, 46 tysięcy się należy

Andrzej Sikorski

Zastępcy prokuratora generalnego Michał Ostrowski, Robert Hernand i Krzysztof Sierak podnieśli larum, ponieważ Adam Bodnar skierował ich do pracy (od lutego i marca 2025 r.) w wydziałach zamiejscowych (dolnośląskim, mazowieckim i śląskim) Departamentu ds. Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej. Wielu prokuratorów marzy o tym, aby trafić do tej elitarnej jednostki zajmującej się najpoważniejszymi przestępstwami, ale nominatom Zbigniewa Ziobry jest to nie na rękę. Praca w tzw. pezecie, choć nobilitująca, nie należy do najłatwiejszych. Normą jest, że trzeba ślęczeć kilkanaście godzin dziennie nad tomami akt skomplikowanych spraw, uczestniczyć w przesłuchaniach podejrzanych i świadków, a panowie prokuratorzy ostatnio zanadto się nie przepracowywali.

Ziobryści zapowiedzieli, że nie podporządkują się decyzji prokuratora generalnego o przeniesieniu w teren i nie opuszczą wygodnych biur Prokuratury Krajowej w Warszawie przy ulicy Postępu 3, gdzie obecnie urzędują.

Nie ma z nimi żadnego kontaktu

Zgodnie z obowiązującym zarządzeniem prokuratora generalnego Robert Hernand w zakresie swoich obowiązków ma przypisane udzielanie odpowiedzi na interpelacje i zapytania poselskie oraz oświadczenia senatorskie, a także kierowanie do właściwego organu wniosków o wyrażenie zgody na pociągnięcie do odpowiedzialności karnej lub odpowiedzialności za wykroczenie osoby objętej immunitetem. Takimi samymi sprawami zajmuje się Michał Ostrowski, któremu przydzielono też analizę oświadczeń majątkowych najwyższych rangą prokuratorów. Natomiast Krzysztof Sierak oprócz spraw immunitetowych dostał sprawy ułaskawieniowe oraz „analizę spraw o szczególnym znaczeniu historycznym".

Ziobryści zapowiedzieli, że nie podporządkują się decyzji prokuratora generalnego o przeniesieniu w teren i nie opuszczą biur Prokuratury Krajowej w Warszawie.

Ponieważ Hernand, Ostrowski i Sierak mają większość obowiązków przypisanych w zastępstwie prokuratora generalnego, może być tak, że w ogóle nic nie robią. Panowie prokuratorzy solidarnie nie odpowiedzieli na pytania, które im przesłałem. A chciałem m.in. wiedzieć, jak wygląda ich dzień pracy i czym konkretnie się zajmują. Niewiele do powiedzenia ma też rzecznik Prokuratury Krajowej. „Nie mam takiej wiedzy, nie mam z nimi żadnego kontaktu. Nie uczestniczą w żadnych naradach i odprawach z udziałem kierownictwa Prokuratury Krajowej, w tym Dariusza Korneluka. Nie uczestniczą w naradach z prokuratorami regionalnymi i okręgowymi. Nie biorą udziału w oficjalnych spotkaniach i uroczystościach. Jak wiadomo, kontestują oni wybory ich przełożonego Prokuratora Generalnego co do np. osoby I Zastępcy PG (Dariusza Korneluka)", stwierdził prokurator Przemysław Nowak.

Udało mi się za to ustalić, że miesięczna pensja (brutto) Hernanda, Ostrowskiego i Sieraka to dokładnie 46 934,63 zł, na co składają się wynagrodzenie zasadnicze, dodatek za długoletnią pracę i dodatek funkcyjny.

Dla prokuratora najniższego szczebla, obciążonego setkami postępowań, taka pensja jest astronomiczna, choć za rządów PiS zaufani śledczy Zbigniewa Ziobry dostawali jeszcze więcej. A były to nagrody, dodatki specjalne i ryczałty na mieszkanie sięgające kilkudziesięciu tysięcy złotych.

Strażnicy interesów PiS

To kontestowanie decyzji podejmowanych przez Adama Bodnara – o czym wspomniał prokurator Przemysław Nowak – jest kluczowe dla zrozumienia istoty sprawy. Otóż Zbigniew Ziobro, spodziewając się utraty władzy i rozliczenia przez obóz demokratyczny przestępstw PiS, zabetonował prokuraturę. Polegało to na tym, że większość kompetencji scedował na prokuratora krajowego, którego nie można odwołać bez zgody Andrzeja Dudy, podobnie jak pozostałych sześciu pisowskich zastępców prokuratora generalnego.

Robert Hernand, Michał Ostrowski i Krzysztof Sierak mają większość obowiązków przypisanych w zastępstwie prokuratora generalnego i może być tak, że nic nie robią.

Adam Bodnar dostał więc w spadku od Ziobry kukułcze jaja. Oprócz Hernanda, Ostrowskiego i Sieraka także Tomasza Janeczka, Beatę Marczak i Andrzeja

eprasa.pl d2b0a30df4

Prokurator Krzysztof Sierak nie zamierza pracować w wydziale zamiejscowym.

Prym wśród prokuratorów rebeliantów wiodą Robert Hernand (z lewej) i Michał Ostrowski, którzy wcale nie ukrywają politycznego zaangażowania po stronie PiS.

Pozorskiego, szefa pionu śledczego Instytutu Pamięci Narodowej. Prokurator Marczak uznaje jednak decyzje Adama Bodnara. Buntownicy uważają, że prawowitym prokuratorem krajowym jest Dariusz Barski, niedoszły poseł PiS i zaufany człowiek Zbigniewa Ziobry, który był świadkiem na jego ślubie i jest chrzestnym jego dziecka. W 2010 r. w wieku zaledwie 42 lat Barski przeszedł na specjalnych warunkach na prokuratorską emeryturę, która wynosiła 100% pensji, czyli ok. 14 tys. zł miesięcznie. Ziobro przywrócił Barskiego do pracy w 2022 r., tyle że, jak się okazało, na podstawie nieobowiązujących przepisów. W styczniu 2024 r. Adam Bodnar usunął Barskiego, a na jego miejsce powołał najpierw Jacka Bilewicza, a potem Dariusza Korneluka.

Prym wśród rebeliantów wiodą Hernand i Ostrowski, którzy nawet nie ukrywają swojego politycznego zaangażowania po stronie PiS i regularnie występują w propisowskich mediach braci Karnowskich oraz Tomasza Sakiewicza, wylewając pomyje na Donalda Tuska, Adama Bodnara i obóz rządowy. Takie zachowanie jest skandaliczne i niegodne prokuratora, choćby dlatego, że media te zatrudniają w roli tzw. dziennikarzy osoby karane za przestępstwa lub zamieszane w afery, takie jak afera hejterska wymierzona w sędziów. To m.in. w Telewizji Republika ujawniono wykradzione z Prokuratury Okręgowej w Warszawie materiały oznaczone klauzulą „ściśle tajne". Dokumentów tych użyto do szkalowania szefów Służby Kontrwywiadu Wojskowego. Za przestępstwo bezprawnego ujawnienia ściśle tajnych materiałów ze śledztwa grozi wieloletnie więzienie, ale upolityczniona prokuratura rozpięła parasol ochronny nad pisowskimi propagandzistami (pisaliśmy o tym w artykule „Kulisy prowokacji PiS", „Przegląd" nr 45/2023).

Bezczelne zachowanie Hernanda i Ostrowskiego wpływa też demoralizująco na ponad 5 tys. prokuratorów. Panowie mogliby dać sobie spokój i zrzec się funkcji, ale muszą wykonać misję polityczną, co oznacza obronę interesów PiS i zdestabilizowanie pracy prokuratury.

Zgrany duet

Michał Ostrowski i Robert Hernand znają się od lat. Mają opinię zatwardziałych ziobrystów. W tym duecie to Hernand gra pierwsze skrzypce. To on nagrał telefonem komórkowym rozmowę z Adamem Bodnarem, podczas której łajał przełożonego i groził mu odpowiedzialnością karną, za co usłyszał zarzuty dyscyplinarne.

Kariera Hernanda zaczęła się za pierwszych rządów PiS. Dzięki Ziobrze został prokuratorem okręgowym w Gliwicach, a potem prokuratorem apelacyjnym we Wrocławiu przy sprzeciwie samorządów prokuratorskich. Zasłynął z przeprowadzonych czystek kadrowych. Usuwał doświadczonych funkcyjnych prokuratorów, a na ich miejsce powoływał osoby bez wymaganych kwalifikacji. Taki awans na prokuratora Prokuratury Apelacyjnej we Wrocławiu dostał w 2007 r. m.in. Michał Ostrowski,

FOT. ALIAKSANDR VALODZIN/EAST NEWS, MAREK M. BEREZOWSKI/REPORTER

eprasa.pl d2b0a30df4

który nie miał wymaganego czteroletniego stażu w prokuraturze okręgowej.

Hernand to wytrawny gracz polityczny, a jego nazwisko przewija się w tzw. śledztwie naciskowym dotyczącym szykanowania prokuratorów, inspirowania prowokacji wobec nich, wszczynania bezpodstawnych postępowań karnych i dyscyplinarnych przez Zbigniewa Ziobrę i jego ludzi w latach 2005-2007. To prawdopodobnie przyboczny Zbigniewa Ziobry stał za prowokacją wymierzoną w Józefa Niekrawca, prokuratora okręgowego w Opolu.

Otóż Hernand próbował wymusić na Niekrawcu motywowane politycznie czystki kadrowe, na co ten nie chciał się zgodzić. Niekrawiec stracił stanowisko, a gdy planował urządzić pożegnalną konferencję prasową, Hernand zagroził mu, mówiąc, „aby się zastanowił, gdyż może się narazić na odpowiedzialność". Konferencja się odbyła, a Niekrawiec powiedział, że nie da się zastraszyć. Zemsta była sroga, w odwecie wobec Niekrawca zorganizowano akcję hejtu i szkalowania. W „Naszym Dzienniku" ukazał się paszkwil, z którego miało wynikać, że Niekrawiec to złodziej i wkrótce trafi za kratki. Jako prokurator okręgowy miał bowiem akceptować faktury za usługi, które nigdy nie zostały wykonane, a wyprowadzono w ten sposób setki tysięcy złotych. W publikacji powoływano się na informacje z Ministerstwa Sprawiedliwości, wypowiadał się też anonimowy informator związany z Prokuraturą Krajową. Brednie o przestępczej działalności Niekrawca powtarzał również prokurator Jerzy Engelking, prawa ręka Ziobry, a nawet Andrzej Duda, który był wtedy wiceministrem sprawiedliwości.

Polityczne śledztwa

Adam Bodnar jest w ekstremalnie trudnej sytuacji. Bez zgody Andrzeja Dudy nie może się pozbyć swoich zastępców podrzuconych przez Zbigniewa Ziobrę, więc musi się liczyć z tym, że będą mu bruździć do czasu zmiany lokatora w Pałacu Namiestnikowskim, jeśli prezydentem zostanie Rafał Trzaskowski. Minister sprawiedliwości i prokurator generalny ma jednak asa w rękawie. Adam Bodnar dostał pierwszy raport, analizę 200 z ok. 600 prowadzonych w latach 2016-2023 postępowań prokuratorskich, w stosunku do których wystąpiło podejrzenie politycznego wpływu na ich przebieg i podejmowane decyzje. Chodzi o śledztwa wszczynane na polityczne zamówienie przeciwko osobom, które PiS uważało za wrogów, jak i o sprawy zamiatane pod dywan, bo dotyczące przestępstw popełnianych przez polityków PiS albo ludzi związanych z ówczesnym obozem władzy. Adam Bodnar zapowiedział, że raport będzie podstawą „do pociągnięcia do odpowiedzialności dyscyplinarnej, a w części przypadków także karnej, prokuratorów, którzy sprzeniewierzyli się rocie przysięgi, podejmując decyzje niezgodnie z zebranym materiałem dowodowym, realizując polityczne polecenia lub oczekiwania".

Jest wielce prawdopodobne, że Ostrowski, Hernand, Sierak i Janeczek wydawali takie polecenia i będą musieli za to odpowiedzieć.

Andrzej Sikorski

Zlikwidować IPN! Dosyć wojny z PRL!

W odpowiedzi na zaproszenie red. Pawła Dybicza („Przegląd" nr 48/2023) zabieram głos w sprawie Instytutu Pamięci Narodowej i Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Przytaczam tu fragment stanowiska Rady Naczelnej Polskiej Partii Socjalistycznej z 20 lutego 2005 r. w sprawie lustracji, którego byłem inicjatorem.

Zlikwidować IPN

„RN PPS zwraca się do zdrowej części sił politycznych w Sejmie i Senacie o podjęcie inicjatyw ustawodawczych, mających na celu doprowadzenie do następującego stanu prawnego:

1. Z dniem 1 lipca 2005 r. tracą ważność ustawy dotyczące lustracji, wraz z przepisami oraz instytucjami wykonawczymi (Ustawa z dnia 11 kwietnia 1997 r. o ujawnieniu pracy lub służby w organach bezpieczeństwa państwa lub współpracy z nimi w latach 1944-1990 osób pełniących funkcje publiczne; Ustawa z dnia 18 grudnia 1998 r. o Instytucie Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu oraz Rozporządzenie w sprawie organizacji Biura Rzecznika Interesu Publicznego; inne akty dotyczące funkcjonariuszy publicznych, w tym Ordynacja wyborcza do Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej i do Senatu Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 12 kwietnia 2001 r.).

2. Do 31 grudnia 2005 r. jednostki Biura Rzecznika Interesu Publicznego oraz IPN zostają zlikwidowane.

3. Osobowe dokumenty archiwalne zostają zniszczone pod kontrolą społeczną.

4. Sprawy z zakresu badań historycznych zostają przekazane do czołowych uczelni wyższych w Polsce i ewentualnie kontynuowane pod patronatem Ministerstwa Oświaty oraz Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

5. Z mocy prawa osoby, których nazwiska znalazły się na tzw. liście Wildsteina, otrzymują status osoby poszkodowanej.

6. Kandydaci na funkcjonariuszy publicznych, w tym na posłów i senatorów, składają oświadczenie, iż są lub nie są świadomymi i tajnymi współpracownikami służb bezpieczeństwa państwa polskiego lub państwa obcego".

Od 2006 r. nie jestem członkiem PPS, więc nie wiem, jakie stanowisko w kwestii IPN ma ta partia obecnie, ale moje poglądy się nie zmieniły i są takie jak redakcji „Przeglądu". Tak – zlikwidować IPN! Tak – dosyć wojny z PRL!

Grzegorz Stoigniew Nowak

eprasa.pl d2b0a30df4

Z Galicji

Jan Widacki

Co przyniesie nowy rok?

Wszyscy chcieliby wiedzieć, a niektórzy nawet udają, że wiedzą. Tak czy inaczej, kilka spraw jest pewnych. Na przykład ta, że za mniej więcej miesiąc Donald Trump obejmie po raz drugi, choć po przerwie, urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych. Będzie „czynił Amerykę znów wielką". Jak to będzie robił? Gdyby traktować poważnie wszystkie jego publiczne zapowiedzi, byłby z tym mały kłopot, bo wiele z nich jest wzajemnie sprzecznych. Na pewno jednak nie kupi Grenlandii, bo nikt mu jej nie sprzeda, na pewno też nie dojdzie do inkorporacji Kanady. Czy zakończy wojnę na Ukrainie? W to akurat wierzę. Jednak sama zapowiedź prezydenta, że zakończy wojnę, w której Stany Zjednoczone nie są oficjalnie stroną, powinna brzmieć dziwnie, ale nie brzmi. Podświadomie czujemy, że coś jest na rzeczy.

Putin rozpoczął wojnę, nazywając ją „specjalną operacją wojskową". Rzeczywiście tak chyba miało być. Kreml liczył na to, że wojsko ukraińskie i ludność cywilna przejdą bez walki na stronę Rosji, tak jak w 2014 r. przeszły na Krymie. Sądził, że wystarczy demonstracja siły, desant na Kijów i zmiana rządu. Popełnił błąd, nie docenił komika w roli prezydenta Ukrainy, nie docenił Ukraińców, którym – mimo bliskości kulturowej i religijnej z Rosją – cywilizacyjnie zaimponowała Europa. Jej bogactwo i liberalna demokracja, jak się okazało, były bezkonkurencyjne wobec rosyjskiego dziadostwa i zamordyzmu. Nie docenił też Zachodu, który w czasie aneksji Krymu czy Donbasu wydał tylko kilka pomruków niezadowolenia, teraz zaś zaangażował się w pomoc Ukrainie, a realizując to wsparcie, przekraczał kolejne czerwone linie. Jak pamiętamy, Niemcy zaczęły od podarowania Ukrainie 5 tys. hełmów. Początkowo bano się przekazać Ukrainie nawet poradzieckie migi-29. Dziś nikt się nie boi dać najnowszych samolotów, czołgów i pocisków kierowanych.

Wojna trwa już prawie trzy lata i końca nie widać. Trump chce ją zakończyć. Nie wiem, jaką wizję jej zakończenia mieli Joe Biden czy Kamala Harris. Hasła, że wojna musi trwać aż do zwycięstwa Ukrainy, powtarzane z zapałem przez niektórych naszych polityków, były coraz bardziej czczą gadaniną, w którą chyba już nikt nie wierzy nawet na Ukrainie. Wbrew oczekiwaniom (i licznym zapowiedziom!) sankcje ekonomiczne nie załamały rosyjskiej gospodarki. Nie cały świat stanął po stronie Ukrainy, największe poza Stanami Zjednoczonymi potęgi współczesnego świata albo jak Indie zachowały pełną neutralność, albo jak Chiny po cichu wspierały Rosję, korzystając równocześnie z jej gospodarczego osłabienia. Wiara, że Ukraina odbije Donbas, wybrzeża Morza Azowskiego i Krym, osłabła u wszystkich, którzy jeszcze przed rokiem łudzili się, że to może nastąpić.

Zniknęli też, i to nawet dość dawno, ci zabawni optymiści, którzy wieszczyli, że w wyniku tej wojny Rosja się rozpadnie (sic!). Poważne (?) serwisy internetowe przestały publikować diagnozy stawiane przez rozmaitych hochsztaplerów od „mowy ciała", którzy, obserwując, jak Putin trzyma nogę pod stołem, a dłoń na stole, przewidywali dalsze losy wojny. Cały świat zdaje się dojrzewać do myśli, że Ukraina będzie musiała zrezygnować z części swojego terytorium, czyli do tego, co na początku wojny mówił Henry Kissinger. Czy naprawdę do uznania racji Kissingera potrzeba było tysięcy poległych, zniszczenia infrastruktury energetycznej, przemysłowej, drogowej, cierpień setek tysięcy cywilów? Obawiam się, że prawda jest dla Ukrainy bardziej okrutna – będzie musiała się wyrzec nie tylko części terytorium, ale także członkostwa w NATO i Unii Europejskiej. W NATO, bo nie zaakceptuje tego Rosja. W Unii, bo nie zgodzą się rolnicy krajów członkowskich Unii, na czele z naszymi rolnikami, gotowymi blokować przejścia graniczne i wysypywać ukraińskie zboże.

Skoro nie mogliśmy skutecznie pomóc Ukrainie w wojnie, może pomożemy jej w odbudowie po wojnie?

Zwycięstwem Ukrainy będzie uratowana, okupiona krwią suwerenność większości – bo niestety nie całego – terytorium.

Ta wojna skończy się jak wszystkie, od XVII w. począwszy, wojny między Rosją a Zachodem, który aż do początku XX w. był reprezentowany przez Rzeczpospolitą, a teraz jest reprezentowany przez NATO – podziałem Ukrainy. Nie wiem tylko, kto wystąpi w roli marszałka Piłsudskiego z 1921 r. i będzie miał odwagę powiedzieć do ukraińskich żołnierzy: „Ja was, panowie, bardzo, ale to bardzo przepraszam". Trump? Wątpię. On zresztą nic Ukrainie nie obiecywał. A może ktoś z tych polskich polityków, którzy już na kijowskim Majdanie zapewniali Ukrainę, że Europa na nią czeka?

Skoro nie mogliśmy skutecznie pomóc Ukrainie w wojnie, może pomożemy jej w odbudowie po wojnie? Może uznamy, że odbudowa zniszczonej wojną Ukrainy jest ważniejsza niż ułożona wedle naszych oczekiwań pamięć o zbrodniach UPA na Wołyniu i w Galicji Wschodniej? ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl d2b0a30df4

Katolicy bez przykazań?

Wchodzimy w epokę, która może sekularyzację wyhamować, a nawet odwrócić

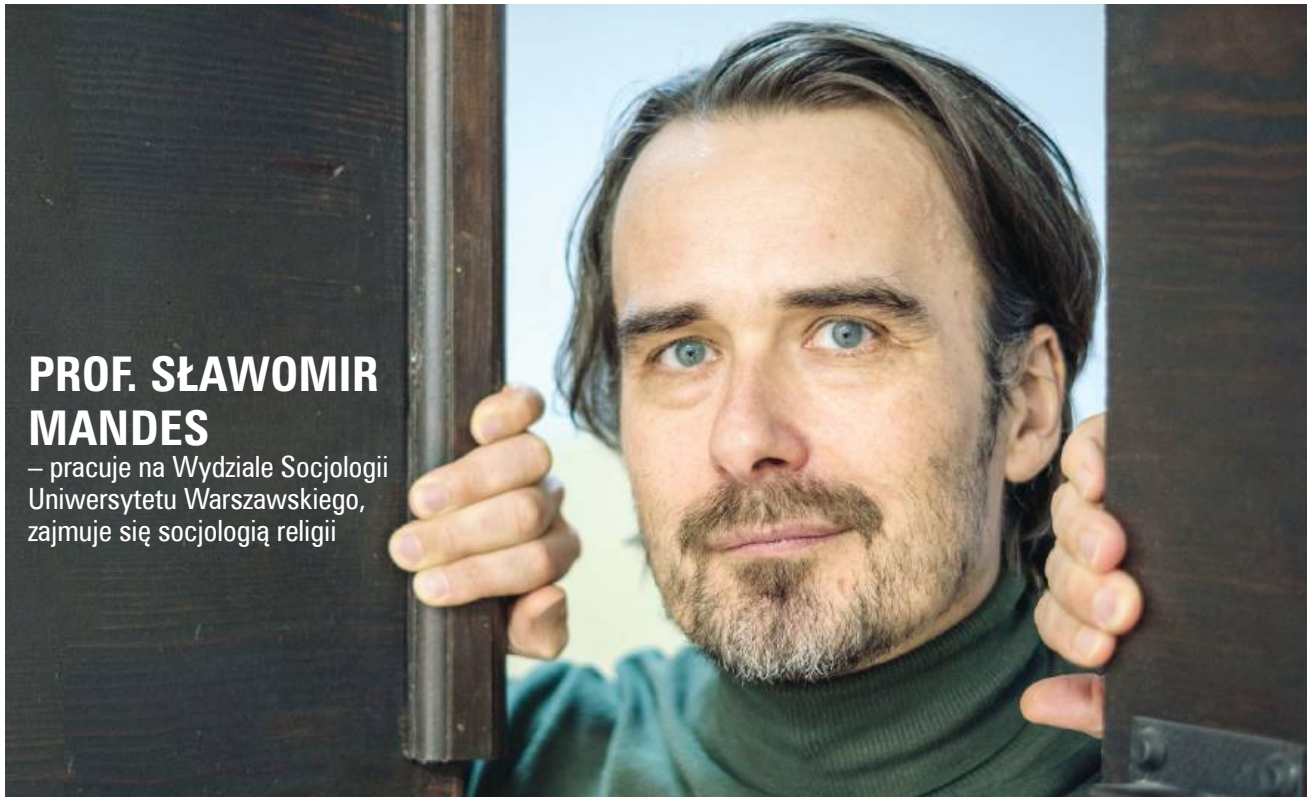

PROF. SŁAWOMIR MANDES
– pracuje na Wydziale Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, zajmuje się socjologią religii

Rozmawia Paweł Dybicz

Czy proces i tempo laicyzacji polskiego społeczeństwa są dla socjologów zaskoczeniem?

– Nie, przebiegają zgodnie z przewidywaniami. Wraz z prof. Mirosławą Marody pisaliśmy o sekularyzacji Polaków już grubo ponad 20 lat temu. Ale nie tylko my. Poziom religijności, który obserwowaliśmy w latach 80., był nie do utrzymania w demokratycznym, kapitalistycznym, nastawionym na konsumpcję społeczeństwie. I tak się stało. W latach 80. poziom religijności i zaufania do Kościoła sięgał 90%. A uczestnictwo w mszy było na poziomie ok. 70%, licząc tych, którzy chodzili na nią raz czy dwa razy w miesiącu. Oczywiście wiązało się to z osobą Jana Pawła II, ale już w pierwszej połowie lat 90. uczestnictwo w obrzędach religijnych wyraźnie zmalało.

Co było tego powodem, przecież papież jeszcze żył?

– Owszem, żył, ale dla pewnej części społeczeństwa trudne do zaakceptowania było wtedy bardzo duże zaangażowanie Kościoła katolickiego w życie polityczne. Kościół liczył na to, że pozycję zdobytą w latach 80. uda mu się przełożyć na realną władzę polityczną. Warto przypomnieć, że wtedy powstał projekt partii ściśle związanej z Kościołem, czyli Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego. Prymas Józef Glemp miał pomysł na powołanie ogólnopolskiego dziennika i to nie wypaliło. Podobnie jak stworzenie telewizji katolickiej. Do tego doszła sprawa zakazu aborcji, kwestia wprowadzenia religii do szkół itd. To spowodowało dosyć znaczące tąpnięcie w zaufaniu do Kościoła jako instytucji, a punktem kulminacyjnym było jawne poparcie Lecha Wałęsy w wyborach w 1995 r. przeciw Aleksandrowi Kwaśniewskiemu. Potem nastąpiła stabilizacja poziomu religijności. Cichy kompromis między rządzącym ówcześnie SLD a Kościołem, który wycofał się ze swoich daleko idących ambicji politycznych i jednocześnie pogodził z prezydenturą Aleksandra Kwaśniewskiego.

Tę stabilizację mamy przez dekadę, aż do śmierci Jana Pawła II.

– Jan Paweł II umiera w 2005 r. Znika osoba, która odgrywała niezwykle dużą rolę w życiu Polaków jako autorytet oraz ważny punkt

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl d2b0a30df4

odniesienia. Ale i człowiek, przez pryzmat którego widziano Kościół. Polacy patrzyli na Jana Pawła II, a nie na biskupów i na to, co się dzieje w samym Kościele w Polsce. Drugim bardzo istotnym czynnikiem było wejście Polski do Unii Europejskiej, malejące bezrobocie i przyśpieszenie wzrostu gospodarczego. Słabną wtedy konflikty społeczne, duża część Polaków wyjeżdża pracować za granicą. Emocje więc opadają. Razem stwarza to warunki do tego, by proces sekularyzacji znów nabierał tempa.

W ostatnich 10-15 latach sekularyzacja nasila się czy raczej utrzymuje na stałym poziomie?

– Zależy, do czego to tempo porównywać. Krajem, do którego często porównuje się Polskę, jest Irlandia, bo w Polsce w latach 90. poziom religijności mierzony udziałem w mszy był mniej więcej taki sam jak w Irlandii, która, przedtem biedna i peryferyjna, stała się krajem o wysokim stopniu zamożności. My jeszcze takim krajem nie jesteśmy, ale również notujemy szybki rozwój gospodarczy.

Czynnikiem przyśpieszającym sekularyzację w Irlandii są też skandale dotyczące wykorzystania seksualnego. Zostały tam ujawnione znacznie wcześniej, na początku lat 90., i działo się to na większą skalę niż w Polsce. Te dwa czynniki – zamożność i skandale w Kościele – spowodowały, że możemy mówić o Irlandii jako kraju całkowicie zsekularyzowanym w ciągu 10-15 lat. Polska na jej tle sekularyzuje się bardzo powoli. Nie obserwujemy gwałtownego odchodzenia od religii ludzi reprezentujących różne grupy wiekowe, poziom zamożności i wykształcenia, jak to miało miejsce w Irlandii. My możemy mówić o zmianie pokoleniowej, sekularyzacji młodych, którzy deklarują się jako ateiści albo niezainteresowani religią. Tych ludzi jest według sondaży od 8% do 10%, może 12%.

W ostatnim spisie powszechnym ludzi deklarujących się jako katolicy było niewiele ponad 70%, a nieodnoszących się do religii 20%.

– To zależy, jak mierzyć. 71,3% uzyskujemy, jeśli liczymy, biorąc pod uwagę ogół ludności. Ale jeśli za podstawę przyjąć liczbę osób, która odpowiedziała na pytanie o przynależność religijną, wówczas wychodzi 89,8%. Co jest bliższe wynikom badań na próbach reprezentatywnych. Spis poprzedziła oddolna kampania w mediach społecznościowych, aby odmawiać podawania swojej tożsamości religijnej. Wynik ten traktuję więc bardziej jako protest przeciwko Kościołowi katolickiemu w życiu publicznym. Patrząc na inne dane, ludzi, którzy w ogóle nie wierzą w Boga i nie chodzą do żadnej świątyni, jest w Polsce ok. 10%. Oczywiście notujemy osłabienie religijności, zjawisko polegające np. na tym, że rodzice chodzą dwa razy w miesiącu do kościoła, a dzieci już raz, ale zasadniczo nie zmienia to ogólnego poziomu przywiązania do wiary i Kościoła. Ta zmiana generacyjna pokazuje, że gdy się osiągnie pewien poziom religijności w wieku wczesnodojrzałym, 20-25 lat, to w zasadzie, z drobnymi odchyleniami, zostaje się na nim do końca życia. Czyli dzieci są trochę mniej religijne, ale wciąż religijne.

Czy osłabianie się uczestnictwa w życiu religijnym rozkłada się równomiernie? Zarówno w Polsce południowo-wschodniej, jak i zachodniej oraz północnej?

– U nas tempo sekularyzacji jest nierównomierne. W okresie PRL część południowo-wschodnia była znacznie bardziej religijna od Polski środkowej, nie mówiąc o północno-zachodniej. Tak samo jest dzisiaj. Ostatnie dane ze spisu przeprowadzonego przez Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego dają nam wgląd w tę różnicę. Podam dwie liczby pokazujące owo zróżnicowanie. Dotyczą udziału w niedzielnej mszy osób zobowiązanych do uczestnictwa. W diecezji tarnowskiej tych osób jest 60%, a w szczecińsko-kamieńskiej 17%.

Tę rozbieżność socjolodzy tłumaczą migracjami.

– Ale są też inne przyczyny zróżnicowania. Wynika ono z wykształcenia, coraz większej liczby ludzi z dyplomem szkół wyższych oraz miejsca zamieszkania – przenoszenia się i życia w dużych miastach.

Czy proces sekularyzacji następuje szybciej na obszarach z mniejszą religijnością, czy raczej tam, gdzie ona jest utrwalona?

– Trudniej odejść od praktyk religijnych, jeżeli się mieszka w małej społeczności, z silnymi więziami społecznymi, w której praktykowanie religii jest uznane za obowiązującą normę. Na przykład jeżeli mieszkam w miejscowości, gdzie wszyscy wokół chodzą na mszę, to chcę i muszę być między nimi. Bo co powiedzą sąsiedzi, jak nie pójdę? Słowem, im większy poziom sekularyzacji, tym niższe są koszty związane z nieprzestrzeganiem praktyk religijnych – mamy tu efekt samowzmocnienia.

A szkoła? Religia w niej przyśpiesza sekularyzację?

– Moim zdaniem szkoła nie ma dużego wpływu na sekularyzację. I odwrotnie. Chodzenie do szkoły wyznaniowej nie przyczynia się do wzrostu religijności, a nawet niekoniecznie musi się przyczyniać do utrzymania religijności. W Polsce, gdzie dominują szkoły publiczne, nie widać, by uczenie religii w szkołach przyczyniało się w jakiś sposób do wzrostu religijności albo do jej spadku. Ważniejsze jest to, co się dzieje w rodzinie, i więzi lokalne, w których się funkcjonuje.

Dlaczego w polskim katolicyzmie nie istnieje potrzeba zgłębiania zasad wiary, historii wyznawanej religii, Kościoła?

– Trochę bym to zniuansował, bo tym, co obserwujemy od lat 90. i co przyśpieszyło w latach 2004-2005, jest dekonstrukcja modelu religijności publicznej, w którym bycie religijnym oznaczało manifestowanie pewnej postawy społeczno-politycznej, religijności silnie związanej z tożsamością narodową. Ten model religijności ewidentnie słabnie, zdecydowanie nie jest atrakcyjny dla młodych ludzi. Z drugiej strony

Poziom religijności, który obserwowaliśmy w latach 80., był nie do utrzymania w demokratycznym, kapitalistycznym, nastawionym na konsumpcję społeczeństwie.

eprasa.pl d2b0a30df4

trzeba powiedzieć, że Kościół wykonał dużą pracę wewnętrznego przekształcenia i zbudowania zróżnicowanej oferty religijnej dla pewnej grupy katolików. Zachowana została religijność kulturowa, związana z rodziną, tradycjami religijnymi praktykowanymi w rodzinie: wigilia, choinka, wizyty na grobach 1 listopada itd. Wciąż są to bardzo istotne dla Polaków praktyki religijne. To taka religijność kulturowa, nieprowadząca do głębszego zainteresowania sprawami religii. Ale jednocześnie pewna część Polaków staje się coraz bardziej religijna, angażuje się w ruchy, których początki obserwowaliśmy od lat 90.

Jak duże jest to zjawisko?

– Niektóre badania pokazują, że 9-10%, może 12% Polaków uczestniczy w różnych ruchach religijnych. Jest to choćby Katolicka Odnowa w Duchu Świętym, jeden z największych charyzmatycznych ruchów religijnych. To ruch Rodziny Radia Maryja. Widzimy również bardzo prężne środowiska konserwatywne jak Opus Dei, ruchy skupione wokół mszy łacińskiej. Są one bardzo wpływowe społecznie i politycznie. Trzeba także dostrzegać zróżnicowanie oferty kulturowej ze strony Kościoła katolickiego w sferze mediów. Uczestniczę w międzynarodowym badaniu, obejmującym poza Polską Irlandię, Niemcy i Kanadę. Z pewnym zdziwieniem odkryłem, że żaden z tych krajów nie ma ogólnokrajowego tygodnika, który rozchodziłby się w bardzo dużym nakładzie. A my mamy „Tygodnik Powszechny", „Gościa Niedzielnego" oraz „Idziemy". Nakłady „Niedzieli" są porównywalne z „Polityką". W Niemczech jest nie do pomyślenia, żeby tygodnik o konfesyjnym profilu rozchodził się w nakładzie porównywalnym do „Spiegla".

Kościół i jego wierni są też aktywni w internecie.

– Istnieje całkiem sporo portali internetowych prowadzonych nie tylko przez zakony. Działają katoliccy celebryci internetowi, którzy mają kanały na YouTubie, podcasty, wydają poczytne książki. Mikrokosmos kultury katolickiej oferującej bardzo różne formy duchowości, od konserwatywnych, przez intelektualne, do nawet emocjonalnych, opartych na charyzmie, jest całkiem znaczący. To spory segment społeczeństwa polskiego, który jest, co ciekawe, nawet bardziej religijny niż w latach 90.

Ale czy jest on bliższy katolicyzmowi oświeceniowemu?

– Nie, bo obserwujemy bardzo różne środowiska. Od takich, które możemy zaliczyć do oświeceniowych, jak środowisko „Tygodnika Powszechnego" czy „Więzi", po takie jak otoczenie Radia Maryja. Proszę zauważyć, że w portalach tych mediów, w ogóle w internecie, bardzo zaangażowani są młodzi ludzie, podkreślający swoją religijność.

W PRL Kościół zdobył bardzo silną pozycję w wymiarze kulturowym i politycznym, ale w majątkowym był słaby.

Z drugiej strony mamy w internecie treści wręcz antykościelne, pokazujące niegodziwe zachowania duchownych i skandale z ich udziałem. Czy media społecznościowe w większym stopniu wpływają na laicyzację, przyśpieszają ją?

– Sekularyzacja to wielowymiarowy proces, zróżnicowany geograficznie i społecznie. Widzimy przede wszystkim, że od lat 90. spada autorytet biskupów i Kościoła jako instytucji. Polacy w zdecydowanej większości są dziś bardzo krytyczni wobec Kościoła. Zaufanie do niego zmalało dwukrotnie – z 45,6% ufających mu „w dużym stopniu" w 1990 r. do 21% w roku 2017. Polacy nie traktują Kościoła jako instytucji, która daje odpowiedzi w zakresie polityki, kwestii społecznych, a nawet układania sobie życia rodzinnego.

Czyli biskupi są postrzegani nie jako namiestnicy boży, tylko bardziej jako ludzie z przywarami?

– Zdecydowanie z przywarami. Do tego oczywiście w znacznym stopniu przyczyniły się skandale, które poruszyły Polaków, aczkolwiek myślałem, że poruszą ich trochę bardziej. W postrzeganiu Kościoła i duchownych dużo zmieniła pandemia, bo obostrzenia epidemiologiczne spowodowały osłabienie presji społecznej na udział w praktykach religijnych, a protesty w obronie praw reprodukcyjnych nasiliły postawy krytyczne wobec Kościoła. Natomiast jeżeli patrzymy na znaczenie religii w życiu Polaków – i to jest kolejny wymiar sekularyzacji – jeżeli pytamy Polaków o to, czy wiara w Boga jest dla nich ważna, czy ważne jest bycie katolikiem, to poziom akceptacji jest wysoki. Wysoki jest poziom postrzegania siebie jako osoby religijnej.

Czy przyznawanie się do wiary oznacza przeświadczenie, że trzeba żyć zgodnie z zasadami religii, przykazaniami? A może jest to trochę obok?

– To pytanie opiera się na założeniu, że Kościół równa się religii. To jest sposób myślenia z perspektywy Kościoła, zgodnie z którym traktuje się przestrzeganie katechizmu jako kryterium oceny religijności człowieka. Klasyczny przykład: jeżeli się uprawia seks przed ślubem, to jest się złym katolikiem, czytaj: osobą niereligijną. A religijność ludzi, ich układanie sobie życia w odniesieniu do jakoś rozumianej transcendencji, odbiega i zawsze odbiegała od wzoru promowanego przez ten czy inny Kościół. Takiej zgodności nigdy nie było, nawet w czasach, kiedy uznalibyśmy, że mamy do czynienia ze społeczeństwem religijnym. Więcej, właśnie ze względu na jej różne wymiary nie da się łatwo mierzyć religijności ludzi zgodnością ze sformułowanymi przez Kościół zasadami życia i prawdami wiary.

Socjologicznie rzecz biorąc, można być osobą religijną, nawet głęboko religijną, mając poglądy sprzeczne z nauką Kościoła lub najzwyczajniej w świecie ich nie znając.

Czy niezgodność życia z owym wzorem ułatwiana jest myśleniem: przecież proboszcz żyje z gosposią, ma dzieci?

– Polacy byli bardzo tolerancyjni, powiedziałbym nawet, że niespecjalnie przejmowali się tym, co robił proboszcz. Może zabrzmi to dziwnie, ale Kościół w Polsce jako instytucja mierzona liczbą własnych szkół, szpitali,

eprasa.pl d2b0a30df4

domów opieki społecznej był słaby. Jeżeli porównamy to z Irlandią, gdzie państwo delegowało na Kościół katolicki szkolnictwo podstawowe, w dużej mierze opiekę społeczną, szpitale, to Kościół w Polsce stracił tę pozycję już w XIX w. Po I wojnie światowej miał na tym polu bardzo małe znaczenie, bo choćby szkolnictwo było publiczne. W PRL Kościół zdobył wyjątkowo silną pozycję w wymiarze kulturowym i politycznym, ale w majątkowym był słaby.

Chce pan powiedzieć, że Polacy myślą o Kościele w niedzielę i święta?

– Tak. W latach 80. Kościół zajął unikatowe stanowisko mediatora między Solidarnością, opozycją a władzą, ale nie był ważną instytucją w codziennym życiu Polaków. Dlatego nie było przymusów narzucających zgodność etyki życia codziennego z etyką katolicką. U nas nie funkcjonowały instrumenty do powszechnego dyscyplinowania Polaków, takie jak w Irlandii, we Włoszech, nie mówiąc o Hiszpanii.

W jakim stopniu skandale w Kościele przyśpieszyły laicyzację?

– Można też dodać atak na prawa reprodukcyjne, protesty kobiet. Kobiety wyszły na ulice i Kościół był jednym z adresatów ich niezadowolenia i krytyki. Pojawił się ruch odchodzenia od Kościoła, apostazji. Tylko że w zasadzie skończyło się na deklaracjach. W Polsce, jak się rozejrzeć, nie ma rozpowszechnionej postawy otwartego ateizmu. Możemy mówić o postawach agnostycyzmu, obojętności wobec Kościoła, ateizmu, ale nie nabierają one masowego charakteru. Proszę zauważyć, że u nas próbowano zbudować kampanię na podstawie przekazu antyklerykalnego i co?

Nic z tego nie wyszło.

– Właśnie. Przed ostatnimi wyborami pojawiła się książka Ekke Overbeeka o nieprawidłowościach w archidiecezji krakowskiej, zarządzanej przez Karola Wojtyłę. Jaka była reakcja PiS? Jego posłowie wchodzili na salę obrad Sejmu z portretami JPII i ówczesna opozycja natychmiast wygasiła wątki antyklerykalne. Próbowała do nich wrócić w czasie wyborów samorządowych lewica, głównie Razem, i jaki uzyskała wynik? Potem mówiono, że niepotrzebnie mieszano kwestie religii z samorządem.

Czy ci, którzy odeszli od Kościoła, utracili wiarę, szukają innych form duchowości?

– Jeśli tak, to nie widać ich w masowej skali. Pojawiają się różne nowe, zaskakujące formy duchowości w ramach katolicyzmu. Do takich nurtów zaliczyłbym eksplozję zainteresowania opętaniami i demonologią. Takich duchownych jak ks. Dominik Chmielewski, którzy w kazaniach podnoszą wątki opętania, zagrożenia ze strony demonów i apokalipsy, jest niemało. Sporo też dzieje się w internecie, w miejscach poza kontrolą Kościoła. Z badań, które prowadzi Marta Kołodziejska, moja koleżanka z wydziału, wynika, że od czasu pandemii wzrasta zainteresowanie ezoteryką, sporo takich treści można znaleźć na TikToku, pokazywała mi także ostatni trend na Instagramie: ezoteryczne kalendarze adwentowe.

Zaczęliśmy rozmowę o religijności Polaków w nawiązaniu do Irlandii i o przewidywalnej sekularyzacji Polski. Zapytam więc, kiedy według przewidywań socjologów Polska stanie się państwem zlaicyzowanym?

– O ile jeszcze 10 lat temu miałem na to prostą odpowiedź i sądziłem, że proces sekularyzacji Polski będzie się pogłębiał, o tyle dzisiaj już nie jestem taki pewien. Polska sekularyzacja jest podręcznikowa w tym sensie, że nie ma u nas czegoś niezwykłego. Nie ma takiego tąpnięcia jak w Irlandii. Idziemy według wzorca – urbanizacja, scholaryzacja, demografia i konsumpcja są czynnikami napędzającymi sekularyzację.

Rzecz w tym, że te czynniki działają w sytuacji bezpieczeństwa egzystencjalnego. Teraz mam poczucie, że okres bezpieczeństwa i optymizmu zaczął się kończyć po ataku na World Trade Center, a w naszym regionie po pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę. Żyjemy w coraz niebezpieczniejszym świecie. Opisywana przez Samuela Huntingtona trzecia fala demokracji wyraźnie się cofa. Wśród Polaków umacnia się poczucie zagrożenia wojną i koniecznością szykowania się do niej. Wchodzimy w okres turbulencji, co wpłynie na zapotrzebowanie na religię.

Chce pan powiedzieć: jak trwoga, to do Boga?

– Nie lekceważyłbym zdolności religii i Kościoła katolickiego do zmiany i innowacji. Duży potencjał widzę w większym połączeniu religii z emocjami w różnych obszarach życia. Wchodzimy w kulturę bardziej emocjonalną, mniej oświeceniową. Bardziej liczy się przeżycie, doświadczenie niż racja, argument czy intelekt. Jeśli dodamy do tego wzrost poczucia zagrożenia, okaże się, że religia może się odnaleźć właśnie w wymiarze emocjonalnym. Jaka to będzie religia, czy będzie mniej lub bardziej katolicka, trudno powiedzieć. Do tego dorzuciłbym rozwój sztucznej inteligencji. Zachodzące zmiany technologiczne mogą doprowadzić do tego, że znajdziemy się w świecie, który będzie znowu trochę zaczarowany. Wypełniony istotami, które będą mądrzejsze i będą potrafiły lepiej od nas czytać rzeczywistość. Weszliśmy w inną epokę, która może nie tylko sekularyzację wyhamować, ale i w zaskakujący sposób odwrócić.

Paweł Dybicz
p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zmarł

Stanisław Nowakowski

wieloletni redaktor naczelny Nowego Tygodnika Popularnego „Związkowiec”.
Związkowiec z pasji i powołania.
Bardzo zaangażowany. Profesjonalny.
Odważny i uparty obrońca pracowników.
Koleżeński i życzliwy,
serdeczny i dobry człowiek.

Żegnam Go z wielkim żalem

Jerzy Domański

eprasa.pl d2b0a30df4

Dekomunizacja Kruczkowskiego

Nakaz IPN usunięcia go z nazw szkół czy ulic natrafił na opór społeczny

Bohdan Piętka

Czy ktoś 10 lat temu mógł przewidzieć, że IPN w ramach bezrozumnej dekomunizacji podejmie działania zmierzające do wykreślenia z narodowej pamięci Leona Kruczkowskiego, autora o międzynarodowym rozgłosie? A jednak…

Po przyjęciu 1 kwietnia 2016 r. Ustawy o zakazie propagowania komunizmu lub innego ustroju totalitarnego poprzez nazwy budowli, obiektów i urządzeń użyteczności publicznej jedną z jej ofiar – tzn. osób przeznaczonych do wymazania z pamięci narodowej – stał się Leon Kruczkowski (1900-1962). Pisarz i publicysta, z zawodu nauczyciel. Po 1945 r. także działacz polityczny związany z PPR i PZPR, wiceminister kultury i sztuki (1945-1948), członek Komitetu Centralnego PZPR i Rady Państwa PRL. To właśnie wybór polityczny dokonany przez Kruczkowskiego w 1945 r. stał się powodem jego tzw. dekomunizacji z pominięciem zasług dla kultury i literatury polskiej.

Leon Kruczkowski ma niekwestionowane miejsce w historii literatury polskiej jako jeden z jej najważniejszych twórców w XX w.

Polityczny wybór

Tak, Leon Kruczkowski był jedną z najważniejszych postaci życia kulturalnego Polski powojennej, a w okresie zimnej wojny aktywnie angażował się w akcje poparcia dla polityki PRL i ZSRR. W dramatycznym roku 1945 każdy Polak musiał dokonać wyboru politycznego. Kruczkowski też go dokonał. Właśnie takiego. Stanął po stronie Polski pojałtańskiej, czyli – co dzisiaj chętnie się podkreśla – władzy zainstalowanej przez Moskwę. Nie był w tym odosobniony wśród ówczesnych ludzi pióra i szeroko pojętej kultury.

Domyślam się, jakie były powody takiego wyboru Kruczkowskiego. Komunistą sensu stricto nie był nigdy. Był jednak człowiekiem lewicy, polskiej, romantycznej, wywodzącej się z Mickiewicza i powstania styczniowego. W jej etosie wyrósł i do niego nawiązywał w twórczości literackiej. W eseju „Dlaczego jestem socjalistą?" z 1938 r. zacytował na wstępie właśnie Mickiewicza: „Socjalizm jest wyrazem poczucia tak starego, jak poczucie życia, wyrazem odczuwania tego, co w naszym życiu jest niezupełne, obcięte, nienormalne, a wskutek tego nieszczęśliwe. Poczucie socjalistyczne jest polotem ducha ku lepszemu bytowi, nie indywidualnemu, lecz wspólnemu i solidarnemu".

Następnie przytoczył belgijskiego socjalistę Henriego de Mana (1885-1953), który uważał socjalizm wyłącznie za problem moralno-psychologiczny: „Ludzi należy sądzić nie wedle ich poglądów, lecz wedle tego, jakimi czynią ich te poglądy. Socjalizm jest wiarą, która czyni ludzi lepszymi, gdyż wznosi ich ponad nich samych i wskazuje im cele ponadosobiste". Takie były źródła lewicowości Kruczkowskiego – bynajmniej nie leninowskie i stalinowskie.

Być może w 1945 r. uległ złudzeniu, że Polska, do której dodano przymiotnik Ludowa, stanie się Polską Szklanych Domów, czyli zrealizuje romantyczny mit o egalitarnym i sprawiedliwym społeczeństwie. Gdyby żył dłużej, miałby więcej czasu na konfrontację tego złudzenia z rzeczywistością i nie można wykluczyć, że dokonałby jego krytycznej rewizji. Uczyniło tak przecież wielu ludzi świata kultury, początkowo popierających powojenną rzeczywistość polityczną, że wspomnę samych wielkich: Czesława Miłosza i Wisławę Szymborską.

Nad tym jednak współcześni oskarżyciele się nie zastanawiają. W ich optyce należał i popierał, a więc symbolizuje ustrój totalitarny. To optyka absurdalna, ponieważ o tym, że dana postać symbolizuje totalitaryzm (stalinizm, komunizm), można mówić tylko wtedy, gdy wywołuje takie skojarzenia w powszechnym odczuciu społecznym. A czy przeciętnemu Polakowi Kruczkowski kojarzy się ze stalinizmem i totalitaryzmem? Dla większości, zwłaszcza z młodszych roczników, jest to postać coraz mniej znana. Ci, którzy dawno temu chodzili do szkoły i pilnie uczyli się literatury polskiej, mogą go pamiętać jako autora świetnego dramatu „Niemcy". W PRL była to lektura obowiązkowa, obecnie jest nieobowiązkowa, czyli pomijana. Natomiast wąskiemu gronu znawców i koneserów literatury polskiej Kruczkowski kojarzy się po prostu z dobrą literaturą. Na pewno nie z Komitetem Centralnym PZPR i Komitetem Obrońców Pokoju.

Miłosz, Szymborska…

Jednak postacią całkiem zapomnianą Kruczkowski nie jest i w szerokim odczuciu społecznym na pewno nie kojarzy się z totalitaryzmem, czego dowiódł opór, na jaki natrafiła dekomunizacja jego osoby. W Gdańsku przeciwko zmianie nazwy ulicy Kruczkowskiego zaprotestowało w 2017 r. Stowarzyszenie Lepszy Gdańsk. Jego działacze zwrócili

eprasa.pl d2b0a30df4

Leon Kruczkowski (z lewej) i czechosłowacki reżyser Ota Ornest, spotkanie przed spektaklem „Niemcy" w Pradze, 1950 r.

uwagę na dorobek literacki pisarza i podkreślili, że nie jest to postać, która promuje ustrój totalitarny. „Czy IPN nakaże też usunąć z publicznej przestrzeni takich pisarzy jak Miłosz, Szymborska i Lem? Przecież oni też na początku swej twórczości mieli epizody, gdzie wychwalali komunizm. Takie to były czasy, nam z perspektywy wygodnego fotela i obecnych czasów łatwo to teraz krytykować", stwierdził wówczas Jędrzej Włodarczyk ze Stowarzyszenia Lepszy Gdańsk.

Ulice Kruczkowskiego zlikwidowano w ramach dekomunizacji m.in. w Będzinie, Białymstoku, Chojnowie, Częstochowie, Dzierżoniowie, Gdańsku, Gdyni, Marcinowicach, Obornikach Śląskich, Polanicy-Zdroju, Pszowie, Raciborzu, Rudzie Śląskiej, Słupcy, Sosnowcu, Świdnicy, Świnoujściu, Tarnowie, Wałbrzychu, Warszawie, Wrocławiu i Zabrzu. Jednakże decyzja o usunięciu ulicy Kruczkowskiego w Warszawie została uchylona przez sąd po zaskarżeniu przez mieszkańców. „Byli gorsi, a my przyzwyczailiśmy się do tego patrona", powiedzieli mediom wnioskodawcy przywrócenia nazwy.

W Częstochowie i Katowicach zmiana nazwy nastąpiła na mocy decyzji wojewody, ponieważ radni odmówili podjęcia uchwał. Przeciwko dekomunizacji Kruczkowskiego protestowali także – bezskutecznie – mieszkańcy Słupcy. „Może Kruczkowski był komunistą, ale był pisarzem i nikogo nie zamordował", argumentowała mieszkanka ulicy jego imienia. „Takie były czasy i Kruczkowski był może komunistą, ale na papierze. Przecież to był pisarz i nikogo nie zamordował. Odstąpię od tego dopiero wtedy, gdy ktoś przyprowadzi świadków jego zbrodniczej działalności. Jesteśmy świadkami sądu nad Kruczkowskim, który nie żyje i nie ma szans się obronić", stwierdziła w wypowiedzi dla lokalnej gazety słupczanka.

Do jeszcze ciekawszej sytuacji doszło w Świdnicy, gdzie 2 września 2017 r. urząd miejski wystąpił do wrocławskiego oddziału IPN o stanowisko w sprawie nazw, które mogły budzić wątpliwości. Chodziło o ulice Leona Kruczkowskiego, 1 Maja, Gustawa Morcinka, Wincentego Witosa (sic!), Władysława Broniewskiego, Ludwika Waryńskiego i o plac Ludowy. Ówczesny dyrektor oddziału IPN we Wrocławiu Krzysztof Kawalec odpisał 20 września 2017 r., że wymienione nazwy ulic nie podlegają zmianie ze względu na ustawę dekomunizacyjną. Dopiero centrala IPN w Warszawie wpisała Kruczkowskiego na listę ulic do zmiany, dodając opinię. I na tej podstawie wojewoda dolnośląski nakazał usunięcie ulicy Kruczkowskiego w Świdnicy.

Duży opór wzbudziła próba usunięcia Kruczkowskiego jako patrona I Liceum Ogólnokształcącego w Tychach. „My jesteśmy szalenie związani z Leonem Kruczkowskim. Nigdy w szkole nie traktowało się go jako osoby związanej z reżimem komunistycznym, gdyby pani zapytała uczniów – to nie wiedzą, jaka była jego przeszłość. Dla nas Leon Kruczkowski to przede wszystkim przyjaciel pierwszego dyrektora szkoły – Franciszka Tepera", powiedziała mediom w listopadzie 2018 r. dyrektor liceum Joanna Wojtynek. Ostatecznie Kruczkowski pozostał patronem tyskiego liceum, ponieważ przegłosowania zmiany odmówiła rada miasta.

Swoistą ironią jest, że twórczością Kruczkowskiego zajmowała się „niezłomna matka" Jadwiga Kaczyńska.

Największy opór dekomunizacja Kruczkowskiego wzbudziła w Sosnowcu, gdzie pisarz miał ulicę oraz park miejski swojego imienia, a w nim pomnik. Przemianowania ulicy odmówiła rada miejska. Nazwa została zmieniona (na Witolda Pileckiego) dopiero decyzją wojewody śląskiego. „Leon Kruczkowski w Sosnowcu pracował przez siedem lat, nie był wówczas członkiem partii komunistycznej. W kampanii wrześniowej walczył w stopniu oficerskim, wojnę spędził w oflagu i potem jak

FOT CTK/PAP

eprasa.pl d2b0a30df4

wielu innych wybitnych polskich pisarzy tworzył również w okresie PRL-u. Powinniśmy wyrazić protest przeciwko tej paranoi, jaką jest ta zmiana", argumentował radny Janusz Kubicki, dodając, że badaniem twórczości Kruczkowskiego zajmowała się m.in. Jadwiga Kaczyńska, matka prezesa PiS. Park miejski im. Kruczkowskiego rada miasta przemianowała 22 lutego 2018 r. na park im. porucznika pilota Jana Fusińskiego. Udało się jednak ocalić pomnik pisarza, autorstwa Mariana Koniecznego, odsłonięty 15 października 1980 r. Obejście przepisów ustawy dekomunizacyjnej nastąpiło dzięki uznaniu monumentu za eksponat muzeum miejskiego w Sosnowcu.

Miejsce w literaturze

Zachowano też Kruczkowskiego jako patrona Szkoły Podstawowej nr 32 w Sosnowcu, znajdującej się na terenie dawnego Kazimierza Górniczego. Do 1975 r. było to samodzielne miasto, w którym przez siedem lat mieszkał Kruczkowski.

Pobyt w Czerwonym Zagłębiu (w latach 1926-1933), gdzie Kruczkowski pracował jako nauczyciel chemii, matematyki i fizyki w Szkole Rzemieślniczo-Przemysłowej w Maczkach i publikował w „Kurierze Zachodnim", niewątpliwie wpłynął na ukształtowanie jego światopoglądu. Ponadto ogromny wpływ na pisarza miały przeżycia z okresu II wojny światowej – udział w kampanii wrześniowej oraz ponadpięcioletni pobyt w Oflagu II B Arnswalde i Oflagu II D Gross Born (Grossborn-Westfalenhof).

Leon Kruczkowski ma niekwestionowane miejsce w historii literatury polskiej jako jeden z jej najważniejszych twórców w XX w. Jego dramat „Niemcy" z 1949 r. (pierwotny tytuł: „Niemcy są ludźmi") należy do najwybitniejszych dzieł XX-wiecznej literatury polskiej. Dodajmy, że został przetłumaczony na wiele języków i był grywany na licznych scenach świata. Niewątpliwie wpływ na powstanie tego dzieła miały wspomniany pobyt pisarza w obozach jenieckich i obserwacja Niemiec hitlerowskich niejako od wewnątrz. Wybitnymi dziełami są również tom wierszy „Młoty nad światem" (1928), „Kordian i cham" – powieść z 1932 r., będąca próbą polemiki z wizją wsi przedstawianą przez romantyków, oraz dramaty „Pierwszy dzień wolności" (1959) i „Śmierć gubernatora" (1961). Kruczkowski był też autorem scenariuszy takich filmów jak „Młodość Chopina" w reżyserii Aleksandra Forda (1952) oraz „Dziś w nocy umrze miasto" w reżyserii Jana Rybkowskiego (1961). Drugi z tych filmów – zaliczany do nurtu polskiej szkoły filmowej, z doskonałymi rolami Andrzeja Łapickiego i Beaty Tyszkiewicz oraz muzyką Stefana Kisielewskiego – wyraźnie nawiązuje do tematyki dramatu „Niemcy", czyli konfrontacji Niemców ze skutkami wywołanej przez nich wojny.

Swoistą ironią jest, że twórczością Kruczkowskiego zajmowała się… „niezłomna matka" – Jadwiga Kaczyńska. Napisała poświęconą mu monografię bibliologiczną, wydaną w 1992 r., a dziesięć lat wcześniej we wstępie do „Niemców" napisała: „W twórczości Leona Kruczkowskiego uderza konsekwencja, z jaką pisarz obraca się wokół zagadnień społecznych, politycznych, historycznych i wynikających z nich uwikłań moralnych".

Historię narodu tworzą różne postacie, także te, z którymi siły polityczne będące aktualnie przy władzy mogą się zupełnie nie zgadzać ideologicznie. To jednak nie znaczy, że należy takie postacie wymazywać z historii, i to w imię walki z symboliką totalitaryzmu. Taka bowiem inżynieria społeczna jest jak najbardziej totalitarna.

Bohdan Piętka

KSIĄŻKI

Weronika Kostyrko
Róża Luksemburg
Domem moim jest cały świat
Marginesy, Warszawa 2024

„Monumentalna biografia fascynującej kobiety, której ślady w Polsce w ostatnich latach wytrwale zacierano. Jedna z pierwszych Polek z doktoratem, poliglotka, wybitna publicystka i intelektualistka, działaczka lewicy. Przeciwniczka Lenina i dyktatury komunistów. Prawica przyprawiła jej gębę przeciwniczki niepodległości Polski. Jak było naprawdę, przeczytacie w tej książce", zachęca do lektury dr hab. Adam Leszczyński. A Anda Rottenberg pisze: „Trzeba było ponad stu lat od śmierci Róży Luksemburg, żeby przeczytać jej odkłamaną, pozbawioną »ideozy« biografię. Weronika Kostyrko prostuje liczne błędy nawarstwione w trakcie budowania jej czarnej bądź czerwonej legendy i skrupulatnie śledzi drogę od narodzin w Zamościu do tragicznej śmierci w Berlinie na tle szerokiej panoramy stosunków społecznych i politycznych w carskim imperium, na terenie Szwajcarii, Francji i Niemiec. Odkrywamy osobę wybitnie inteligentną, wytrwała rewolucjonistkę o sprecyzowanych i niezależnych poglądach. Ale też ciepłą i wrażliwą kobietę".

Z burzliwej biografii Róży Luksemburg wyłania się portret osoby „myślącej w poprzek", która nie pasowała ani do tradycyjnej żydowskiej rodziny, ani do ról społecznych wyznaczanych kobietom, ani do sztywnych ram ideologii. Która przekraczała wszelkie bariery w dążeniu do emancypacji i zabiegała o zniesienie tych barier dla innych. Cała jej działalność wynikała z głęboko zakorzenionego poczucia sprawiedliwości, z wyczulenia na wszelkie formy opresji, dyskryminacji, wyzysku, na cudze cierpienie – nie tylko ludzkie, ale i zwierzęce.

W tej porywającej opowieści o Róży Luksemburg czytelnik znajdzie wszystko, czego można oczekiwać: szlachetne pobudki i czarne charaktery, konflikt i wspólną sprawę, wielką historię, miłość, śmierć i tajemnicę.

eprasa.pl d2b0a30df4

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Nowa Wiara

„Nie jesteśmy winni, lecz mimo to jesteśmy odpowiedzialni". Nie wywołaliśmy w roku 1979 rewolucji islamskiej w Iranie, lecz ponosimy odpowiedzialność za świat, w którym zamiana religii na ideologię stała się możliwa. Prof. Krzysztof Pomian w głośnym eseju „Chomeini, Putin i spółka" („Gazeta Wyborcza", 14-15 grudnia 2024) za punkt wyjścia tego procesu uznaje właśnie tamtą rewolucję. Dziś jest to już tendencja światowa – i zawsze antyeuropejska. Wszak – pisze Pomian – „Zachód, zwalczany przez islamizmy wszelkich obediencji, (…) ale również przez Rosję Putina i Chiny Xi Jinpinga, (…) wyróżnia przede wszystkim oddzielenie państwa od jakiejkolwiek religii".

Dokonując przeglądu krajów, które na naszych oczach zastąpiły religię ideologią, prof. Pomian pomija Polskę, ale niejeden z jego sądów dotyczy pośrednio także naszego kraju. Wszak w proces ideologizacji religii wniósł wkład „polski papież". Apelując na samym progu III Rzeczypospolitej o wprowadzenie religii do szkół, Jan Paweł II chciał przecież tego w trybie ekstraordynaryjnym, bez koniecznej w tym celu nowej ustawy oświatowej. A broniąc uparcie „nienarodzonych", wzywał w istocie do penalizacji przerywania ciąży, a tym samym do zrobienia wyłomu w prawodawstwie państwa – z definicji neutralnego światopoglądowo. Nad prawem stanowionym miało stać Prawo Boże. Takie stanowisko jest nie do przyjęcia przez liberała, ale i dla katolika nie powinno być bezdyskusyjne (nieomylność papieża uznaje się tylko wtedy, gdy mówi on oficjalnie, ex cathedra). A Sobór Watykański II odrzucał w zasadzie „brachium saeculare" – ramię władzy świeckiej.

Dziś, posługując się argumentacją religijną, atakują nasz świat nacjonalizmy. Prof. Pomian powiada, że są one groźne nie tylko dlatego, że rozsadzają Unię Europejską, lecz i dlatego, że godzą „w autorytet wykształconych elit, i to nawet wtedy, a może zwłaszcza wtedy, gdy ma on legitymację naukową, jak o tym świadczą sprzeciwy wobec masowych szczepień czy wobec prób zmniejszenia emisji gazów cieplarnianych". Rzeczywiście, w ideologiach nacjonalistyczno-religijnych pojawia się pogarda dla nauki. Ale występuje też zawieszenie zasad logiki. Czemu np. sprzeciw wobec aborcji ma się łączyć ze sprzeciwem wobec in vitro? Czyli: na jakiej zasadzie mamy być równocześnie „przeciw śmierci" i „przeciw życiu"? Czy naprawdę argumentem wystarczającym może być mrożenie zarodków? W dodatku antyaborcjoniści bywali nierzadko zwolennikami kary śmierci (w tym przypadku wbrew Janowi Pawłowi II, który takiej sprzeczności jednak uniknął). A ludzie oddani woli Bożej – czy powinni dewastować jej twór: przyrodę? Wszak w Polsce, akurat za rządów PiS, przekopano Mierzeję Wiślaną, w Brazylii, akurat za prezydentury Jaira Bolsonara, bezceremonialnie wycinano puszczę amazońską. Teraz w USA antyszczepionkowiec Robert Kennedy będzie ministrem zdrowia (na zdrowie!), na jakiej jednak zasadzie będzie z nim współpracował Elon Musk, głoszący, że „ludzkość wymiera"? Może to wymieranie spowolniłyby jednak szczepienia? Ale dla Muska głównym problemem jest możliwość zmiany płci. To też typowe dla nacjonalistów: zachwianie hierarchii ważności.

W tej ideologicznej bańce, mimo jednolitej na pozór motywacji religijnej, istnieje faktycznie kłębowisko sprzecznych racji. Tu nie ma indywidualnych poglądów, jest tylko doraźny, polityczny interes zbiorowości. A jeśli przyjmujesz jedną z prawd, przyjmujesz od razu wszystkie – w pakiecie. Czy coś nam to przypomina? Porównanie dzisiejszej Nowej Wiary z jej poprzedniczką, Nową Wiarą stalinowską, byłoby bluźnierstwem wobec milionów ofiar Gułagu, jest jednak jakoś uzasadnione, i to nie tylko ze względu na stopień fanatyzmu. Z goryczą konstatuje prof. Pomian, że „większość chce kultywować tradycyjną religię i być rządzona autorytarnie" (skądinąd to kolejne cechy idące obecnie w parze). Pisze też: „Dzisiejszy powrót religii w roli ideologii powoduje oddalanie się od siebie krajów i kultur na dziesięciolecia albo na wieki". Dodałbym, że zideologizowana religia niszczy to, co zawsze wyróżniało kulturę europejską: jej otwartość i jej różnorodność. Czyż w stalinizmie nie było podobnie – choć à rebours?

Zideologizowana religia niszczy to, co zawsze wyróżniało kulturę europejską: jej otwartość i jej różnorodność.

Niewiele możemy. Nie obalimy Donalda Trumpa, nie wyślemy na emeryturę Marine Le Pen. Ale i tak ponosimy odpowiedzialność. Wynik tegorocznych wyborów prezydenckich w Polsce będzie miał znaczenie także dla Europy. „Lawina bieg od tego zmienia, po jakich toczy się kamieniach", pisał Czesław Miłosz.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl d2b0a30df4

BIBLIOTEKA musi nadążyć za czasami

Dziś pracownik biblioteki walczy o czytelnika i stawia na rozwiązania interaktywne, warsztaty oraz media społecznościowe

MIROSŁAW PAWŁOWSKI
– dyrektor Ursynoteki, menedżer kultury, twórca filmowy, współpracował z Rozgłośnią Harcerską, gdzie prowadził wywiady z ludźmi kultury

Rozmawia Kornel Wawrzyniak

Spotykamy się tuż po finale konkursu literackiego dla młodzieży, a to tylko jedno z ok. 500 wydarzeń w roku, organizowanych przez Ursynotekę.

– Mówi pan o wszystkich wydarzeniach, które się odbywają w 21 placówkach. Duża część to lekcje biblioteczne dla dzieci i warsztaty dla młodzieży. Chociaż nie można powiedzieć, byśmy narzekali na małą liczbę spotkań autorskich. Nasza bibliotekarska codzienność toczy się jednak w małych przestrzeniach rozsianych w całej dzielnicy. Taki stan rzeczy wynika zaś z zagospodarowania przestrzennego wymyślonego w ubiegłych dekadach, kiedy budowano Ursynów. Stawiano wtedy na maksymalne wykorzystanie gruntów, oczywiście pod mieszkaniówkę, ale w drugiej kolejności budowano szkoły, przedszkola i żłobki. Dopiero w nowo powstałych budynkach dzielnica wynajmowała lokale pod biblioteki. Wyjątek stanowią dwie placówki, które znajdują się w zasobach lokalowych dzielnicy Ursynów. Mówimy o bibliotece dla dorosłych i młodzieży przy ulicy 6 Sierpnia 23 oraz o bibliotece przy ulicy Barwnej 8. To Muzeum Ursynowa, czyli gabinet Juliana Ursyna Niemcewicza i pokój w stylu PRL – meblościanki i inne sprzęty, które można było znaleźć w każdym domu, ale i w bibliotekach.

Zmieniły się domy, zmieniły biblioteki. A co ze stereotypem bibliotekarza samotnika w swetrze i okularach, który ucisza czytelników?

– Jak to mówią, jest szkoła otwocka i szkoła falenicka. Współczesny pracownik biblioteki walczy o czytelnika i stawia na rozwiązania interaktywne, warsztaty i media społecznościowe. Ale wciąż możemy trafić na samotników, bibliofilów, którzy doskonale znają się na swoim fachu. W ciągu lat nie zmieniło się najpewniej to, że większość bibliotekarzy to ludzie, którzy przychodzą do tej pracy z miłości do książek. Płyną z rytmem dnia nadawanym przez gromadzenie i udostępnianie księgozbioru, opracowanie, rezerwację książek dla czytelników i oczywiście dbanie o każdą książkę, która przejdzie przez ich ręce.

Zatrudniacie ponad 70 osób. Czy przy niewielkim zainteresowaniu studiami bibliotekoznawczymi – w tym roku akademickim to zaledwie 0,4 kandydata na miejsce – macie problemy kadrowe, chcąc poszerzyć zespół?

– Jeśli chodzi o nowych pracowników, niewielu ukończyło studia zawodowe z bibliotekoznawstwa. Często są to osoby po filologii polskiej i kulturoznawstwie. Zdarzają się ludzie zajmujący się animacją. Ale są również absolwenci kierunków ścisłych. Mamy też dwie osoby, które uciekły z korporacji. Zrezygnowały z większych apanaży, bo chciały pracy, która nie jest ciągłą gonitwą i osiąganiem coraz większej normy wydajności na danym stanowisku.

Czyli pracuje pan z ludźmi, którzy mają poczucie misji?

– Tak, a na pewno z ludźmi, którzy wiedzą, czego chcą, dlaczego wybrali zawód bibliotekarza, i dla których książka jest ważna.

I tworzą podręczną bibliote(cz)kę?

– Zdecydowanie. Czasami czytelnikom potrzeba czegoś tu i teraz. A biblioteka ma być właśnie tym miejscem blisko domu, gdzie ludzie

eprasa.pl d2b0a30df4

dostaną od ręki to, czego szukają. Dlatego warto mieć wiele tytułów, tak jak wiele jest potrzeb czytelniczych. Problem w tym, że księgozbiory powinny się powiększać, ale nie powiększają się przestrzenie, a półki nie są z gumy. Dyrektor Tomasz Makowski z Biblioteki Narodowej stwierdził, że BN jest miejscem od gromadzenia wszystkich książek. Pomniejsze placówki mają zaś przede wszystkim zadanie rozwijania chęci czytelnictwa. My również budujemy swoje księgozbiory. Część z tych pozycji to poczytne tytuły, ale, jak mówią niektórzy bibliotekarze, a ja z tym się zgadzam, niektóre książki trzeba mieć dla honoru domu.

Skoro mowa o tym, co na półkach – co teraz najczęściej się ubytkuje na rzecz nowości?

– Zasada jest prosta: w większości znikają rzeczy mało czytane. Na pewno te, które były tzw. modą. Kojarzymy często takie książki z dworcowych kiosków, czyli lektury do pociągu i harlequiny, wszelkie romanse i kryminały. W Ursynotece przyjęliśmy, że powinno znikać tyle książek, ile się pojawia nowych. Redukowanie pozycji w księgozbiorze to zawsze trudne doświadczenie. Nie jest to jednak grzech ani wykroczenie. To normalna bibliotekarska praca, która sprawia, że księgozbiór zmienia się tak samo jak czytelnicy.

Zmienia się także rola książki.

– I biblioteka się zmienia. Musi w pewnym sensie nadążać za czasami. Pierwsza taka zmiana nastąpiła po bumie na budowanie nowych placówek w całej Polsce. W szczególności duże zmiany zawdzięczamy mniejszym aglomeracjom. Placówki biblioteczne w takich miejscach stanowią swoiste centrum życia kulturalnego. Z założenia mają pełnić dodatkowe funkcje, nie tylko biblioteczne, ale zawsze związane z kulturą, bo biblioteki są instytucjami kultury w rozumieniu Ustawy o organizowaniu i prowadzeniu działalności kulturalnej. Tym sposobem pojawiły się w nich sale, w których można zrobić koncert, spotkanie autorskie, spektakl teatralny i wiele innych wydarzeń kulturalnych czy warsztatów.

Czyli wzorzec nowoczesnej biblioteki wziął się niejako z potrzeb społecznych i wynikających z nich potrzeb lokalowych?

– Tak. W Warszawie jest to trochę trudniejsze, bo mamy wiele małych placówek, których zasadą funkcjonowania pierwotnie było: wchodzi się, wypożycza, wychodzi. Ursynoteka jako sieć zmieniła się pod tym kątem i poszła w stronę współczesnej biblioteki. Mimo ograniczonych możliwości, jeśli chodzi o wielkość lokali, prowadzimy intensywną działalność kulturalną i edukacyjną. Organizujemy dla dzieci lekcje biblioteczne, podczas których rozmawiamy z najmłodszymi, ale też przetwarzamy rozmowy o książkach na różne warsztaty, m.in. plastyczne. Dużo trudniej jest z młodzieżą.

Większość bibliotekarzy to ludzie, którzy przychodzą do tej pracy z miłości do książek.

Wojna z telefonami?

– To niełatwa walka, ponieważ dzieci i młodzież są dziś przebodźcowane. Wszędzie 30-sekundowe filmiki powodujące nieustanny wyrzut dopaminy. Ta chwila spokoju, której wymaga lektura, jest więc młodym pokoleniom obca. Mimo wszystko mamy sposoby na przykucie uwagi młodzieży. W zeszłym roku wystartował dyskusyjny klub książki. Kluczem do sukcesu byli prowadzący, którzy potrafili przekuć interesującą rozmowę we wspólne działania. Ta metoda warsztatowa, polegająca na tym, że zajęcia przechodzą w inną formę niż tylko słowna, odnoszą duży sukces.

Który mierzycie w…?

– W tym, że te dzieci wracają na kolejne warsztaty. Nawet jeśli z danych warsztatów tylko jedna osoba wyniesie tę wartość dodaną, to sukces. Zarażone tym, że książka jest fajna i że można z niej wyciągnąć coś fajnego, przekażą tego wirusa dalej. I tak ziarnko do ziarnka rośnie nam niemała grupa czytelników.

Zostali nam jeszcze czytelnicy dorośli.

– Tutaj mamy dwie kwestie: telefony komórkowe i ogólny poziom czytelnictwa.

To pozostańmy przy komórkach.

– Tutaj także trwa walka o oderwanie od ekranu. Mieliśmy cykl zajęć, w trakcie których uczyliśmy dzieci hiszpańskiego i angielskiego poprzez zabawę. Miały to być rodzinne gry, do których nie trzeba wcześniejszej znajomości języka. Rodzice byli trochę zdziwieni, że też mają brać udział w zajęciach – okazało się, że nie ma luzu z komórką na godzinkę. Jeden z kierowników czytelni poprosił mnie nawet o wpisanie do regulaminu zajęć zakazu używania komórek.

Rozumiem, że nie obeszło się bez kontrowersji?

– Jakieś drobne oczywiście były, ale szybko ucichły. W naszej czytelni naukowej odbywają się zajęcia, na których rodzice wkręcają się w zabawę jeszcze bardziej niż dzieci. A wystarczyło zakazać w czytelni komórek.

Jak się ma czytelnictwo w Ursynotece?

– Mamy ponad 50 tys. zapisanych czytelników. Można szacować, że aktywnych w ciągu roku jest ok. 35 tys. osób. Jest to jednak dość pomieszane, bo niektórzy czytelnicy wypożyczają książki dla rodziny i dzieci na swoje konto. W każdym razie utrzymanie tych liczb zawdzięczamy lokalom rozsianym po całym Ursynowie. U nas po książkę po prostu zawsze jest po drodze.

Biblioteki stały się centrami kultury, które przyciągają spotkaniami autorskimi i zajęciami dla całych rodzin.

Trudno dziś pozyskiwać środki na bibliotekę? Zdaje się, że to nie są instytucje jawiące się decydentom jako jednostki pierwszej potrzeby.

– Wymaga to uporu, determinacji, ciągłego chodzenia i mówienia w kółko tego samego. To dokładnie

eprasa.pl d2b0a30df4

Ursynoteka, czyli Biblioteka Publiczna im. Juliana Ursyna Niemcewicza, od lat należy do wyróżniających się instytucji kultury w stolicy. Ma ponad 20 placówek, w tym muzeum.

tak jak w starożytności senator Marek Porcjusz Katon powtarzał przy każdej okazji: *Ceterum censeo Carthaginem esse delendam* (Poza tym sądzę, że Kartaginę trzeba zniszczyć). Katon całe życie dążył do tego, aby zniwelować zagrożenie ze strony Kartaginy. Tak samo rolą dyrektora biblioteki jest powtarzać w kółko, przy każdej okazji: biblioteka musi się rozwijać! I rzeczywiście, patrząc na budżet instytucji kultury, można odnieść wrażenie, że Ursynoteka ma więcej pieniędzy niż niektóre domy kultury. Warto jednak pamiętać, że to 21 placówek i 77 pracowników.

To już spora firma.

– I to taka, która generuje spore koszty. W związku z tym nie można mówić, że nasz budżet to są duże pieniądze. A żeby pozyskać środki, trzeba pokazać decydentom, że w bibliotece oprócz książek może się znaleźć miejsce dla edukacji. W Ursynotece od lat odbywały się wspaniałe spotkania literackie z topowymi autorami. Jednak ograniczona przestrzeń sprawiała, że przychodziło 20 osób, więc siłą rzeczy niewielu słyszało, co się u nas dzieje. Wszystko się zmieniło, kiedy, obejmując stanowisko dyrektora, obiecałem, że będziemy obecni w różnych przestrzeniach i miejscach. Tak narodziła się #mobilnaursynoteka i obecnie na spotkania z autorem przychodzi od 100 do 300 osób. Gościnne występy są cudowne, gdy zaprasza nas Dom Sztuki, Ursynowskie Centrum Kultury Alternatywy, ale warto również swoich czytelników na spektakularne wydarzenia zapraszać do własnego domu – tu dostrzegłem potencjał naszej czytelni naukowej na Lachmana. Jej księgozbiór znajduje się w osobnym pomieszczeniu, więc w czytelni jest duża przestrzeń do prowadzenia wszelkich spotkań i warsztatów.

Czyli gdy jest interaktywność, to i pieniądze się znajdą?

– Można tak to ująć. Jeśli biblioteka okazuje się miejscem, które jest w stanie ściągnąć nie tylko czytelników, ale też rodziny i dzieci dzięki różnym wydarzeniom, to dla takiej placówki znajdują się środki zarówno na warsztaty, jak i na nowe pozycje do księgozbioru oraz remont pomieszczeń.

Balansujecie między dwoma światami?

– Próbujemy w tym wszystkim znaleźć złoty środek. Być może dlatego nie usłyszeliśmy jeszcze odmowy, kiedy potrzebowaliśmy środków. Szczególnie że są to koszty, które rozkładają się w czasie i można je spokojnie zaplanować. Remont czytelni na Lachmana robiliśmy na dwa razy. Nikt jednak nie łapał się za głowę, kiedy przychodziło do rozmowy o pieniądzach. Ale ważne w tym tańcu jest to, żeby nie zatracić tego, co najważniejsze, czyli oparcia w literaturze, bo to jest jak powietrze dla naszych bibliotekarskich płuc, które – mam nadzieję – już za kilka lat zyskają nową przestrzeń. Trwają prace nad ogłoszeniem konkursu na projekt nowej biblioteki przy ulicy Grażyny Bacewiczówny. To doskonała lokalizacja. Tu dopiero będzie się oddychało.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl d2b0a30df4

Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Wyższe szkoły zarabiania pieniędzy

Afera z Collegium Humanum jest interesująca z wielu względów, ale skoncentruję się na jednym: roli rynku kapitalistycznego w szkolnictwie wyższym. Przypomnijmy – prywatne szkoły wyższe zaczęły w Polsce powstawać w latach 90. XX w. na fali entuzjazmu wobec tego, co prywatne, rynkowe i kapitalistyczne. Podstawowym założeniem ustawowego otwarcia drogi do ich powoływania było często jawnie wyrażane przekonanie autorów naszej transformacji, że prywatne z definicji jest lepsze od państwowego. Oczekiwano zatem, że prywatne szkoły wyższe szybko staną się lepsze od państwowych. Mieliśmy pójść śladem USA, gdzie najlepsze uniwersytety to uczelnie prywatne – z Harvardem i Stanfordem na czele. Nic jednak z tego nie wyszło. Owszem, powstało kilka niezłych prywatnych szkół wyższych, ale żadna nie prześcignęła Uniwersytetu Jagiellońskiego czy Warszawskiego.

Dlaczego? W grę wchodziły przede wszystkim pieniądze. Najlepsze prywatne amerykańskie uniwersytety dysponują funduszami równymi wszystkim środkom, jakie w Polsce przeznaczamy na naukę. U podwalin ich powstania legły ogromne fortuny, których umiejętne używanie zapewniło im wielki prestiż naukowy, wynikający z zatrudnienia wybitnych naukowców i zapewnienia im najlepszych warunków pracy. Wiem coś o tym jako niegdysiejszy stażysta Uniwersytetu Stanforda w Kalifornii. Wielkie pieniądze zapewniły także sukces uniwersytetów angielskich: Oksfordu i Cambridge. Nie zapomnę jednej z kolacji w Cambridge, podczas której moi nieco już podchmieleni angielscy koledzy chwalili się, że do ich college'u spływają czynsze z całej londyńskiej Oxford Street i że dysponuje on własną kopalnią diamentów w Afryce.

Sprawa druga: prywatne uniwersytety amerykańskie czy angielskie nie są nastawione na zysk. Bazują na fundacjach czy trustach, których zadaniem jest ochrona zasadniczego kapitału założycielskiego oraz takie wykorzystywanie płynących z niego profitów, aby przede wszystkim zyskiwała na tym nauka. Sprawa trzecia: ich pozycja w nauce jest pochodną długiej tradycji. W przypadku Cambridge są to np. nadania królewskie sprzed setek lat. Historia prywatnych uniwersytetów amerykańskich sięga zaś co najmniej XIX w. Miały więc czas, by swoją pozycję i sławę ugruntować. Korzystają też z darowizn swoich bogatych absolwentów. Nasze szkoły prywatne wyglądają przy nich jak trabant przy mercedesie. Państwowe zresztą też.

Najważniejsze jest jednak co innego. Nasze uczelnie prywatne zakładane były jako biznesy, na których można dobrze zarobić. I choć w ustawie znalazły się przepisy, które miały zabezpieczyć prywatne szkolnictwo wyższe przed byciem biznesem jak każdy inny, ochoczo je obchodzono, np. poprzez obsadzanie istotnych i bardzo dobrze płatnych stanowisk członkami jednej rodziny. Mimo że próbowano zachować pozory koncentrowania się na nauce, a właściwie dydaktyce, nie trzeba było jakiejś nadzwyczajnej przenikliwości, żeby się zorientować, że to tzw. ściema.

Pieniądze. O to zawsze chodziło. Oczywiście w ocenach należy być ostrożnym. Niewątpliwie u podłoża powołania niektórych prywatnych szkół wyższych leżały jakieś szlachetne pobudki (tak było z pewną szkołą, w której kiedyś krótko pracowałem), jednak nie była to reguła. Takową było raczej nastawienie na zarabianie. A to już niestety odbiło się mocno na jakości. Studenci tych uczelni, płacąc za naukę, mogli być pewni, że nie spadnie im włos z głowy. Wszak każde skreślenie z listy było stratą finansową. Pracownicy, pochodzący głównie ze szkół państwowych, traktowali szkoły prywatne z przymrużeniem oka, jako miejsce dorabiania, a nie uprawiania nauki. System ten był skażony zepsuciem od samego początku. W pewnym sensie zdemolował szkolnictwo wyższe w Polsce.

Obecnie w Polsce funkcjonuje ok. 350 szkół wyższych. I cały świat z nas się śmieje. Po co w to brnęliśmy? To kolejny przykład tego, jak ślepa wiara w rynek kapitalistyczny i wyższość własności prywatnej nad państwową prowadzi na manowce. Wypuściliśmy w świat tysiące absolwentów słabych uczelni, obniżyliśmy poziom szkolnictwa wyższego w Polsce, zdewaluowaliśmy niektóre tytuły i stopnie naukowe (np. magistra). Najgorsze, że nikt nie ma pomysłu, co z tym fantem zrobić. Nie ulega żadnej wątpliwości, że spora część tych szkół powinna zniknąć. Kto jednak odważy się podnieść rękę na owoc rynkowego zaślepienia? Kto dokona stosownej selekcji? Sądzono, że uczyni to rynek. Myślano, że studenci nie będą chcieli wybierać słabych uczelni. Ale i w tym przypadku rynek okazał się nader zawodnym narzędziem. Kiedy bowiem w grę wchodzi posiadanie jedynie stosownego papierka (dyplomu) zamiast faktycznych kwalifikacji, nawet najsłabsze niby-szkoły niby-wyższe mają zapewniony byt. I tak oto kapitalistyczny ideał wolnego, nieregulowanego rynku – najlepszego mechanizmu zastępowania gorszych produktów lepszymi – okazał się mrzonką. Sięgnął bruku. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl d2b0a30df4

Szpital jak marzenie

Oddziały szpitalne dla pedofilów są dziurawe jak sito. W jednym z podlaskich szpitali szczególnie

Marek Kowszyłów

Na początku sierpnia 2024 r. na plebanii w Przytoku w Lubuskiem policja zatrzymała 49-letniego Piotra H., który próbował zgwałcić małoletniego. Ów zatrzymany to brat miejscowego księdza, który w odruchu współczucia przygarnął do siebie wyrzutka rodziny. Piotr H. kilka miesięcy wcześniej opuścił szpital psychiatryczny w Choroszczy w województwie podlaskim.

49-letni Piotr H., który próbował zgwałcić małoletniego, kilka miesięcy wcześniej opuścił szpital psychiatryczny w Choroszczy.

Był niebezpieczny

Sąd, który darował mu wolność, oparł się na opinii lekarskiej, że terapia zakończyła się pomyślnie. Z naszych nieoficjalnych informacji wynika jednak, że lekarze opiniujący wniosek o to, by Piotr H. mógł szpital opuścić, zignorowali głosy innych specjalistów, że 49-latek nadal jest niebezpieczny. I sąd pozytywną opinię o pacjencie, którą wniosek zawierał, uznał za wiarygodną.

– Na opinii w sprawie wyjścia pedofila na wolność podpisują się ordynator, psycholog i konsultant – lekarz seksuolog. Ale to sąd ostatecznie decyduje, czy taki pacjent może wyjść na wolność – opowiada pracownik szpitala psychiatrycznego w Choroszczy i dodaje: – Do nas przyjeżdża dr Sławomir Jakima, znany seksuolog. W tym konkretnym przypadku zawiodła psycholożka. Koleżanka przestała komunikować się z resztą zespołu, a potem przekonała ordynatora i dr. Jakimę o postępach Piotra H. w leczeniu. No i poszło. Ledwie tamten pacjent wyszedł na wolność i stało się to, co się stało, do szpitala trafił nowy pedofil, ksiądz zresztą, a psycholożka momentalnie wsiąkła w pracę z nim i przekonywała zespół o „jego intensywnym przygotowaniu do życia na wolności". To córka Nadziei Sołowiej, przełożonej pielęgniarek w szpitalu i od roku konsultant krajowej w dziedzinie pielęgniarstwa psychiatrycznego. Jedna z córek Nadziei Sołowiej, ledwie po studiach, została kierowniczką oddziału. Druga, ta właśnie psycholożka, na pół etatu wieczorami, bo w dzień ma pracę w innym szpitalu, sam na sam pracuje z pedofilami.

Bardzo dokładnie oceniamy ryzyka

Ta druga córka udzieliła wywiadu internetowej wersji „Kuriera Porannego" z Białegostoku (poranny.pl, 27 października 2024). „Mam pacjentów, którzy wyszli na wolność", pochwaliła się dr Justyna Sołowiej z II Oddziału Psychiatrii Sądowej o Wzmocnionym Zabezpieczeniu w placówce szpitalnej w Choroszczy. Po czym padło pytanie, na które odpowiedź w świetle faktów powinna wywołać rumieniec wstydu: „I nie zastanawia się pani, co się z nimi dzieje? Czy na pewno dobrze pani zrobiła, wydając taką opinię, że mogą wyjść na wolność?".

Justyna Sołowiej odparła: „Takie opinie wydajemy w zespole. Bardzo dokładnie oceniamy wszelkiego rodzaju ryzyka, a potem co pół roku wydajemy okresowe opinie, monitorujemy efekty pracy, postępy w terapii naszych pacjentów. Czy się zastanawiam, co się z nimi dzieje na wolności? No jasne, że

FOT. ANATOL CHOMICZ/FORUM (2)

eprasa.pl d2b0a30df4

się zastanawiam, ale mamy też taką niepisaną zasadę, że osoby te podtrzymują z nami kontakt, dzwonią do nas – oczywiście na telefon służbowy – dzięki czemu wiemy, co się u nich dzieje. I zdarza się, że nie korzystają z tej szansy, którą im daliśmy. W ich mniemaniu porażka w warunkach wolnościowych, czyli dopuszczenie się recydywy, oznacza źle prowadzoną terapię. Ale to też nie jest tak. Skuteczność terapii to 20-30% pracy psychoterapeuty i 80-70% wkładu samego pacjenta. Ja, jako terapeutka, mogę stawać na rzęsach, ale jeżeli pacjent się nie zaangażuje, jeżeli nie otworzy się i nie jest wewnętrznie zmotywowany do pracy, to nic nie osiągniemy. Natomiast w szpitalu, w którym pracuję, oceniamy stan pacjenta na tu i teraz. Jeżeli decydujemy się wydać mu pozytywną opinię, to znaczy, że przez lata pobytu w zakładzie nabył on wystarczającej wiedzy i umiejętności, umożliwiających mu kontynuowanie terapii w warunkach ambulatoryjnych, co jest koniecznością. I to jest kolejny krok, podczas którego będzie musiał zmierzyć się z rzeczywistością, z realnymi problemami, z opinią innych ludzi. Nasi pacjenci to przecież nie są ludzie, na których społeczeństwo czeka z otwartymi ramionami. Ale dostają szansę. To, czy z tej szansy skorzystają, czy nie, leży już po ich stronie".

Tylko po ich stronie? Doprawdy?

Opinii nie sporządzono

Na poparcie tej tezy mamy drugi przykład, tyle że sprzed prawie dwóch lat. Niedoszły absolwent seminarium duchownego Hieronim T. opuścił szpital psychiatryczny w Choroszczy w grudniu 2022 r. Do białostockiego sądu, który zadecydował o wypuszczeniu pedofila gwałciciela na wolność, nie dotarła opinia biegłego seksuologa, bo nie zadbała o nią administracja placówki pod wodzą ówczesnego dyrektora Krzysztofa Szeweluka. Mówiąc wprost, takiej opinii nigdy nie sporządzono. A to, że sąd w Białymstoku podpisał bez niej zgodę na wyjście pacjenta na wolność, jest najlepszym dowodem na to, że i w wymiarze sprawiedliwości na problem patrzą przez palce. Ze skutkiem, który był do przewidzenia, bo Hieronim T. na początku 2023 r. znowu zaatakował dziecko. Trafił oczywiście do więzienia, dostanie kolejny wyrok i jeśli okoliczności dobrze się ułożą, zostanie skierowany na ponowną terapię, niewykluczone, że do tego samego szpitala psychiatrycznego.

Szeweluk kilka miesięcy temu stracił stołek dyrektora choroszczańskiego szpitala. Zbiegło się to z pogonieniem z funkcji pisowskiego marszałka województwa jego byłego protektora, doktora prawa Artura Kosickiego, i zastąpieniem go platformerskim radcą prawnym Łukaszem Prokorymem. Ze smutkiem konstatujemy jednak, że niewiele się zmieniło. Z tego, co słychać, groźni przestępcy zafiksowani na punkcie efebów bardzo sobie cenią szpital w Choroszczy, bo trafić do niego jest łatwo, ale wyjść z niego na wolność jeszcze łatwiej. ■

eprasa.pl d2b0a30df4

Bristol, mamy problem

To jedno z najdroższych w kraju miast dla najemców. Co trzeci mieszkaniec obawia się utraty dachu nad głową

Zuzanna Muszyńska
Korespondencja z Wielkiej Brytanii

Serce Bristolu bije na Broadmead. Od października ulicę rozświetlają złota choinka i rzędy świątecznych straganów. Bratwursty, sery z Cheddar Valley, grzane wino i cydr, świecidełka i galeria wełnianych skarpet, przydatnych w mieście znanym z mokrych zim i owiec spacerujących po centrum. Gdy szlakiem tym kroczy konsument z grzańcem w dłoni, w ślad za nim podąża nędzarz, który podsuwa mu pod nos kubek na monety. Nagabywany ucieka do jednej z sieciówek w Cabot Circus, gdzie jest cieplej i bezpieczniej. Kloszard nie ma dokąd pójść. Jest wrzodem na ciele miasta.

Każdej nocy na ulicach Bristolu śpi ok. 180 osób. Setki wegetują na sofach u znajomych i rodziny. Miasto, uznane sześć lat temu za europejską stolicę kokainy, dziś walczy na kolejnym froncie – kryzysu kosztów życia, inflacji i braku mieszkań.

Komu mieszkanie

Katrina leży w śpiworze przecznicę dalej, pod Primarkiem. Nie chce być nazywana włóczęgą ani bezdomną. Nie musi żebrać, ludzie sami podchodzą. O gorącą wodę do termosu prosi w kawiarniach – nikt jej nie odmawia. W chłodne noce przenosi się z partnerem bliżej otworów wentylacyjnych w dużych budynkach, śpią w kartonach, z których budują domek. Katrina czeka w kolejce na mieszkanie tymczasowe, ale to kwestia miesięcy, może lat – mówi reporterowi Bristol24/7, niezależnej gazety internetowej.

Między Primarkiem a rondem St James Barton (potocznie nazywanym The Bearpit, czyli Niedźwiedzi Dół) raptem dwa kroki. Wokół placyku z parkiem wieżowce i sznury samochodów. Turyści jadą tędy do dzielnicy uniwersyteckiej Clifton, ze słynnym Clifton Bridge. Z okien autobusów widać obozowisko bezdomnych. Lata temu Bearpit było centrum rozrywek squattersów, dzisiaj przez rondo przewijają się ludzie z różnych środowisk. Ryan i Vicky mówią, że są parą profesjonalistów, nie biorą narkotyków – chcieliby po prostu znaleźć mieszkanie. Przyjechali z Weston-super-Mare. Vicky prowadziła tam dom opieki, mieli gdzie mieszkać, płacili czynsz, ale zamiast oficjalnej umowy najmu doczekali się eksmisji. Vicky ma dzieci, przebywają teraz u rodziny. Nie wiedzą, że mama mieszka w parku.

Timothy ma dyplom z ekonomii i jest nauczycielem matematyki. Odkąd stracił pracę, mieszka w namiocie. Też jest na liście oczekujących na lokum tymczasowe. Narzeka, że mieszkań wciąż brakuje, chociaż samorządy i organizacje charytatywne dostają olbrzymie kwoty na pomoc dla bezdomnych. Link, były szef kuchni, to z kolei weteran Niedźwiedziego Dołu, pod namiotem od siedmiu lat. „Jest mokro i zimno, miałem kolegów, którzy nie przeżyli z powodu braku koca", opowiada reporterce BBC. Przy temperaturze poniżej zera, opadach i wietrze uruchamiany jest SWEP (Severe Weather Emergency Protocol). Ośrodki społeczne i kościoły zwierają szyki, przyjmując jak największą liczbę potrzebujących. W listopadzie na czas złej pogody Link otrzymał pokój u metodystów w kościele. Zabrał ze sobą psa, dostał filiżankę herbaty, jedzenie, książkę, naładował telefon. Jego przyjaciel Geordie został pod namiotem w Bearpit. „Spotkałem się z nim o ósmej rano, dopiero w południe przestały mu się trząść ręce", mówi Link.

Z namiotów widać nieczynny dom towarowy Debenhams i ponury wieżowiec hotelu Premier Inn, oba przeznaczone do rozbiórki. Na miejscu Debenhamsa powstanie 500 nowych mieszkań, z których setka będzie sklasyfikowana jako „niedrogie". Premier Inn ustąpi miejsca pierwszemu prawdziwemu drapaczowi chmur w Bristolu – 28-piętrowemu, z 18-piętrowcem tuż obok. Zamieszkają w nich studenci. Ustawowo 20% lokali ma spełniać warunki mieszkań socjalnych. Co z tego wyniknie dla ludzi z parku? Zapewne nic, poza tym, że zostaną przeniesieni w inne miejsce.

Na palach i w kontenerach

Major, były żołnierz, mieszka w wiosce kontenerowej należącej do organizacji Help Bristol's Homeless

eprasa.pl d2b0a30df4

Rośnie liczba kobiet, które śpią na ulicach brytyjskich miast – w 2023 r. było ich 568, o jedną czwartą więcej niż w 2022 r. Nz. Cabot Circus, Bristol.

(HBH). Został jej rzecznikiem, mentorem nowych rezydentów i budowniczym. Dziesięć lat służył w armii. Kiedy wrócił z misji w Afganistanie, zmagał się z depresją i zespołem stresu pourazowego. Stracił oszczędności i dach nad głową. Nocował u matki, potem w jej samochodzie, w końcu trafił pod skrzydła organizacji weteranów wojennych. Po nawrocie choroby i pobycie na oddziale psychiatrycznym nie chciał go już nikt.

Jasper, założyciel HBH, również był żołnierzem, teraz jest ekspertem od zadań specjalnych, takich jak sytuacja Majora. Dał mu kąt, pozwolił się zadomowić. Potem pokazał, jak wyjść do ludzi, zachęcił do pracy przy odrdzewianiu i uszczelnianiu kontenerów. Major odkrył swoje powołanie, zapisał się na kursy budowlane, uzyskał uprawnienia. Został na osiedlu Jaspera. Zachęca innych, by poszli w jego ślady.

Takich miejsc jest w Bristolu więcej. Przy parku St George oddano do użytku domki na palach, zbudowane nad parkingiem w taki sposób, by nie zabierać miejsc na samochody. Stworzono tam 11 mieszkań dla młodych dorosłych znajdujących się w trudnej sytuacji i okazały się one sukcesem – pilotażowy program z Bristolu zaczęto wdrażać na szczeblu krajowym od 2022 r. Miniosiedla, domy kapsułowe wpisują się w model „Housing first" – najpierw mieszkanie. Importowany z Ameryki program jest przeznaczony dla tych, którzy zmagają się z długotrwałą bezdomnością, z uzależnieniami, w kryzysie psychicznym, a po otrzymaniu samodzielnego mieszkania są gotowi na całościową opiekę: terapię, pracę i socjalizację.

Ludzi, którzy wciąż są na ulicy, dobrze znają wolontariusze z Feed the Homeless, mobilnego serwisu cateringowego działającego w centrum miasta od 2016 r. Coraz więcej osób ustawia się w kolejce po ciepły posiłek, przybyło wśród nich rodzin z dziećmi, uchodźców. Wolontariusze również uważają, że sytuacja stała się krytyczna ze względu na dotkliwy brak mieszkań. Ale i ci, którzy mają mieszkania, przychodzą po darmową zupę. To najczęściej osoby z niestabilnym zatrudnieniem, które wcześniej nie korzystały z pomocy.

Mówią, że zlikwidują problem

W manifeście programowym z 2019 r. rząd torysów zobowiązał się położyć kres bezdomności do 2024 r. Tymczasem co trzecia osoba w Bristolu obawia się bezdomności, jak wynika z ankiety przeprowadzonej przez 1625 Independent People, organizację charytatywną zajmującą się bezdomnością młodych ludzi. Według dziennika „Bristol Post" w 2023 r. liczba osób nocujących na ulicach (ang. *rough sleeping*) wzrosła o 16% w porównaniu z rokiem poprzednim. Spanie na zewnątrz lub w miejscach nieprzeznaczonych do zamieszkania, takich jak samochody, klatki schodowe i opuszczone budynki – to jeden z najbardziej widocznych rodzajów bezdomności.

Radny miejski Tom Renhard (Partia Pracy) wymienia dwie główne przyczyny bezdomności w Bristolu. Pierwsza to eksmisje bez winy najemcy, czyli tzw. Sekcja 21, klauzula pozwalająca właścicielowi wypowiedzieć najemcy umowę z dwumiesięcznym wyprzedzeniem bez podania przyczyny. Druga to przyjaciele i rodzina, którzy nie mogą już gościć osoby bez stałego zamieszkania.

Każdej nocy na ulicach Bristolu śpi ok. 180 osób.

A w systemie powstało wąskie gardło. Mieszkanie tymczasowe od miasta otrzymało w 2023 r. 1,3 tys. osób. To wzrost o 87% w ciągu czterech lat. W kolejce czekają tysiące ludzi w sytuacjach kryzysowych (nie licząc objętych programem mieszkań socjalnych). Rada miejska wydaje około miliona funtów rocznie tylko na zakwaterowanie w hotelach i hostelach, ponieważ brakuje lokali tymczasowych. Zdaniem Craiga Cheneya, zastępcy burmistrza Bristolu, od maja 2024 r. tymczasowe zakwaterowanie zwiększa koszty

eprasa.pl d2b0a30df4

wszystkich samorządów w kraju w „przerażającym tempie". „To objaw tego, że pozwalamy rynkowi decydować o mieszkalnictwie, a rynek zdecydował, że tak naprawdę nie interesują go skutki społeczne, liczą się jedynie zyski", stwierdził Cheney, cytowany przez Bristol24/7.

Dekady niepowodzeń w budowie niedrogich domów socjalnych sprawiły, że dla wielu osób najem prywatny stał się jedyną opcją. Czynsze rosną, właściciele mogą je swobodnie podwyższać, bo jeśli najemca nie będzie w stanie zapłacić, można się go pozbyć w dwa miesiące i pozyskać nowego, który zapłaci więcej. Średni koszt najmu w Wielkiej Brytanii wzrósł o 9% w ciągu 12 miesięcy (do lutego 2024 r.). To najwyższy roczny wzrost od rozpoczęcia pomiarów w 2015 r. W samej Anglii, nie licząc Londynu, miejscem z najdroższym najmem prywatnym jest właśnie Bristol, gdzie według Narodowego Biura Statystycznego średni czynsz wynosi 1734 funty miesięcznie.

Od czasów kadencji premier Theresy May w Wielkiej Brytanii mówi się o wprowadzeniu Ustawy o prawach najemców (Renters' Rights Bill). Miałaby zrewolucjonizować rynek najmu prywatnego. Właściciele nieruchomości nie będą mogli eksmitować najemców bez uzasadnionego powodu. Najemcy zyskają również prawo do kwestionowania podwyżek czynszu. Właściciele mieszkań zostaną zobowiązani do szybkiego reagowania na zagrożenia zdrowotne, takie jak wilgoć i pleśń, co zapewni bezpieczniejsze warunki mieszkaniowe. W zawilgoconych mieszkaniach Bristolu może to być prawdziwa zmiana.

Torysi zwlekali z procedowaniem ustawy, obecny rząd ma szansę wprowadzić ją w życie latem 2025 r. i tym samym wypełnić jedno ze zobowiązań zawartych w manifeście Partii Pracy.

Ludzie bezbronni

Wróćmy na chwilę do Cabot Circus, gdzie w jednej z sieciówek ukrył się nasz konsument. Inwestycja warta pół miliarda funtów miała służyć rewitalizacji śródmieścia. Sklepy otwarto tuż po upadku banku Lehman Brothers, na początku światowego kryzysu. Wtedy było bardziej luksusowo, dziś konsument ma dostęp do towarów z nieco niższej półki. Coraz częściej zamawia też przez internet. Mimo to centrum trwa i nieźle się broni. Jego zwolennicy boją się czegoś innego: wzrostu liczby osób śpiących pod gołym niebem i żebrzących w pobliżu sklepów.

Wyjścia z Zary, nie licząc ochrony sklepu, pilnują grupki strażników miejskich i policjantów. To odpowiedź miasta na obecność bezdomnych w miejscu, gdzie mogą liczyć na wsparcie finansowe ludzi udających się na zakupy. Funkcjonariusze mają prawo zatrzymać osobę podejrzaną na podstawie Ustawy o włóczęgostwie z 1824 r. Władze miasta wiedzą, że nie zmniejszą w ten sposób bezdomności, a ukarani grzywnami nie będą mieli z czego zapłacić. Policja twierdzi, że oferuje osobom w kryzysie bezdomności przede wszystkim wsparcie, a prawo egzekwuje w ostateczności.

W bieżącym numerze także:

Adam Baczko
Wyzwania przed talibami u władzy

Alexia Eychenne
Koszmary kuchenne

Akram Belkaïd
Dylematy świata arabskiego

Anna Lowenhaupt Tsing
Akumulacja odzyskowa

Do nabycia w salonach prasowych empiku
Roczna prenumerata (6 numerów): 92 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Santander Bank Polska
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa"
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl
www.monde-diplomatique.pl

FOT. MIECZYSŁAW MUSZYŃSKI, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl d2b0a30df4

Miasto, uznane sześć lat temu za europejską stolicę kokainy, dziś walczy na kolejnym froncie – kryzysu kosztów życia, inflacji i braku mieszkań.

Za zniesieniem archaicznego prawa opowiedzieli się parlamentarzyści, naukowcy, organizacje charytatywne i społeczeństwo. W Szkocji uchylono je w 1982 r., przez dziesięciolecia nie było stosowane w Anglii i Walii. Jednak w ostatnich latach kilka samorządów w kraju, w tym władze Bristolu, przywróciło prawo do aresztowania osoby, która „ustawiła się w jakimkolwiek miejscu publicznym, na ulicy, autostradzie, w sądzie lub w przejściu, aby żebrać lub zbierać jałmużnę". Dwa lata temu parlament zagłosował za uchyleniem części przepisów, ale prawa nie zniósł. Co więcej, torysi byli o krok od wprowadzenia ustawowych kar za notoryczne spanie na ulicy w Anglii i Walii. Uprawnienia policji miałyby obejmować: przemieszczenie osoby podejrzanej, grzywnę do 2,5 tys. funtów, a nawet karę pozbawienia wolności. Dzięki kampanii społecznej rząd poszedł na ustępstwa i usunął niektóre zapisy z projektu ustawy, chociaż ogólne podejście pozostało takie samo. Po zmianie rządu projekt upadł.

W Anglii od XIV w. włóczęgostwo traktowane było jako zagrożenie dla ekonomicznej stabilności kraju. W XVII w. wszystkich ubogich objął nakaz pracy, a przytułki zamieniono w *workhouses*. Pierwszy bristolski *workhouse* był połączeniem karnego domu pracy dla bezrobotnych z miejscem opieki dla osób starszych i chorych, w tym z zaburzeniami psychicznymi. Warunki bytowe z założenia miały być złe, tak by odstraszać członków najniższej klasy społecznej. W nieogrzewanych salach spały po dwie osoby na łóżku. Od siódmej rano do siódmej wieczorem trwała praca z przerwą na modlitwę i skromny posiłek. Małżonków rozdzielano w celu kontroli urodzeń. Założenie, że *workhouse* przyniesie zyski, nie sprawdziło się. Na pewno jednak odciążał parafian w obowiązku opieki nad ubogimi.

Bezdomność na podium

Była brytyjska minister spraw wewnętrznych Suella Braverman powiedziała rok temu, że korzystanie przez bezdomnych z namiotów to „wybór stylu życia". Dodała, że istnieją „inne opcje" dla ludzi, którzy nie chcą spać pod gołym niebem. Obiecywała ochronę „przestrzegającej prawa większości" przed rozbijającymi namioty w miejscach publicznych, agresywnymi żebrakami, złodziejami, zażywającymi narkotyki. „Inne opcje" to ta redukowana przez torysów od lat pomoc społeczna, te nadgniłe marchewki na kiju.

„Zamiatanie ulic" – tak amerykańska policja nazywa likwidowanie obozowisk bezdomnych. Od 2021 r. Kalifornia „oczyściła" miasta z ponad 12 tys. koczowisk. Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych orzekł, że miasta mogą karać grzywnami osoby bezdomne, nawet jeśli brakuje dla nich schronienia. Tym samym utorował drogę do całkowitego zakazu rozbijania obozowisk.

W przeciwieństwie do USA sądy w prowincjach kanadyjskich orzekły, że osoby w kryzysie bezdomności mogą biwakować na terenie miasta, jeżeli nie są dostępne odpowiednie schroniska. Kanadyjski Halifax (Nowa Szkocja) zalegalizował obozowiska, wyznaczając pod nie dziewięć lokalizacji. Jak podaje BBC, Nowa Szkocja nie zbudowała żadnych nowych mieszkań komunalnych od 1995 r. A jedną z największych grup wśród bezdomnych są ludzie, którzy nie mają wystarczająco dużo pieniędzy na czynsz w związku z podwyżkami. Na ulicach śpią seniorzy, studenci, całe rodziny. W Halifaksie buduje się dużo wielopiętrowych apartamentowców, ale dla osób z niskimi dochodami żaden nie jest przystępny cenowo. Kanadyjska krajowa baza danych szacuje, że obecnie w całym kraju jest 235 tys. osób bezdomnych. Z porównania oficjalnych danych wynika, że liczba ta plasuje wskaźnik bezdomności w Kanadzie powyżej poziomu odnotowanego w USA i w Anglii.

Co się wydarzy w kwestii bezdomności w krajach anglosaskich do końca bieżącej dekady? Według prognoz liczba osób bez dachu nad głową w Kanadzie podwoi się, a zagrożonych bezdomnością będzie milion Kanadyjczyków. Naukowcy z USA przewidują trzykrotny wzrost populacji osób w starszym wieku, których nie będzie stać na utrzymanie miejsca zamieszkania. W Anglii zdaniem ekspertów ds. mieszkalnictwa 5 mln gospodarstw domowych zderzy się ze ścianą, jeśli chodzi o koszty utrzymania.

– Napisz o Finlandii – radzi syn, od półtora roku bristolczyk z wyboru. Obecnie w Helsinkach jest jedno schronisko na 50 łóżek. Program „Housing first" przyniósł tam realne efekty: po 16 latach osoby w kryzysie bezdomności zniknęły z ulic, ogólny poziom bezdomności spadł o jedną trzecią. Finlandia korzystała z solidnej bazy mieszkań socjalnych, konsekwentnie dobudowując nowe. Anglia potrzebuje 100 tys. nowych, tanich mieszkań rocznie, przez dziesięć lat. W Bristolu na mieszkanie socjalne czeka ponad 20 tys. gospodarstw domowych.

Zuzanna Muszyńska
z.muszynska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl d2b0a30df4

Klimat kontra sport

Globalne ocieplenie zmienia sporty zimowe. Czy nadchodzi koniec tradycyjnego narciarstwa?

Wizja bezśnieżnych zim spędza sen z powiek ludziom zatrudnionym przy obsłudze wyciągów i nartostrad, w hotelach, restauracjach, nawet na rynku pamiątek.

Chrystian Ślusarczyk

W muzeum, skansenie czy w hali na nawierzchni ze sztucznym śniegolodem? Zapewne wielu zadaje sobie pytanie, czy tak nasze wnuki będą widzieć narciarstwo i inne sporty zimowe. Czy za kilkanaście lat takie dyscypliny w ogóle będą jeszcze istnieć? A może pomysłowe pokolenia Z i Alfa zastąpią je innymi, lepiej oddającymi rzeczywistość sportowo-pogodową? Czy narty oraz snowboard będą musiały się schować pod dach i przeistoczyć w takie same sporty halowe jak siatkówka bądź tenis stołowy?

Globalne ocieplenie coraz bardziej wpływa na rzeczywistość. Wizja bezśnieżnych zim spędza sen z powiek ludziom zatrudnionym przy obsłudze wyciągów i nartostrad, w hotelach, restauracjach, lokalnym transporcie, nawet na rynku pamiątek. Dotkliwie odczuwają te zmiany właściciele alpejskich stacji narciarskich, głównie we Francji, choć w innych częściach Alp, Karpat czy Pirenejów nie jest lepiej.

W ostatnich 50 latach we Francji zamknięto prawie 180 nierentownych ośrodków narciarskich. Przykładem tego, jak aura niszczy prosperujące przez lata stacje alpejskie, jest niedawne zamknięcie ośrodka Le Grand Puy. Zarząd tamtejszej gminy i mieszkańcy doszli do wniosku, że nie stać ich na dalsze finansowanie infrastruktury narciarskiej (w referendum 71% opowiedziało się za zamknięciem stacji). Władze jednocześnie wydały komunikat, że z zimowych sportów pozostawią jedynie… wyścigi psich zaprzęgów. Taki sam los spotkał inny francuski ośrodek narciarski, Alpe du Grand Serre. Jego włodarze, świadomi zmian klimatycznych, stworzyli specjalny projekt „Alpe du Grande Serre 2050" zakładający stopniowe przeorientowanie tego miejsca z zimowych rozrywek na letnie. – Zamknięcie kolejnych ośrodków we Francji to tylko kwestia czasu. Zagrożonych likwidacją jest dziś kilkanaście stacji – uważa Guillaume Gontard, reprezentant grupy ekologicznej we francuskim Senacie. I dodaje, że zamknięcie Alpe du Grande Serre to nie tylko koniec pewnej historii, ale także pozbawienie pracy co najmniej 200 osób.

Cierpią nie tylko ośrodki francuskie. Niemieckich narciarzy zaskoczyła wiadomość, że w tym sezonie szusowanie w Jenner-Schönau am Königssee/Berchtesgadener Land przejdzie niestety do historii. Powód? Taki jak we Francji – brak śniegu i zbyt wysokie koszty utrzymania, których głównym powodem jest sztuczne naśnieżanie.

eprasa.pl d2b0a30df4

Zeszłoroczny śnieg ich obchodzi

Większość narciarzy, którzy wybrali się na początku października do Levi w północnej Finlandii, nie zdaje sobie sprawy, że szusowała po śniegu… z poprzedniej zimy. Finowie w obliczu zmian klimatycznych przypomnieli sobie, jak skutecznie można przechowywać śnieg nawet przez 12 miesięcy. Powrócili do sprawdzonych wieki temu metod z użyciem trocin – które w zacienionych miejscach skutecznie zachowywały śnieg do następnej zimy. Aby przechowywanie było jeszcze efektywniejsze, Finowie postawili na połączenie tradycji z technologią XXI w. Zaczęli produkować i stosować specjalne maty z polistyrenu. Są one wykorzystywane już w dwóch stacjach – we wspomnianym Levi oraz w Kuusamo, znanym u nas z Pucharu Świata w Skokach Narciarskich. Zdając sobie sprawę, jak poważnym zagrożeniem jest globalne ocieplenie, po raz pierwszy w tym sezonie z dobrodziejstw mat polistyrenowych postanowiły skorzystać też ośrodki zagraniczne. Fińska technologia przechowywania śniegu trafi m.in. do Szwajcarii i Norwegii. Na wieść o skutecznym działaniu mat szczególnie ucieszono się w Sierra Nevada w hiszpańskiej Andaluzji. Południowe słońce z roku na rok czyniło na tamtejszych stokach ogromne spustoszenia, zagrażając istnieniu lubianego w Europie kurortu.

„Recykling śniegu", jak mówi się dzisiaj w Levi, rozpoczął się siedem lat temu. Wyznaczono tam dziewięć miejsc, w których jest on magazynowany. W 2024 r. udało się zgromadzić 200 tys. m sześc. Czy to dużo? W Levi byli przekonani, że tak. Sezon na nartostradach rozpoczął się w pierwszy weekend października. Niestety, po kilku dniach temperatura podskoczyła do 12 st. C, a po nartostradach zaczęły płynąć rzeki – bardzo kosztowne, bo z przechowanego zeszłorocznego śniegu. Dodatnia temperatura utrzymywała się również nocą, co uniemożliwiało włączenie armatek śnieżnych. Na szczęście zima wróciła i w połowie listopada udało się w Levi zorganizować Puchar Świata w Narciarstwie Alpejskim.

Narty, przede wszystkim biegowe, to od wieków skandynawski sposób na spędzanie wolnego czasu na świeżym powietrzu. W Helsinkach czy Turku z roku na rok pada coraz mniej śniegu. Nie dziwi zatem, że użycie mat z polistyrenu wydaje się rozwiązaniem, które ocali trasy biegowe przed zgubnym działaniem ciepła.

Jazda w śnieżnym tunelu w Melbourne dla bardziej zaawansowanych.

W obliczu zmian klimatycznych Finowie przypomnieli sobie, jak skutecznie przechowywać śnieg nawet przez 12 miesięcy.

Ukraińcy stawiają na… narty

W Kijowie, mimo wojny i globalnego ocieplenia, postanowiono, że jednym ze sposobów na odbudowę ojczyzny będzie inwestycja w nową stację narciarską, która przyciągnie zagranicznych narciarzy i turystów. Nasz wschodni sąsiad od kilkunastu lat szczyci się stacją, której możemy mu pozazdrościć. To Bukowel, ośrodek w sercu Karpat, w obwodzie iwanofrankowskim, 250 km od granicy z Polską. Ci, którzy tam szusowali, potwierdzają, że 16 wyciągów i prawie 70 km tras zjazdowych to warunki niemal alpejskie. Mimo wybuchu wojny stacja funkcjonuje także dziś.

Nowe centrum GORO Mountain Resort będzie jeszcze nowocześniejsze. Inwestorem jest ukraiński potentat paliwowy OKKO Group. Ośrodek powstanie w obwodzie lwowskim, pod masywem Wysoki Wierch. Docelowo będzie tam można szusować po 41 km nartostrad! Noclegi znajdziemy w 25 hotelach. Ukraińska inwestycja ma kosztować 1,5 mld dol. Pierwszych narciarzy w ośrodku Ukraińcy przywitają na przełomie 2028 i 2029 r.

Wiadomo, że na 50 ha GORO Mountain Resort mają powstać trasy zjazdowe i dla biegaczy, na których będzie sztuczny śnieg. Ale czy uda się go wyprodukować? Ukraińcy chyba zapomnieli, że inwestycja ma powstać w górach, których najwyższe szczyty sięgają ledwie 1800 m n.p.m., natomiast dolne stacje gondol i krzesełek będą usytuowane na mało dziś śnieżnych wysokościach – 500-600 m n.p.m.

Igelit i inne zamienniki

Skoro nie możemy jeździć po białym i zimnym, czy mamy coś w zmian? W dobie globalnego ocieplenia najpewniejszym zamiennikiem wydaje się igelit, sztuczne tworzywo uzyskiwane

FOT. SHUTTERSTOCK, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl d2b0a30df4

w procesie polimeryzacji chlorku winylu (ok. 80%) i estrów kwasu akrylowego (ok. 20%).

Igelit jest dobrze znany skoczkom narciarskim (co roku odbywa się letnie grand prix w skokach). Niemal nieznany pozostaje natomiast zawodnikom uprawiającym narciarstwo alpejskie. Trudno dziś w Europie o ośrodki narciarskie, które latem (a może i zimą?) mogłyby się pochwalić nartostradami pokrytymi igelitem. Teoretycznie powinno się jeździć po nim bezpiecznie, ponieważ – podobnie jak śnieg – ma niski współczynnik tarcia. Igelit może być zraszany wodą, aby jeszcze zmniejszyć tarcie. Co ciekawe, by ślizgać się po nim, musimy smarować narty inaczej niż zimą. Ci, którzy nie stronią od letnich jazd, twierdzą, że najlepszym smarem jest w tym wypadku popularny płyn do mycia naczyń Ludwik.

Ze względu na niskie tarcie igelit powinien zapewniać bezpieczne ślizgi. W praktyce jednak jest inaczej, a upadki bywają bolesne i nietrudno o kontuzje. Jako że nawierzchnia tego typu musi być skrapiana, często pojawiają się odcinki mniej lub bardziej mokre, co utrudnia płynną jazdę. Problemem jest też szybszy proces niszczenia nart i krawędzi niż podczas zjeżdżania po śniegu, nawet sztucznym.

Najbardziej znanym polskim stokiem narciarskim o nawierzchni igelitowej jest warszawska Górka Szczęśliwicka, jedyny tego typu obiekt na Mazowszu, zaliczany do najładniejszych miejskich obiektów w Europie. Stok przy ulicy Drawskiej latem pokryty jest igelitem. Górka teoretycznie miała służyć warszawiakom i narciarzom z profesjonalnych klubów, przygotowującym się do sezonu. Ale że zimy mamy, jakie mamy, jej funkcja nieco się zmieniła.

O tym, że narciarze nie przepadają za igelitem, świadczy przykład Poznania i stoku z widokiem na Jezioro Maltańskie. W 1993 r. powstał tam pierwszy w dawnym bloku wschodnim stok do całorocznej jazdy na nartach. Z czasem jednak zrezygnowano z nart w okresie letnim. Dziś sezon narciarski trwa od października do kwietnia.

W Europie takich obiektów jak warszawski jest mało. Sztuczną górką z igelitem przez 32 lata mogła się chwalić Bruksela. Jednak w 2021 r. brak chętnych do jazdy po tej nawierzchni zmusił właścicieli obiektu w Anderlechcie do jego zamknięcia. Jedyny ślad po centrum Yeti Ski to drink bar przy dawnej dolnej stacji wyciągu.

U nas także nie wszystkie igelitowe letnie nartostrady przetrwały. Przykładem tego, że narciarze nie chcą jeździć po tym podłożu, jest otwarty z wielką pompą w 2012 r., kosztujący ponad 5 mln zł, stok z wyciągiem w Międzyrzecu Podlaskim, o długości 180 m. Od początku mało kto z niego korzystał. Powód – bolesne zetknięcie narciarzy z igelitem.

Najbardziej znanym polskim stokiem o nawierzchni igelitowej jest warszawska Górka Szczęśliwicka, jedyny tego typu obiekt na Mazowszu.

Pod dachem i w cylindrze

Stoki narciarskie pokryte kontrowersyjnym igelitem nie są jedynym wyjściem w przypadku zmian klimatycznych. W wielu krajach możemy szusować po sztucznym śniegu w obiektach pod dachem. Najsłynniejsza i największa hala do nart alpejskich znajduje się w Dubaju. Zajmuje powierzchnię 22,5 tys. m kw., ma 85 m wysokości i 80 m szerokości. Mieści pięć sztucznie naśnieżanych stoków. Najdłuższy odcinek trasy liczy 400 m.

Ostatnio w Europie spory kryty stok do jazdy na nartach po sztucznym śniegu powstał w niezbyt oczywistej lokalizacji – na równinnym obszarze litewskich Druskiennik, niedaleko polskiej granicy. W tamtejszej Snow Arenie możemy szusować po dwóch trasach: 460-metrowej czerwonej i 150-metrowej niebieskiej. Kilka lat temu podobny obiekt miał powstać w sercu gór, w słowackiej stacji narciarskiej PARK SNOW Donovaly, z panoramicznymi widokami na kilka pasm górskich. Ostatecznie m.in. te widoki zadecydowały, że mieszkańcy miejscowości słynącej z mikroklimatu i sporych ilości śniegu nie zgodzili się na budowę krytej hali do nart alpejskich.

Biegacze narciarscy z kolei – bez względu na pogodę – powinni się udać do LOTTO Thüringen Skisport-HALLE w niemieckim Oberhofie. W tamtejszej hali o powierzchni 10 tys. m kw. można biegać m.in. po trasie o długości 2 km.

Skutecznym pomysłem na ocieplenie klimatu może się okazać również propozycja z antypodów. Choć Australii z pewnością nie kojarzymy z białym szaleństwem, to najdłuższa nartostrada na świecie powstała właśnie w Melbourne. To, że jest najdłuższa, nie ulega dyskusji. Australijska nartostrada jest bowiem… nieskończona. Pomysł na tzw. snowtunnel (śnieżny tunel) powstał 20 lat temu, ale zrealizowany został dopiero w ubiegłym roku. To sporych rozmiarów cylindryczna konstrukcja kręcąca się wokół własnej osi. Wewnątrz pokryta jest śniegiem, oczywiście sztucznym. Tunel pozostaje czynny przez cały rok. Autorem pomysłu jest Australijczyk Darren Visser, który od najmłodszych lat wykazywał zainteresowanie obróbką metalu, a prototyp konstrukcji powstał w jego… szopie. Po kilku latach zbudował tunel z prawdziwego zdarzenia. Pomysł wzbudził zainteresowanie właścicieli całorocznych hal narciarskich jako dodatkowa (a może jednak główna?) atrakcja. Dla kogo przeznaczona jest tunelowa nartostrada? Początkujący narciarze raczej jej unikają. Znacznie częściej wybierają tunel snowboardziści niż klasyczni alpejczycy.

Czy jazda w niekończącym się tunelu może być nudna? Dla niektórych z pewnością tak, bo przebieg cylindrycznej nartostrady można poznać już po pierwszych metrach. Ale czy w dobie ocieplającej się, coraz bardziej kapryśnej aury nie będziemy już na zawsze skazani na takie i podobne wynalazki?

Chrystian Ślusarczyk

eprasa.pl d2b0a30df4

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Tylko uciążliwy czy jednak potworny?

Zarzekałem się: nie prognozować, nie przewidywać, nie wchodzić w buty autorów rutynowych tekstów po Nowym Roku. (Dlaczego właściwie piszemy to wielkimi literami? Nic mu przecież jeszcze się nie należy. Na nic sobie nie zasłużył).

Ale trudno, co poradzić. Będzie intensywnie, będzie inaczej, będzie jak zwykle, tylko bardziej, będzie się działo. To, co nie podobało się w poprzednich latach, jeszcze bardziej zacznie doskwierać nam w tym roku.

Inni odczują to zresztą jeszcze intensywniej. Stanom Zjednoczonym, a tym samym całemu światu, „zwali się" na głowę Trump, a co gorsza – Musk i jego banda miliarderów. Wyznaczenie ich do roli osób zajmujących się państwem (państwami) jest nie tylko całkowitym nieporozumieniem, ale i tragedią niekompetencji, uzurpacji, przekonania o własnej wielkości, dbaniem o prywatne interesiki. W świecie zarządzanym technologicznie przez narcyzów, rzadko – jeśli coś w ogóle może pójść dobrze – cokolwiek wychodzi. Będzie zatem dużo gorzej. Projekt „człowiek" na tym zdecydowanie ucierpi. Cała nasza duma z bycia zwierzęciem „myślącym" idzie w szkodę. I choć nasze szanse są potencjalnie niewyobrażalne, nie umiemy z nich korzystać dla dobra całości lub choćby większości. Służymy nielicznym, przez których planeta jest śmiertelnie zraniona. Nie uczymy się, nie poprawiamy błędów, nie wyciągamy wniosków. Umoszczeni w dryfującej, konsumpcyjnej kapsule, nie mając nadziei na inny świat, wyśmiewamy tych, którzy próbują nas kasandrycznie ostrzegać. Oddajemy odpowiedzialność za czas, za własne życie, za przyszłość bliższą, a szczególnie tę trochę dalszą, nie widząc dalej niż horyzont kolejnych, nic niewnoszących wyborów. Dajemy władzę ludziom jej spragnionym, a nie tym, którzy mogliby unieść jej brzemię. Nie odczuwamy solidarności w szerszym znaczeniu tego słowa: klimatycznej, globalnej, pokojowej, równościowej. Poziom zaśmiecenia przekazu medialnego jest niewyobrażalny i tak powszechny, że nie widzimy już prawdziwego świata, własnego życia, oczekiwań. Mam niemal nieodparte przeczucie, że żyjemy w świecie na opak, ale tak opakowanym, że każdy dzień konsumujemy bez świadomości, że jutro będzie jeszcze groźniejsze i straszniejsze.

Niewiele nas rusza. Tylko lawiny pustych życzeń schodzą niepowstrzymanie, tylko głosy puste grzmią jak dno wyschniętej studni, czego nie zauważamy, bo wciąż leci woda z kranu.

W Polsce też zastępczo będziemy się ekscytować wyborami prezydenckimi. Jedyne, co pewne, to wiedza, że dla niektórych ich wynik to być albo nie być. Jako społeczeństwo wyzbyliśmy się politycznych ciał odpornościowych. Jesteśmy bezbronni wobec zdeterminowanych, żądnych władzy graczy. Państwo nabrało kolorów nieprzekonujących – trudno doprawdy z pełnym przeświadczeniem powiedzieć, czego chcą ludzie nim zarządzający i na czym im zależy. Ale i tak jawi się jako ostatnia nadzieja przed nadejściem i panowaniem rządów rodem z politycznej dżungli. Ostatkiem sił próbuję się przekonywać, że może nadejdzie opamiętanie inne niż potworna katastrofa, jak dotąd bywało w historii. Ale brakuje mi twardych argumentów. Na czym oprzeć przekonanie, że tym razem będzie inaczej? Nie mam pojęcia, choć czasami znajduję takie postacie, takie głosy słyszę, zachowania dostrzegam. Nie znajdują jednak posłuchu, akceptacji, ba – nawet zainteresowania.

Kończyłem miniony rok i witałem obecny, czytając historię legendarnego amerykańskiego „The New Yorkera" („The New Yorker. Biografia pisma, które zmieniło Amerykę") świetnie opowiedzianą przez Michała Choińskiego. Historię pisma, które przez ponad sto lat było i jest synonimem wszystkiego, co najlepsze i najwartościowsze w świecie mediów, a już z całą pewnością amerykańskich. To lektura wciągająca i pełna pasji, choć kończyłem ją z poczuciem, że fenomen tego periodyku publikującego przez dekady ważne i piękne teksty, zaskakujące i idące pod prąd okładki opowiada w sumie także dość ponurą historię samozachwytu, dystansu uprzywilejowanego świata wobec realnych, kluczowych problemów (rasizm w USA, militaryzm, grzechy i zbrodnie kapitalizmu). Bo w każdej z tych kwestii nadszedł czas na publikacje przełomowe i zmieniające panujący pogląd. Pozostaje więc pytanie, jak można było tak długo być ślepym, będąc najlepszym z najlepszych? Najuczciwszym z uczciwych, najwybitniejszym z wybitnych? Może straciliśmy umiejętność oglądania i opisywania świata, tak żeby rozumieć, co idzie nie tak? Śmialiśmy się i szydziliśmy z wielkich narracji? Bez nich jesteśmy już nie tyle śmieszni, ile bezradni lub skończeni. A nowych na horyzoncie nie widać. Tysiąc lat temu Bernard z Chartres mówił, że jesteśmy tylko karłami na barkach olbrzymów, dlatego widzimy dalej. Dzisiaj świat opisują nam karły podkładające sobie nogi i nabijające swoje cyfrowe sakiewki. A my co? A my nic.

Przepraszam za noworoczny defetyzm – pewnie dlatego, że śniegu nie ma. Ale i tak najlepszości życzę, może się otrząśniemy. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl d2b0a30df4

Rozmawia Jan Tracz

W aktorstwie nic nie jest czarno-białe

To piękny, ale wyniszczający od środka zawód, ma stres wpisany w DNA

GABRIELA MUSKAŁA
– aktorka, scenarzystka, dramatopisarka i reżyserka

Absolwentka i wykładowczyni łódzkiej Filmówki. Grała w teatrach łódzkich i warszawskich. Od 2019 r. związana z Teatrem Narodowym w Warszawie. Laureatka wielu prestiżowych nagród i wyróżnień, w tym czterech teatralnych Złotych Masek, filmowego Orła, głównej nagrody na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni czy Srebrnego Medalu Zasłużony Kulturze Gloria Artis. Uznanie i popularność przyniosły jej m.in. role w filmach: „Fuga" w reżyserii Agnieszki Smoczyńskiej (Muskała jest też autorką scenariusza) „7 uczuć" Marka Koterskiego czy „Moje córki krowy" Kingi Dębskiej.

Aktorka, która reżyseruje. Ktoś powie, że ten mariaż niekoniecznie musi się udać. Słyszałaś komentarze w tym stylu? Jak na nie reagujesz?

– Na szczęście takie komentarze mnie ominęły. Nie słyszałam żadnych zarzutów, nikt też nie wyrażał wątpliwości pod moim adresem, choć w teorii każdy miałby do tego prawo, nigdy bowiem nie ukończyłam studiów reżyserskich. W dodatku od razu robię film pełnometrażowy, a przecież droga takiego „prawdziwego" twórcy filmu to są studia, asystowanie, krótki metraż, potem ewentualnie 30-minutowy film w Studiu Munka i dopiero pełna fabuła. Mówi się, że na prawdziwy debiut trzeba sobie zasłużyć. A ja, do tej pory aktorka, wypuszczam właśnie do kin mój pierwszy pełnometrażowy film! Pewnie rozumiałabym głosy krytyczne. Kiedy jednak przystępowałam do „Błaznów", nie miałam w sobie lęku, że nie podołam. Doskonale wiedziałam, o czym chcę opowiedzieć i w jaki sposób.

Jak się czułaś z tym, że to ty jesteś teraz tą osobą, która ma pełnię władzy? Że to od ciebie zależą losy początkujących aktorów i aktorek?

– Jedyne, co czułam w związku z tym, to odpowiedzialność. Mam taką osobowość, że nie grozi mi zachłyśnięcie się władzą, a zwłaszcza związane z tym ewentualne niestosowne zachowania. Aczkolwiek „niedostatek" cech przywódczych spowodował, że czasami musiałam budzić do walki moją słabą asertywność, by przekonująco i skutecznie powiedzieć: „Stop! To ja jestem reżyserką i mam tu ostatnie zdanie". Stawianie zdrowych granic również musiałam na planie wypracowywać. Ogromnie sobie cenię to, że nieustannie mogę się uczyć, rozwijać, a „Błazny" okazały się dla mnie kolejnym poligonem. Niemniej jednak moje wieloletnie doświadczenie filmowe bardzo mi pomogło i dało poczucie pewności po tej drugiej

eprasa.pl d2b0a30df4

stronie kamery. Na planie nie miałam wrażenia, że się gubię czy że nie podołam. Moja siła to też umiejętność współpracy z aktorami. Sama jestem przede wszystkim aktorką i umiem odczytać, czego inny aktor potrzebuje, by w pełni się otworzyć, aby jego emocje były autentyczne, a przy okazji nie skrzywdziły go prywatnie.

Nie każdy reżyser to potrafi. A jaki jest twój sposób na to, aby dotrzeć do swoich aktorów na planie?

– Zawsze staram się być otwarta i uważna, słuchać i odczytywać ich potrzeby. Reżyser powinien interesować się drugim człowiekiem, jego historią. A tym bardziej aktorami, którzy będą za chwilę przekaźnikiem jego intencji; materiałem, z którego ulepi swoje dzieło. Kiedy rozpoznamy noszony przez aktorów bagaż doświadczeń, będziemy wiedzieć, w jaki sposób pracować na ich emocjach, tak by jednocześnie dbać o ich dobrostan psychiczny. Gdy na planie dochodzi do manipulacji lub nadużyć względem aktorów, zawsze wynika to z pójścia na skróty, z osobistych frustracji reżysera lub braku empatii – albo z wszystkiego naraz, bo to najczęściej idzie w pakiecie.

Czyli całość sprowadza się do sztuki empatii.

– Istnieją wybitni reżyserzy, którym nie brakuje wyobraźni, geniuszu twórczego ani wiedzy technicznej, ale ci ludzie wciąż mają kłopot z rozgryzieniem tego nieszablonowego zjawiska, jakim są aktorzy. Frustracja wynikająca z nieumiejętności dotarcia do ich emocji i wydobycia z aktorów tego, co zakłada reżyser, to najprostsza droga do wykorzystania pozycji w hierarchii; reżyserzy wszak mają pełnię władzy nad aktorami. O tym także opowiada mój debiut. Scenariusz pisałam jeszcze przed rewolucją w łódzkiej Filmówce i innych instytucjach artystycznych w Polsce, ale już wtedy wiedziałam, że opowiem m.in. o nadużyciach w tej branży.

Od dekady wykładałam improwizację w szkole aktorskiej w Łodzi i przez wszystkie te lata słyszałam wiele historii od swoich studentów, do tego przeprowadziliśmy sporo dyskusji o mobbingu, o przekraczaniu granic i umiejętności ich stawiania. Premiera „Błaznów" musiała jednak poczekać na odpowiedni moment. Od wydarzeń w łódzkiej Filmówce minęły trzy lata, więc aktualnie możemy spojrzeć na ten cały problem z nieco dalszej i trzeźwej perspektywy. Dziś możemy rozmawiać i jedno będzie pewne: przemoc to zło i nie powinna być obecna w żadnej ludzkiej relacji. Ale mój film nie ma być oskarżycielski; on nie stawia tezy, tylko zaprasza do dyskusji. Pokazuje, że w naszym zawodzie nic nie jest czarno-białe, bo aktorzy, wchodząc w skomplikowane traumy bohaterów – bez względu na charakter pracy reżysera – i tak permanentnie stosują na sobie przemoc.

To o tym są dla ciebie „Błazny"? O sposobach, w jakie młodzi ludzie muszą sobie radzić z tym toksycznym zawodem?

– Z tym musimy sobie radzić przez całe nasze zawodowe życie, nie tylko na początku (śmiech). Ale tak, „Błazny" przede wszystkim opowiadają o tym, jak wyniszczający (choć i piękny!) mamy zawód i ile zdrowia nas kosztuje, jeśli wykonujemy go uczciwie. I jak ważne okaże się, aby w tej profesji zachować perspektywę z początku aktorskiej podróży, z czasu studiów, gdy wszystko jest jeszcze tak czyste i niewinne.

Czy to twoja odpowiedź na „Monument" Jagody Szelc? Skojarzenia nasuwają się same – po raz kolejny mamy do czynienia z pełnometrażowym filmem dyplomowym.

– Nie, bo to dwa odległe od siebie projekty. „Błazny" są już siódmym filmem dyplomowym z udziałem studentów ostatniego roku aktorskiego i to chyba jedyny punkt wspólny, jaki mają nasze produkcje. „Monument" Jagody Szelc to rzecz absolutnie fantastyczna, podobnie jak pierwszy film z tego projektu, czyli „Śpiewający obrusik" Mariusza Grzegorzka, ale przyznam szczerze, że zupełnie nie myślałam o tych tytułach przy pracy nad „Błaznami".

Dlaczego postawiłaś akurat na ten rocznik? Co cię w tej grupie ujęło? Część nazwisk – choćby Sebastiana Delę – mogliśmy zobaczyć na ekranie znacznie wcześniej.

– Sama koncepcja filmu dyplomowego daje twórcom wiele możliwości. Zamiast szukać nowych aktorów i kombinować przy castingach, angażujemy kolektyw młodych twórców, którzy doskonale się znają i potrafią znaleźć wspólny język nawet w najtrudniejszych sytuacjach. Moją ideą było, aby wszystkie role, i główne, i mniejsze, obsadzić samymi studentami. Jedynie do epizodów zaprosiłam Krystynę Jandę, Roberta Więckiewicza i Jana Englerta, ale oni pojawiają się na kilkanaście sekund, a ich obecność na planie tylko uskrzydlała naszą młodą ekipę.

Miałam szczęście, bo trafiłam na niezwykle utalentowany rok. Znałam ich, miałam z nimi zajęcia już na drugim roku i wiedziałam, że wniosą do „Błaznów" coś zupełnie świeżego. Pozytywnie zaskakiwali mnie talentem i zwyczajnym ludzkim pięknem, które na co dzień przynosili do szkoły. Dlatego tym bardziej się cieszę, że krytycy i widzowie zwracają uwagę na ich fenomenalne aktorstwo. Co do Sebastiana Deli, pomijając organiczność, która jest jego wielkim atutem, Sebastian ma w sobie wiele światów. On jest niezwykle elastyczny, w każdej wersji wiarygodny i chciałam ten magiczny aspekt jego aktorstwa w pełni wykorzystać. Natomiast przy pracy nad resztą obsady zależało mi na jeszcze jednej rzeczy.

Jakiej?

– Kiedy widownia otrzymuje czternastkę bohaterów, w dodatku, jak tutaj, młodych ludzi o nieznanych nazwiskach, to niebezpieczeństwo, że oni zaczną się odbiorcom mylić, zdaje się ogromne. Starałam się więc tak ich dobierać, żeby fizycznie byli od siebie różni. Warto przy tym podkreślić, że nikt nie gra tam samego siebie! Wojciech Marczewski powiedział kiedyś, że aktor 50% postaci przynosi ze sobą, a całą resztę wypracowuje z reżyserem i partnerami. Ale postacie w „Błaznach", choć mają podobne dylematy, co grający

Dobre aktorstwo ma sens tylko w porządnym projekcie.

eprasa.pl d2b0a30df4

ich studenci, od początku do końca są przez nich wykreowane.

Rozmawiamy o aktorstwie, ale na tym jednym aspekcie nie można zbudować całego dramatu.

– To prawda. Jeśli sama wystąpię w bardzo słabym filmie i ktoś mi powie, że dobrze zagrałam, nie będzie to dla mnie żaden komplement! Dobre aktorstwo ma sens tylko w porządnym projekcie i ta zasada towarzyszyła mi przy pisaniu scenariusza. Zależało mi na ukazaniu głębokich relacji między postaciami, które wybrzmią w porządnie poprowadzonej opowieści. Zawsze muszę pamiętać o tym, że moje zadanie jako scenarzystki i reżyserki to w pierwszej kolejności uwieść widzów poprzez interesująco opowiedzianą historię w dopracowanym scenariuszu. Dopiero potem mogę ich zauroczyć pracą kamery i prowadzeniem aktorów czy samym montażem.

Zanim przejdziemy dalej, o czym jeszcze opowiadają „Błazny"?

– Ludzie często myślą, że my, aktorzy, mamy taki luzacki, mało poważny fach. Często mówi się na nas „aktorzyny", „pajace" czy właśnie „błazny". „O! Pani aktoreczka", usłyszałam niedawno na ulicy. To zawsze dla nas przykre, kiedy komuś się wydaje, że mamy taki fajny zawód, bo porobimy miny, powygłupiamy się i jeszcze na tym zarobimy. Stąd też ten przewrotny tytuł mojego debiutu. Aktorstwo ma stres wpisany w DNA i w „Błaznach" zobaczymy to na przykładzie zmagań studentów, którzy biorą udział w castingu u znanego reżysera Gajdy. Ich walka o rolę będzie rzutować na ich długoletnie związki, relacje oraz przyjaźnie. Aby uczciwie wykonać swoją pracę, każdy z nich będzie musiał przekroczyć własne granice.

A to nie jest trochę taki metakomentarz na temat tego, że trzeba mieć w tym wszystkim zarówno trochę szczęścia, jak i samych znajomości? „Błazny" opowiadają o niemocy wybicia się w tym zawodzie. A główne postacie grają młodzi aktorzy, którzy zmagają się z tym również w rzeczywistości.

– To realne problemy. Ale wydaje mi się, że młodzi artyści są dziś niezwykle dojrzali, w pełni świadomi wszelkich niebezpieczeństw i konkurencji. Poza tym są niezwykle przedsiębiorczy i twórczy. Nie czekają na role, sami je tworzą – piszą sztuki, reżyserują, pracują nad wierszami czy zakładają agencje aktorskie. Nie czekają, tylko działają! Z pokorą startują do kolejnych castingów i nagrywają self-tape'y (taśmy próbne – przyp. red.). Czasami konkurują o tę samą rolę, ale w tym wszystkim nie tracą dobrego kontaktu ze sobą i wspierają się nawzajem. Z ręką na sercu mogę stwierdzić, że pracowałam w poczuciu obcowania ze wspaniałymi, świadomymi i dojrzałymi artystami.

Błazny

Młodzi artyści są dziś niezwykle dojrzali, w pełni świadomi niebezpieczeństw i konkurencji. Poza tym są niezwykle przedsiębiorczy i twórczy. Nie czekają na role, sami je tworzą.

Jak poradzić sobie z tą aktorską rywalizacją? Jak uspokoić swoje ego?

– Tak naprawdę wiele zależy od tego, w jaki sposób nastawiają do tego zawodu profesorowie i opiekunowie poszczególnych lat. Młodzi adepci aktorstwa, którzy zdali pomyślnie egzamin wstępny, zawsze myślą, że złapali Pana Boga za nogi! A tymi Bogami są ci, którzy już za chwilę w szkołach będą ich kształcić. Ci wszyscy studenci – pełni ufności i polegający na swoich mistrzach – wierzą we wszystko, co im się powie na zajęciach. W ten sposób naprawdę łatwo kogoś zbudować – albo sprawić, że się rozsypie, jeśli komentarz lub uwaga nie będą konstruktywne i pozostawią w poczuciu porażki. Na te roczniki, w których opiekunowie namawiali do współpracy i otwarcia na siebie, patrzyło się z radością. Ale pojawiali się też profesorowie mówiący im, że są dla siebie zagrożeniem i pod żadnym pozorem nie mogą sobie nawzajem ufać. I ci młodzi ludzie zamykali się jeden na drugiego i na świat w skorupkach nieufności.

Czy to dorośli powodują rozczarowanie tym zawodem?

– Czasami dorośli, czasami „niedorośli", a czasami sam zawód, który nie odwzajemnia naszej miłości do niego. Zdaję sobie sprawę, że mnie w wieku 55 lat łatwo mówić, żebyśmy wspierali się i nawzajem kochali, bo od lat spełniam się zawodowo. Ale fakty są takie, że z roczników, które w danej szkole kończy zwykle 20 absolwentów aktorstwa, w zawodzie pozostaje może jedna trzecia, a wśród nich tylko kilkoro, czasem dwie lub jedna osoba, robi tzw. karierę, gra w filmach, w teatrze, czyli robi to, o czym marzyli wraz ze znajomymi na początku wspólnej drogi. „Błazny" wynikają także z moich wieloletnich obserwacji losów kolegów, koleżanek, a ostatnio studentów, którzy właśnie kończą szkołę. Pokazujemy w tym filmie bohaterów spełniających się zawodowo na etapie studiów, ale i tych, których studia wpędzają w kompleksy. Jednego jestem jednak pewna – nikt nie powinien zabierać młodym marzeń o aktorstwie, zanim sami z nim się nie skonfrontują i nie wyciągną wniosków, czy oczekiwania idą w parze z ich możliwościami.

Jan Tracz

FOT. ALEKSANDRA MODRZEJEWSKA, PIOTR ŻURAWSKI

eprasa.pl d2b0a30df4

KURTYNA W GÓRĘ

Fraza Pilcha

„Inne rozkosze" według prozy Jerzego Pilcha to spektakl doprawdy rozkoszny. Wszystko tutaj się składa: czytelny scenariusz, malownicza scenografia, doskonale dobrana obsada. Jacek Głomb ma do Pilcha rękę, umie czytać jego frazę i tworzyć sugestywne spektakle – takie jak ten o kochliwym Kohoutku, który nie może się oprzeć żadnej niewieście. Sprowadza tym na siebie niebywałe kłopoty. Do jego rodzinnego ewangelicko-augsburskiego domu zjeżdża jego Aktualna Kobieta, co siłą rzeczy ma mnóstwo nieoczekiwanych następstw.

Świetny jest klimat spektaklu. Udało się przekazać specyficzną atmosferę: pracowitej rodziny, w której obowiązują twarde zasady luterańskie i w której żyje się „nadludzką pracą w nieludzkich warunkach" bez wytchnienia, ale w której też niemało rozmaitych dziwactw i ciągot, osobliwie do alkoholu.

Aktorzy namalowali tu soczyste, wiarygodne postacie. Kohoutek Oskara Hamerskiego budzi sympatię, współczucie i sporo łagodnego politowania dla słabego człowieka, który nie umie zarządzać swoim życiem. Nieco autystyczna Babka (Anna Chodakowska), malownicza jubilatka obchodząca co roku huczne urodziny, chciałaby się wymknąć spod kurateli nadopiekuńczej córki, Matki Kohoutka (Beata Fudalej), pozornie trzymającej wszystko pod kontrolą, a niedostrzegającej tego, co się dzieje obok. Ojciec, grany przez Mirosława Konarowskiego, zatopiony w mrzonkach, nadal roi o tężyźnie fizycznej, a pozbawiony złudzeń Doktor Oyermah Mariusza Benoit, choć bystry, nie może się oprzeć kolejnej butelczynie. Nie od tego jest też Pastor Jacka Mikołajczaka, trochę znużony i zagubiony w zmieniającym się świecie, pod opiekuńczą ręką żony (Anna Ułas). Energię życiową trwoni Pani Wandzia (Anna Gryszkówna) na daremne ambicje wyprowadzenia córki (Laura Pajor) na wirtuozkę skrzypiec. I wreszcie dwie kluczowe persony, czyli kobiety Kohoutka: zrezygnowana żona (Monika Dryl), która ma dość jego zdrad, i Aktualna Kobieta grana przez Justynę Kowalską, może naiwna, a może kuta na cztery nogi.

Sytuacje między domownikami Głomb rozgrywa jak iluzjonista. Wciąż zmieniają się relacje, rosną i gasną napięcia, toczy się zwyczajne życie, zakłócone nadzwyczajną obecnością Aktualnej Kobiety pod wspólnym dachem pozornie zgodnego małżeństwa. Jaką naukę wywiedzie z tego Kohoutek? Zrozumie sam siebie czy pozostanie zagubionym dzieckiem w dorosłym życiu?

Tomasz Miłkowski

„Inne rozkosze" według Jerzego Pilcha, reżyseria Jacek Głomb, Teatr Narodowy, Scena przy Wierzbowej im. Jerzego Grzegorzewskiego, premiera 7 grudnia 2024

Dał przykład Bertolt Brecht?

Reżyser wprowadził na scenę orkiestrę i znakomitych aktorów, ale kazał im przez prawie całe przedstawienie zmagać się z oporem bieżni treningowej bez silnika elektrycznego i do tego śpiewać. Nie wiemy, czy songspiel Bertolta Brechta do muzyki Kurta Weilla z 1927 r. też wymagał tyle wysiłku, jednak afterparty po spektaklu „Mahagonny" jest czymś oryginalnym. Czy czasy Wielkiego Kryzysu teraz się powtarzają? Warto sprawdzić.

Bronisław Tumiłowicz

„Mahagonny. Ein Songspiel / Afterparty", reżyseria i scenografia Krystian Lada, dyrygent Lilianna Krych, muzyka (afterparty) Katarzyna Głowicka, teksty (afterparty) Bartosz „Fisz" Waglewski, Teatr Studio w Warszawie, premiera 8 grudnia 2024

MIĘDZY OKŁADKAMI

Małgorzata Halber
Hałas

Cyranka, Warszawa 2024

Zaskakująca w formie i treści publikacja autorki, która osobistą powieścią „Najgorszy człowiek na świecie" wybiła się w świecie literackim. „Hałas" jest zbiorem… i tutaj trudno określić czego. Refleksji, notatek, felietonów. Trochę to dzienniki codziennego wkurzenia na otaczającą rzeczywistość, trochę socjologiczne miniatury. Halber bierze na warsztat nowe technologie, hałas, pracę w późnym kapitalizmie. Łapie się wszystkiego, ale można odnieść wrażenie, że przy każdym temacie ślizga się po powierzchni. Głębi w tych notatkach nie ma. Jest dużo emocji (widać to także w formie), ale w rezultacie książka jest jak zjawiska, które opisuje: dostajemy wylew pisanych na gorąco postów. Tyle że w druku, czyli z większym śladem węglowym. „Hałas" męczy. Tu autorka ma rację.

Rafał Pikuła

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MARTA ANKIERSZTEJN, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl d2b0a30df4

Pisać jak Sapkowski

„Rozdroże kruków", nowa powieść o wiedźminie, udowadnia, ile jeszcze w tym uniwersum pozostaje do odkrycia

Jan Tracz

„Geralt miał wiele powodów, by na stacji zlekceważyć przyniesioną (…) wiadomość. Ba, powinna ta wiadomość być potraktowana jak ostrzeżenie. Jak alarm (…). Ale zwyciężyła najzwyczajniejsza w świecie ciekawość. Zamiast, jak należało, uciekać gdzie pieprz rośnie, Geralt pojechał we wskazanym kierunku. I po dwóch dniach jazdy dotarł do celu". To z „Rozdroża kruków" (Wydawnictwo superNOWA), najnowszej powieści Andrzeja Sapkowskiego, o której fani marzyli przez ostatnich kilka lat. I wreszcie się jej doczekali.

Ów fragment zdaje się brzmieć jak literacki fałsz. Geralt, którego znamy z poprzednich powieści 76-letniego pisarza, raczej nie zdecydowałby się na takie ryzyko. Choćby dlatego, że nikt z jego bliskich nie był wówczas zagrożony. A sama wiadomość to prowokacja, która (o dziwo?) spełniła swój niecny cel. Jakim więc cudem dzielny wiedźmin dał się podejść w tak podręcznikowy sposób?

Odpowiedź na pozór banalna: to nie jest ten sam Geralt, do którego przyzwyczaił nas Sapkowski w poprzednich dziesięcioleciach. Tym razem obcujemy z wersją wiedźmina, której nie mieliśmy jeszcze okazji poznać. „Rozdroże kruków" opowiada o młodzieńczych latach Geralta z Rivii. To historia z czasów, kiedy bohater nie miał jeszcze przydzielonego przydomka. Był po prostu Geraltem.

Dziś pisanie o nowej powieści Sapkowskiego przypomina stąpanie po cienkim lodzie. Trudno nie oddzielać wygórowanych oczekiwań entuzjastów serii (do których zaliczają się recenzenci) od faktycznego poziomu książki. Dla wielu „Saga o wiedźminie" pozostaje istnym opus magnum gatunku (i nie będzie to nadużycie tego sztampowego określenia). Oznacza to, że mało które dzieło kultury – osadzone w tym uniwersum – ma szansę spełnić marzenia czytelników o kontynuacji idealnej. Być może boi się tego sam Sapkowski. Otwarte zakończenie sagi po latach wciąż robi wrażenie i wydaje się godnym pożegnaniem jego najbardziej znanej postaci literackiej.

W związku z tym pisarz zdecydował się na flirt z formą zwaną prequelem. Mowa tu zatem o powieści, która dzieje się na długo przed wydarzeniami z opowiadań o wiedźminie, o sadze nie wspominając. Sama koncepcja młodego Geralta do czasu wydania „Rozdroża kruków" zapewne brzmiała jak absurd – ukochany heros polskich czytelników od zarania dziejów był uosobieniem samokontroli i mądrości. Rzadko kiedy emocje brały u niego górę. Dopiero w późniejszych powieściach jego najbliżsi mogli doświadczyć odstępstwa od normy, kiedy Geralt wpadał w kolejne tarapaty tylko po to, aby uratować ich z opresji. Na dobrą sprawę Geralt zmieniał się w każdej części sagi, ale już w opowiadaniach był w kwiecie wieku i rzadko kiedy popełniał tak porażające błędy.

> Dla wielu „Saga o wiedźminie" to opus magnum gatunku fantasy.

Mimo wszystko Sapkowski postanowił zaryzykować i zaprezentować nam nie tyle reinterpretację Geralta, ile jego znacznie mniej doświadczony wariant. Nawet jeśli jego pierwsze przygody – opisane jeszcze w kultowych opowiadaniach – działy się w mniej lub bardziej określonej przeszłości, to i tak żadna z tych wiedźmińskich klechd nie rozgrywała się aż tak wcześnie. W nowej powieści bowiem Geralt swoim postępowaniem nieco przypomina brzdąca, który dopiero nauczył się chodzić, a już szarżuje i kluczy, polegając na intuicji. A ta zazwyczaj zawodzi. Zresztą kuleje też jego pamiętna retoryka. Wiedźmin nie zawsze wie, co powiedzieć mądrzejszym od siebie, więc w bardziej nerwowych momentach rzuca sztubackie „no weź" i niecierpliwie czeka na przebieg wydarzeń. Geralt poznaje świat empirycznie, marzy o lepszej edukacji i studiach albo o tym, aby wreszcie ujrzeć bezmierne morze, dotychczas widziane jedynie oczami wyobraźni. Dlatego częściej działa, niż myśli, pragnąc jak najszybciej osiągnąć wyznaczone cele. Nie zdaje sobie sprawy, że wiele niepozornych wyborów z „Rozdroża" będzie kierować jego dalszą ścieżką – przez niejednego zwaną przeznaczeniem.

Dziennikarz i fantazoznawca Hubert Sosnowski (m.in. „Tygodnik Powszechny" oraz „Nowa Fantastyka") na swojej stronie napisał, że to nie jest jeszcze ten „pyskaty, morderczy (…) [Geralt], który z cynicznym uśmiechem wpada w kolejne kłopoty. To uzbrojony i niebezpieczny [wiedźmin], ale dzieciak, który jeszcze nie wie, co właściwie robi, i dopiero wchodzi na rynek pracy. My zaś razem z przyszłym Białym Wilkiem odkrywamy, skąd bierze się wiele (…) przekonań wiedźmina o świecie". Po raz kolejny wiedźmińska opowieść – dzięki zgrabnej narracji Sapkowskiego i jego wciąż barwnym pomysłom – zmusza nas do zastanowienia się nad tym, na jakich zasadach tak naprawdę funkcjonuje rzeczywistość otaczająca Geralta. Dlaczego zarówno możni, jak i ubodzy nienawidzą wiedźminów – nazywając ich przy

eprasa.pl d2b0a30df4

dowiadujemy się więcej o intrydze (…) w tle oraz – no właśnie o samym tle". Kiedy myślimy, że o tym świecie przedstawionym wiemy już wszystko, Sapkowski mówi „sprawdzam", zalewając nas nowymi faktami i smaczkami. To uniwersum przypomina studnię bez dna – nowa powieść o Geralcie udowadnia, ile jeszcze pozostaje w nim do odkrycia.

„Sapkowski dopasował język dialogów (…) i ogólny ton powieści. Spokojniejszy, mniej rozbuchany. Bo opowiada o dzieciaku, który dopiero szuka swojego stylu", podsumowuje Sosnowski. I coś w tym jest – skądinąd samo czytanie „Rozdroża kruków" zamienia nas w dzieci, niespodziewanie konfrontujące się z nie tym prezentem, którego oczekiwały. Najpierw przychodzi płacz (Powieść o młodym wiedźminie? Chcemy kontynuację sagi!), a następnie zdziwienie, że nowe (i całkowicie odmienne)

„Rozdroże kruków" broni się stylem i treścią, nawet jeśli fabuła schodzi na drugi plan i stanowi jedynie pretekst do pobawienia się portretem psychologicznym Geralta.

tym „odmieńcami" – a i tak systematycznie korzystają z ich usług? Gdzie leży źródło tej społecznej niechęci? Skąd kaprys Geralta, aby wszystkim swoim koniom nadawać imię Płotka? Sapkowski między wierszami udziela odpowiedzi na każde z tych pytań.

„Rozdroże kruków" schematem przypomina obcowanie z zaginioną grą komputerową, która akurat dzieje się w wiedźmińskim uniwersum. Praktycznie każdy rozdział opowiada nową historię. Tu Geralt przyjmuje zlecenie na zabicie paru potworów, tu ratuje parę zakochanych, a tu sam ucieka przed ręką sprawiedliwości. Niemniej całość zostaje połączona wątkiem nieprzewidywalnego Prestona Holta, uznawanego za persona non grata w wiedźmińskim grajdołku (oficjalnie zwanym Kaer Morhen). Holt ukrywa przed Geraltem tajemnicę, przy okazji stając się jednym z jego pierwszych mentorów. A jest to wątek niejako wspomniany – w formie anegdoty – w opowiadaniu „Ostatnie życzenie", aczkolwiek nigdy nie był przez pisarza w pełni rozwinięty. Aż do teraz.

Sapkowski na każdym kroku przypomina nam, że młody wiedźmin potrzebuje mentora – bo trudno uwierzyć, aby z takim temperamentem i bez większego doświadczenia dał sobie radę na śmiertelnie niebezpiecznym szlaku. Zapomnijcie o legendarnym Vesemirze, pierwszym nauczycielu Geralta. W powieści słyszymy tylko jego echo, natomiast na pierwszy plan wskakuje wspomniany Holt, czyli antyheros, który paradoksalnie w „Rozdrożu" pojawia się stosunkowo rzadko. Jednak kiedy Geralt co jakiś czas spotyka go na szlaku, potrafi on ukraść scenę czy w imponujący sposób poprowadzić Geralta i udzielić mu porad na wagę złota.

Dla Sosnowskiego to „dosyć klasyczna relacja mistrz-uczeń, stanowiąca emocjonalny rdzeń wszystkich przygód, które Geralt przeżyje w tej książce". Według dziennikarza dopełnieniem konstrukcji są „zabawy z powieścią epistolarną, bo Sapkowski kreśli niektóre wydarzenia z pomocą dokumentów wymienianych między kilkoma ważniakami, a dzięki temu także może wprawiać w zachwyt. Geralt, czy to w „oryginale", czy w bardziej młodzieńczej wersji, nie przestaje zaskakiwać. Zresztą niczym sam Sapkowski, który zręcznie łączy plastyczny język z fragmentami epistolarnymi i „mininowelami" wkomponowanymi w samą powieść. Wielu polskich twórców chciałoby pisać z takim polotem i luzem. Sapkowski mógłby wydać jeszcze dziesięć tego typu tytułów i pewnie nikt nie pogardziłby kolejnymi opowieściami o białowłosym zabójcy potworów.

„Rozdroże kruków" broni się stylem i treścią, nawet jeśli fabuła schodzi na drugi plan i stanowi jedynie pretekst do tego, aby pobawić się portretem psychologicznym Geralta. To historia *coming-of-age* (o dojrzewaniu – przyp. red.), której fani potrzebowali (chociaż o tym nie wiedzieli). Natomiast w całym tym literackim równaniu chodzi głównie o wrażenie – tak jak lata temu po raz kolejny z wypiekami zasiadamy do nowej powieści o wiedźminie. Właśnie tak: znów jesteśmy w domu. ■

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

eprasa.pl d2b0a30df4

60 wrogów i 40 przyjaciół

Jak Irena Santor stała się pierwszym głosem „Mazowsza”

Irena Santor (wtedy Wiśniewska) zaczynała karierę w zespole „Mazowsze”, do którego wciąż ma wielki sentyment.

Jan Osiecki

Tadeusz Sygietyński, słuchając Ireny, zdecydował, że nie tylko przyjmie tę dziewczynę do „Mazowsza”, ale uznał także, że ma ona potencjał na solistkę. I stała się tą solistką szybko, mniej więcej miesiąc po przyjęciu.

Na 7 grudnia 1951 r. „Mazowsze” miało zaplanowany koncert w warszawskim teatrze Roma. Spektakl był szczególnie ważny dla Sygietyńskiego, bo zespół miał wystąpić w ramach Festiwalu Muzyki Polskiej. To oznaczało, że będzie oceniany nie tylko przez melomanów, ale także przez przedstawicieli resortu kultury i partyjnych notabli.

W trakcie jednej z prób do występu Sygietyński zaprosił Irenę na rozmowę, która podobno wyglądała mniej więcej tak:

– Moje dziecko, znasz piosenkę „Ej, przeleciał ptaszek”?

– Znam, proszę pana – odpowiedziała rezolutnie Irena.

– To zaśpiewaj, proszę! – polecił Sygietyński.

Irena znała tekst, ponieważ piosenka wpadła jej w ucho.

– Znałam [tekst], bo moja koleżanka mnie nauczyła tej piosenki, ale „Mazowsze” jej nie śpiewało. Pan Tadeusz nie chciał – opowiadała podczas swojego benefisu w 2023 r. Pięknie i czysto zaczęła śpiewać (…). Sygietyński, jak opowiadała Santor na toruńskim benefisie, jej występ skwitował krótko: „Od tej pory będziesz miała 60 wrogów i 40 przyjaciół”.

– To znaczy, że moje koleżanki to będą moi wrogowie – mówiła. – Ale tak się nie stało, bo pan Sygietyński trzymał wszystkich bardzo w karbach i nie można było u nas mówić, że kogoś się lubi albo nie lubi. Każdy śpiewał w chórze i koniec. Rygor! – dodała.

Sygietyński po pierwszej próbie najwyraźniej wiedział, że „Ej, przeleciał ptaszek” stanie się najważniejszym punktem występów zespołu, więc koleżanki będą Irenie zwyczajnie zazdrościć. Czy miał rację? Po latach Santor stwierdziła, że Dziadka zawiodła intuicja. Przekonywała, że w „Mazowszu” nie

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

eprasa.pl d2b0a30df4

istniała konkurencja w dzisiejszym rozumieniu tego słowa. Nikt nikomu nie zazdrościł solowych partii. A przynajmniej członkowie zespołu nie okazywali zazdrości. Oczywiście każdy chciał być najlepszy, ale to oznaczało, że przede wszystkim próbował jak najwięcej się nauczyć, najlepiej zatańczyć i zaśpiewać. Ten brak zawodowej rywalizacji brał się, zdaniem Santor, z tego, że Sygietyński nigdy nikogo nie wyróżniał.

Zespół miał później jeszcze kilka prób i za każdym razem Irena była wywoływana do zaśpiewania solo „Ptaszka". Jednak aż do dnia koncertu Dziadek nie ogłosił, kto będzie solistką. Nie zrobił tego nawet w dniu wyjazdu do Warszawy. A Irena nie próbowała o to dopytywać. Jak później opowiadała, po prostu nawet nie marzyła, że to będzie jej piosenka. W trakcie koncertu stała na podwyższeniu, w drugim szeregu chóru, i w pewnym momencie spostrzegła, że Dziadek, który tego dnia dyrygował, wskazał na nią palcem.

– Zostałam wywołana przez pana Sygietyńskiego, żebym zeszła z praktykabli. Pokazał: tu mam stanąć – wspominała swój solowy debiut podczas benefisu w 2023 r. (…)

– Utwór „Ej, przeleciał ptaszek" solo zaśpiewa Irenka Wiśniewska – zapowiedziała niemal w tej samej chwili prowadząca konferansjerkę Zofia Klizówna.

– [Sygietyński] Pokazał, że mam mu patrzeć w oczy. Patrzyłam. Zaczął grać przygrywkę do piosenki, którą znałam. I tak zaśpiewałam „Ej, przeleciał ptaszek" – relacjonowała Santor w trakcie swojego benefisu. W jej wspomnieniach trudno znaleźć opis wrażeń z solowego debiutu. Stres związany z występem był tak ogromny, że Santor po prostu nie pamięta tamtych kilku minut. Codzienna prasa nie odnotowała występu Ireny Wiśniewskiej, choć z tamtego koncertu „Mazowsza" pojawiło się kilka recenzji. (…)

W opinii byłych członków „Mazowsza" oryginalne były nie tylko metody pracy Sygietyńskiego. On sam był człowiekiem nietuzinkowym. Dziś powiedziano by o nim cudowne dziecko – bo zaczął komponować jako mniej więcej jedenastolatek. Współtworzył filharmonię w Dubrowniku, był autorem wspaniałych utworów. Mógł zrobić światową karierę, ale poświęcił życie muzyce inspirowanej ludowością i „Mazowszu". Po zakończeniu wojny postanowił spełnić swoje marzenie z czasów okupacji i stworzyć zespół przechowujący ludowe tradycje.

•

Aranżacje ludowej muzyki Tadeusza Sygietyńskiego stały się dla Ireny Wiśniewskiej niemal jak oddychanie. Choć zespołowi zdarzało się wykonywać utwory politycznie zaangażowane (w „Mazowszu" mówiono o nich „cywilne"), takie jak słusznie zapomniana „Piosenka o planie sześcioletnim", nucona do dziś „Piosenka o Nowej Hucie" i słynny „Ukochany kraj". Wykonywanie ich było ceną, jaką musiało płacić „Mazowsze" za spokojną przystań w Karolinie.

Siedziba „Mazowsza" w latach 50. przypominała świat z bajki. Gdy kraj podnosił się z ruin, a ludzie żyli w biedzie, młodzież i wychowawcy pracujący w zespole mogli się czuć jak mieszkańcy egzotycznej wyspy. W ówczesnej Polsce występowały problemy ze zdobyciem wielu artykułów spożywczych i przemysłowych, jak choćby tkanin na ubrania. Tymczasem członkowie „Mazowsza" dostawali kilka zestawów ubrań, a wraz z nimi rozpiskę, co i którego dnia powinni założyć, bo wszyscy mieli wyglądać jednakowo. Kroniki filmowe z tamtego okresu pokazują młodych zadowolonych ludzi w kolorowych ciuchach uszytych z materiałów, o jakich inni mogli tylko pomarzyć. Dla ludzi, którzy jako dzieci doświadczyli wojennego głodu i nędzy, był to naprawdę bajkowy świat. Zwłaszcza że ich jedynym obowiązkiem było dobrze zaśpiewać i zatańczyć. Dla wszystkich, jak później podkreślała w jednym z wywiadów Irena Santor, była to bardziej zabawa niż ciężka praca. (…)

•

„Mazowsze" stało się polskim towarem eksportowym. Promowało kraj i naszą narodową kulturę, na Zachodzie ocieplało wizerunek państwa zza żelaznej kurtyny. Członkowie zespołu mieli to, o czym mogli tylko pomarzyć ich rówieśnicy. Zwiedzali dosłownie cały świat.

Irena na swoje pierwsze tournée nie musiała długo czekać. Już w 1952 r. „Mazowsze" pojechało do Węgierskiej Republiki Ludowej. Jak wspomina piosenkarka, publiczność przyjęła je bardzo ciepło. Ale nie to najbardziej utkwiło jej w pamięci. Największe wrażenie na nastolatce z Polski zrobiło miasto. Budapeszt, w porównaniu z Warszawą, która w latach 50. wciąż straszyła kikutami wypalonych budynków i stertami gruzów piętrzącymi się przy ulicach, wyglądał niczym miasto z bajki. Irena z zachwytem oglądała domy, kamienice, strzeliste kościoły, na których nie było widać śladu wojny.

Później częstym tematem śpiewanych przez nią piosenek stała się Warszawa. Wprawdzie sama nie pisała tekstów, ale gruzowisko, które zobaczyła w 1951 r., gdy wysiadła z pociągu na Dworcu Głównym, wstrząsnęło nią do głębi. Z niedowierzaniem patrzyła, jak ze środka dziurawych domów bez okien i części ścian błyskały po zmroku światełka, dowód na to, że w ruinach mieszkają ludzie. Niczym w katakumbach. Gdy członkowie „Mazowsza" jeździli z Karolina do Warszawy na koncerty, przez lata mijali piętrzące się przy ulicach himalaje gruzów i obserwowali przemykających między nimi przechodniów. Jak wspomina piosenkarka, był to szokujący widok. Ale wkrótce potem, gdy występowała z „Mazowszem" w Hali Mirowskiej czy Teatrze Polskim, zauważała ze zdumieniem i podziwem, jak Warszawa dźwiga się z ruin i powoli się odradza. Między innymi z tego powodu miasto nad Wisłą inspirowało

Tadeusz Sygietyński po pierwszej próbie wiedział, że „Ej, przeleciał ptaszek" stanie się najważniejszym punktem występów zespołu.

eprasa.pl d2b0a30df4

teksty śpiewanych przez Santor utworów.

Wreszcie nadszedł wyjazd, który ówcześni członkowie „Mazowsza" zapamiętali do końca życia. Zespół w styczniu 1953 r. wyruszył na drugie w swojej historii tournée po ZSRR. Do Związku Radzieckiego pojechano wówczas w większym gronie, bo poza „Mazowszem" występował również chór, balet i orkiestra Opery Poznańskiej. Punktem kulminacyjnym krótkiego, liczącego zaledwie pięć koncertów w Moskwie, wyjazdu był występ w teatrze Bolszoj.

– Będziecie śpiewać dla Gospodarza – miał powiedzieć Sygietyński podopiecznym przed występem.

– Zostaliśmy wszyscy dokumentnie przeszukani. Zakazano nam opuszczać pokoje przed wyjściem na scenę. To było straszne. Często występowaliśmy dla koronowanych głów, ale z niczym takim się nie spotkaliśmy – wspominała później Santor.

Nie skończyło się na pojedynczej kontroli. Co jakiś czas ponownie sprawdzano wszystkich po kolei. Jak opowiadała nasza bohaterka, na początku cała sytuacja trochę dziwiła i jednocześnie bawiła. Jednak po pewnym czasie wszyscy byli przerażeni, bo nie mieli pojęcia, o co chodzi. Gdy zespół został już dokładnie sprawdzony, młodych artystów zaprowadzono do garderób, podzieliwszy ich na kilka grup, i zakazano im aż do występu opuszczania, pod jakimkolwiek pozorem, tych pomieszczeń. W końcu drzwi zostały otwarte i nakazano młodym ludziom wyjście na scenę. Jak opowiada Santor, wszyscy byli zestresowani.

– Jak śpiewałam „Ej, przeleciał ptaszek", to mi się wydaje, że w życiu tak źle nie zaśpiewałam! Z tego strachu! (…)

Dla ludzi, którzy jako dzieci doświadczyli wojennej nędzy, Karolin to był bajkowy świat. Zwłaszcza że ich jedynym obowiązkiem było dobrze zaśpiewać i zatańczyć.

Jednak największe wrażenie na pannie Wiśniewskiej zrobiło późniejsze tournée. Wiosną 1953 r. zespół, na zaproszenie chińskiego ministerstwa kultury, pojechał w wielką trasę koncertową po Państwie Środka. Mimo że młodzież z „Mazowsza" wyruszyła w drogę mocno podminowana, ponieważ władze PRL nie pozwoliły Sygietyńskiemu towarzyszyć podopiecznym.

– To był moment w historii zespołu, w którym ktoś postanowił, jak to często bywa, wybić się na cudzym sukcesie. Sygietyńscy zbudowali od podstaw zespół, stworzyli program, a nowym dyrektorem mianowano 23-letnią aktywistkę partyjną – opowiada Mieczysław Chróścielewski, były członek zespołu, obecnie kustosz archiwum „Mazowsza".

Natomiast kierownictwo muzyczne „Mazowsza" przypadło Andrzejowi Panufnikowi, wybitnemu kompozytorowi, docenianemu wówczas przez władze. Podróż do Chin trwała dwa tygodnie, ponieważ w tamtych czasach tak licznej grupie, z tak olbrzymią ilością bagaży, najwygodniej było przemieszczać się Koleją Transsyberyjską. Od Moskwy aż do granicy z Chinami zespół otrzymał do dyspozycji specjalny pozarozkładowy pociąg składający się z kilku wagonów sypialnych i aż dwóch restauracyjnych.

Młodzi ludzie nie narzekali na nudę. Jak wspominają uczestnicy tej podróży, mniej więcej co drugi dzień pociąg zatrzymywał się na dłuższy postój, żeby podróżni mogli się wykąpać i rozprostować nogi. W jednym z wagonów urządzono miejsce do ćwiczeń fizycznych, aby członkowie zespołu nie stracili formy. Na korytarzach, w przedziałach i w wagonie restauracyjnym regularnie odbywały się próby chóru, baletu oraz muzyków. (…)

W Chinach „Mazowsze" zatrzymało się na kilka dni w Shenyang (wówczas nazywanym po polsku Mukden). Tam odpoczywano i przygotowywano się do koncertów. W ciągu dwóch miesięcy zespół miał ich dać aż 35, m.in. w Pekinie, Kantonie i Szanghaju. Kilkutygodniowa podróż przez ogromny kraj trwała zbyt krótko, aby poznać wszystkie atrakcje Państwa Środka. Irenie w pamięci utkwiły przede wszystkim smaki i zapachy. Po latach wspominała smak napojów, jakich nie piła już później nigdzie indziej na świecie, pachnących jak aromatyczne kwiaty. I przede wszystkim egzotyczne potrawy. Największe wrażenie zrobiła na niej zupa z płetwy rekina. Co ciekawe, gospodarze

eprasa.pl d2b0a30df4

nie informowali młodych ludzi o zawartości talerzy. Menu zdradzano im dopiero po posiłku. Jak smakowała wyjątkowo ekskluzywna i droga potrawa, której smak, nawet obecnie, znany jest nielicznym i bardzo zamożnym ludziom? Santor wspomina, że było to niesamowicie chrupkie mięso podane w pysznym i gęstym słodkawym sosie. Młodzi ludzie z „Mazowsza" chyba nie do końca zdawali sobie sprawę z luksusów, jakimi ich żywiono, bo w 1961 r. Santor, opowiadając dziennikarce o tym wyjeździe, przekonywała, że jedli płetwę wieloryba, a takiego dania na pewno nie ma w kuchni chińskiej.

W czasie tej podróży Irena i jej koledzy, również po raz pierwszy w życiu, jedli różne egzotyczne owoce, takie jak ananas, banan i mandarynka. Dziś można je kupić w każdym sklepie, ale wtedy niewiele osób w Polsce znało ich smak.

Jednak nie tylko jedzenie budziło ciekawość młodych ludzi z Karolina. Odwiedzili oni także niewyobrażalnie piękne i ciekawe miejsca, jak pałac cesarzy mandżurskich w Mukdenie i Zakazane Miasto. Zaproszono ich również na spektakl klasycznej chińskiej opery. Dziś, gdy sięgają pamięcią wstecz, przyznają, że na tamtym wyjeździe praktycznie na każdym kroku działo się coś niesamowitego. W Pekinie przyjęto ich z niezwykłymi honorami. Była „wojskowa orkiestra, delegacje, chorągiewki i setki, setki ludzi". Zespół powitał osobiście wiceminister kultury wraz z grupą partyjnych notabli. A potem na cześć gości wydano bankiet.

Chińska rzeczywistość zaskakiwała na każdym kroku. Jak choćby tym, że ludzie rano, na komendę rozlegającą się z ulicznych głośników, tzw. szczekaczek, rzucali wszystko i rozpoczynali gimnastykę! „Mazowszanie" mieli również okazję uczestniczyć w wiecu z okazji święta 1 Maja w Pekinie. Manifestacja była niezwykła, bo ulicami defilowało pół miliona osób. (…)

Dla zespołu Chiny były jak inny świat. Młodych artystów dziwiła nie tylko kultura i jedzenie, ale nawet miejsca występów. Dotąd „Mazowsze" prezentowało się w teatrach, domach kultury, zakładach pracy, ale w Chinach występowało na stadionach. Już nie dla setek, ale tysięcy widzów. Artystom przydzielono „asystentów", młodzież z chińskich zespołów muzycznych. Taki opiekun był w podobnym do podopiecznego wieku i tej samej płci. W zespole żartowano, że w ten sposób powstała chińska kopia „Mazowsza". Jak wspomina Irena Santor, jedna z jej koleżanek zdołała w ciągu trzech miesięcy nauczyć swoją opiekunkę mówić po polsku. A sama, wraz z koleżankami i kolegami, nauczyła się chińskiej pieśni „O wschodzącym księżycu". Zespół odśpiewał ją po powrocie do kraju, na jednym z występów w Warszawie.

Punktem kulminacyjnym pobytu w Pekinie był koncert dla ówczesnych przywódców politycznych i partyjnych Chin. Występ odbył się w sali posiedzeń rządu, która była „całym teatrem, zaopatrzonym we wszystkie potrzebne akcesoria".

„Punktualnie o godz. 20.15, jak to było od początku zaplanowane, ukazał się zza kotary, o dobrze znanej z portretów twarzy, MaoTse-tung, tuż za nim ówczesny premier Czou-en-laj. Wódz, uśmiechając się, powitał nas po rosyjsku. (…) Wódz wyglądał bardzo godnie, a mówiąc, często pochrząkiwał i pomrukiwał, nie wiadomo było chwilami, czy skończył zdanie, czy jeszcze coś mruknie. »Chińczycy cieszą się z przyjazdu 'Mazowsza' – powiedział – i pragną rozwinąć współpracę kulturalną«. (…) Na sali wódz zajął miejsce w czwartym rzędzie wśród publiczności, a przechodząc przed sceną, pokiwał ręką orkiestrze", zanotował w pamiętniku Mirosław Dąbrowski, przedstawiciel ministerstwa kultury towarzyszący zespołowi w tej trasie.

Po koncercie zespół został zaproszony na bankiet z premierem Zhou Enlaiem. Koncert musiał być bardzo stresujący dla młodziutkich artystów z Karolina, bo po latach Irena Santor była przekonana, że na sali znajdował się tylko i wyłącznie Mao.

– Kurtyna poszła w górę i naszym oczom ukazała się pusta widownia. W wielkiej sali nie było nikogo, panowała zupełna cisza. Tylko pośrodku pustych foteli, dokładnie w środku rzędów, siedział jeden człowiek. Był to Mao Tse-tung. Pochylił głowę, wpatrzył się w podłogę i znieruchomiał. „Mazowsze" zastygło na moment. Przyzwyczajeni byliśmy do wypełnionych tłumnie sal, do wiwatów publiczności, niezliczonych bisów, gwaru i hucznych oklasków. A tu paraliżująca cisza… Skoro jednak mieliśmy występować przed towarzyszem Mao, ruszyliśmy w pierwszy taniec. Żadnej reakcji. Odśpiewaliśmy kolejno nasze piosenki, zatańczyliśmy cały program. Żadnych oklasków – wspominała ten występ. – Ze spuszczoną głową Wielki Wódz przesiedział cały koncert. Na koniec podniósł się i wyszedł. (…)

Członkowie zespołu mieli to, o czym mogli tylko pomarzyć ich rówieśnicy. Zwiedzali dosłownie cały świat.

Zaskakujące dla zespołu było również pożegnanie „Mazowsza" przygotowane przez chińskich opiekunów. Odtworzyli oni z perfekcyjną dokładnością cały program zespołu. Nie tylko zatańczyli, ale i zaśpiewali wszystkie piosenki po polsku! „Ej, przeleciał ptaszek" Irena zaśpiewała w duecie z Chinką, każda z nich po zwrotce, na przemian.

Ten wyjazd wywarł na Irenie Santor ogromne wrażenie. Autentycznie zakochała się w Chinach, w ludziach, kulturze, piosenkach. Po powrocie do Polski poważnie zastanawiała się nad studiowaniem sinologii. Podkreślała to przez lata w wywiadach prasowych. Już jako dojrzała artystka przyznała, iż trochę żałuje, że się nie udało. Zabrakło czasu. (…)

Fragmenty książki Jana Osieckiego *Irena Santor. Tych lat nie odda nikt*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2024

eprasa.pl d2b0a30df4

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Omanu

W krainie kadzidła

W starożytności było ono towarem cenniejszym od złota. Dziś to skarb Omanu

Khor Rori to jedno z najważniejszych stanowisk archeologicznych w Omanie, położone 40 km od Salali, stolicy muhafazy (prowincji) Zufar. W 2000 r., wraz z czterema innymi miejscami, zostało wpisane na Listę światowego dziedzictwa UNESCO jako część szlaku kadzidlanego, odpowiadającego historycznej Krainie Kadzidła. Tu znajdują się ruiny ufortyfikowanego miasta Sumhuram, które zostało założone w III w. p.n.e., a słynęło z produkcji i eksportu jednego z najcenniejszych towarów starożytności – olibanum, czyli żywicy kadzidłowej pozyskiwanej z drzew *Boswellia sacra*. Był to także ważny węzeł handlowy, skąd produkowane w Zufarze kadzidło wysyłano drogą morską do Indii i na Daleki Wschód. Tu zaczynał się też antyczny szlak kadzidlany wiodący przez Półwysep Arabski. Karawany ruszały z Khor Rori do Shisr, a następnie wędrowały przez pustynię Ar-Rub al-Chali, zatrzymując się jedynie w oazach. Szlak wiódł w kierunku Petry (dzisiejsza Jordania), następnie towar trafiał do Gazy, skąd był eksportowany do Egiptu, Grecji i Rzymu.

Ze starożytnej fortecy zbudowanej na wzniesieniu pozostały tylko kamienne fundamenty. Obchodzimy ruiny miasta i naszym oczom ukazuje się niesamowity widok: zatoka wcinająca się w ląd. Od morza oddzielona jest piaszczystą łachą, zalewaną podczas przypływu. W ten sposób tworzy się estuarium, w którym woda słona miesza się ze słodką, spływającą z gór.

Zachód słońca oglądamy z nadmorskiego klifu znajdującego się na wschód od miasta Taqah i stanowiącego część płaskowyżu rozciągającego się nad Morzem Arabskim. Brzeg jest wysoki, urwisty, z licznymi jaskiniami. Przed nami rozpościera się w dole Taqah z długą, białą, pustą plażą. Dawna wioska rybacka rozrasta się w mgnieniu oka. W oddali, po prawej stronie widać jeden z trzech królewskich pałaców znajdujących się w Zufarze, rodzinnej ziemi zmarłego w 2020 r. sułtana Kabusa ibn Sa'ida. Wokół pałacu wyrastają wystawne domy poddanych.

Na płaskowyżu stoi kilkanaście samochodów terenowych. Omańskie rodziny przyjechały tu na piknik. Przy autach rozstawiono turystyczne stoliki i fotele lub rozłożono na ziemi dywany. Mężczyźni w białych strojach, kobiety w czarnych, dzieci ubrane na kolorowo; popijają herbatę lub kawę, zagryzają daktylami i chrupiącym omańskim chlebem na miodzie. Mężczyźni powoli przygotowują się do wieczornej modlitwy, układając dywaniki modlitewne tak, by były zwrócone w kierunku Mekki. Z oddali dobiega głos muezzina.

Wdaję się w rozmowę z jedną z omańskich kobiet. Jest ubrana na czarno, ale w przeciwieństwie do większość Omanek nie ma zakrytej twarzy. Mówi, że pracuje w recepcji międzynarodowego hotelu i lubi rozmawiać z obcokrajowcami. Z dumą pokazuje mi willę usytuowaną w okolicy pałacu Jego Wysokości. Mówi, że Omańczycy otrzymują za darmo ziemię od rządu, by wybudować na niej swój dom. – Dlaczego omańskie kobiety noszą abaję (czarny strój), hidżab (chustę) i nikab (welon) zakrywający twarz? – pytam. Tłumaczy, że to tradycja i że wcześniej noszono kolorowe stroje. Moda na czerń przyszła z Arabii Saudyjskiej. To bardzo elegancki kolor. Pasuje do białych tunik mężczyzn.

Salala

Drugie co do wielkości miasto Omanu jest zamieszkane przez ćwierć miliona ludzi. Przy szerokich, dwupasmowych ulicach stoją nowoczesne, wysokie budynki w stylu arabskim: apartamentowce,

eprasa.pl d2b0a30df4

Wielki meczet sułtana Kabusa w Maskacie.

Boswellia sacra – drzewo kadzidłowe rosnące w parku Wadi Dawkah, wpisanym na listę UNESCO jako część szlaku kadzidlanego.

biurowce, banki. Uderza brak trawników, chodników, a przede wszystkim pasów dla pieszych. Samochody jeżdżą z dużą szybkością, a ludzie – głównie robotnicy zagraniczni – przebiegają przez dwupasmówki, narażając życie.

Oman to trzeci co do wielkości kraj na Półwyspie Arabskim i jeden z najmniej zaludnionych na świecie. Ma 4,5 mln mieszkańców, z czego 60% to Omańczycy, a pozostałe 40% obcokrajowcy – głównie pracownicy z Indii, Bangladeszu, Pakistanu, Filipin i Egiptu. To przede wszystkim ci drudzy pracują na dobrobyt Omanu, wykonując większość zajęć fizycznych. W państwie obowiązuje jednak „omanizacja" – oficjalnie przyjęta strategia rządu mająca na celu zwiększenie udziału obywateli w krajowym rynku pracy. Na zatrudnienie cudzoziemców, w określonych branżach, są nakładane limity. Są też sektory, w których zabrania się zatrudniania obcokrajowców, np. w administracji.

Główną atrakcją turystyczną Salali jest meczet sułtana Kabusa ibn Sa'ida – imponująca, nowoczesna budowla w samym sercu miasta. Może pomieścić kilka tysięcy wiernych. Bogato zdobiona kopuła i eleganckie minarety odbijają się w tafli wody niczym w drogim marmurze, którym wyłożono dziedziniec. W przestrzennym, jasnym wnętrzu kopułę wspierają cztery filary. Pod nią wisi żyrandol ze szkła weneckiego. Podłogę przykrywa perski dywan w kolorze turkusowo-zielonym, z poprzecznymi liniami wyznaczającymi miejsce modlitwy. Wprawdzie żyrandol i dywan nie są tak duże jak te w stołecznym meczecie sułtana Kabusa w Maskacie, ale i tak nadają wnętrzu majestatyczny charakter.

Przed wejściem zdejmujemy buty, a strażnik uważnie kontroluje nasze stroje i to, czy wszystkie kobiety mają głowę zakrytą chustą. Normalnie kobiety nie wchodzą do sali głównej meczetu. Dla nich przeznaczone jest oddzielnie miejsce z boku.

Religia jak we wszystkich krajach islamskich odgrywa tu kluczową rolę w życiu społecznym i kulturalnym. Oman jest jednym z nielicznych krajów, w których większość ludności (ponad 70%) wyznaje ibadytyzm – najbardziej umiarkowaną i tolerancyjną odmianę islamu. Choć islam jest religią państwową i panuje tu prawo szarijatu, konstytucja gwarantuje wolność wyznania. W Maskacie i Salali można też znaleźć kościoły chrześcijańskie oraz świątynie hinduistyczne.

Spod meczetu sułtana Kabusa przejeżdżamy pod pałac Al-Hosn, będący letnią rezydencją Jego Wysokości. Niestety, można go obejrzeć tylko z zewnątrz. Nad bramą góruje wieża zegarowa w stylu arabskim, przypominająca Big Bena. To znak tęsknoty zmarłego sułtana Kabusa za Londynem, w którym spędził młodość. Pałac otaczają zielone ogrody. Idealne miejsce do spaceru dla poddanych i turystów.

Pobliski suk Al-Husn rozczarowuje. Targ jest przereklamowany i drogi. Owszem, oferuje kadzidło, nawet to najwyższej jakości, oraz perfumy Amouage w nieco niższej cenie, ale większość pamiątek dla turystów ma napis made in China.

Ze zwiedzania Muzeum Kadzidła na terenie Parku Archeologicznego Al-Balid, wpisanego na listę UNESCO jako część szlaku kadzidlanego,

Targ jest przereklamowany i drogi. Oferuje kadzidło, nawet to najwyższej jakości, ale większość pamiątek ma napis made in China.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl d2b0a30df4

musimy zrezygnować, mają tam awarię prądu. W drodze powrotnej zatrzymujemy się obok XIX-wiecznego zamku w Taqah, zbudowanego z kamienia i gliny, pełniącego funkcję rezydencji królewskiego namiestnika oraz twierdzy obronnej. W pobliżu zamku jest meczet i cmentarz, na którym pochowano matkę sułtana Kabusa, a także jego wuja i dziadka. To chyba jedyne groby w Omanie oznakowane kamiennymi tablicami, z wyrytymi wersetami Koranu i nazwiskami zmarłych. Zwykłe groby muzułmańskie są bezimienne. Zmarłego chowa się w ziemi, owiniętego w całun i ułożonego na boku, a na grobie kładzie się kamienie – dwa dla mężczyzny, trzy dla kobiety. Muzułmanie nie odwiedzają swoich zmarłych. Nie przynoszą im kwiatów ani nie zapalają świeczek. Zmarli odchodzą. W Omanie w wielu miejscach widać przy drogach kamienne pola. To cmentarze.

Szlakiem kadzidlanym do wrót pustyni

Autostrada wiodąca z Salali do Maskatu jak serpentyna tnie masyw Dżabal Samhan, wznosząc się ponad 1000 m nad poziom morza. Po lewym pasie pędzą samochody terenowe z czerwonymi tablicami rejestracyjnymi, wożące turystów. Po prawym – ślimaczą się ciężarówki.

Docieramy do parku Wadi Dawkah, chroniącego naturalne siedliska drzew kadzidłowych, kolejnego miejsca wpisanego na listę UNESCO jako część szlaku kadzidlanego. W Wadi Dawkah na obszarze 5 km kw. rośnie ponad 1000 drzewek *Boswellia sacra*. Są dość niepozorne – niskie i rozłożyste, przypominają bardziej krzaki. Mają drobne listki i delikatną, jasną korę. Nacina się ją, by z pnia spłynęła i skrystalizowała się limfa. Z rany wydobywają się mleczne „łzy". Zbierane są od wiosny do jesieni. Produktem końcowym są bryłki zastygłej żywicy różnej wielkości i o różnym zabarwieniu. Te jasne mają najwyższą jakość i zastosowanie homeopatyczne, medyczne oraz kosmetyczne. Te ciemniejsze używane są do aromaterapii i w wielu religiach w celach kultowych.

Z żywicy zebranej w Wadi Dawkah produkuje się olejek kadzidłowy oraz słynne, luksusowe perfumy Amouage. Marka powstała w 1983 r., właśnie w Omanie, z woli sułtana Kabusa. Pierwszy zapach, Amouage Gold, stworzony przez mistrza perfumiarstwa Guy Roberta, był intensywny: z nutami kadzidła, róży pustynnej, mirry, drzewa sandałowego. Miał wyjątkową trwałość. Perfumy szybko podbiły świat, osiągając zawrotne ceny.

Na obszarze Wadi Dawkah w ciągu najbliższych dziesięciu lat ma zostać posadzonych 15 tys. sztuk Boswellia sacra. Każde drzewo będzie miało kod QR.

Od 2022 r. firma Amouage we współpracy z Ministerstwem Dziedzictwa i Turystyki Omanu przejęła teren parku w ramach pilotażowego projektu dla omańskiego przemysłu kadzidłowego. Menedżer Amouage Renaud Salmon myśli o plantacji „inteligentnych drzew". Na obszarze Wadi Dawkah w ciągu najbliższych dziesięciu lat ma zostać posadzonych 15 tys. sztuk *Boswellia sacra*, każda z kodem QR. Drzewa można będzie zaadoptować, otrzymując w zamian flakon perfum Amouage oraz olejek kadzidłowy.

Autostrada ciągnie się dalej do Thumrait. To już prosta droga. Widoki stają się coraz bardziej monotonne. Zaczyna się kamienna pustynia. Tylko znaki ostrzegawcze z wielbłądami przypominają, aby nie tracić czujności. Na skrzyżowaniu w Thumrait drogi się rozchodzą. Ta w prawo prowadzi do Maskatu, ta w lewo – do Jemenu. My zaś jedziemy prosto. Teren staje się zupełnie płaski, kamienie coraz mniejsze, a piasek coraz bardziej miałki.

Dostrzegamy wreszcie kierunkowskaz z napisem Ubar. Stanowisko archeologiczne znajduje się obok wioski Ash-Shisr. Ruiny zostały odkryte w 1992 r., dzięki analizom obrazów satelitarnych, mającym na celu odnalezienie starożytnych dróg karawan na szlaku kadzidlanym. To czwarte miejsce wpisane na listę UNESCO. Dawniej znajdowała się tu ważna oaza, o czym świadczą studnia i pozostałości murów. Jednak według niektórych właśnie tutaj istniało legendarne miasto Ubar, nazywane Atlantydą Pustyni. Wspominane w Koranie jako Iram (nazywany również Aram, Irum, Irem) i zniszczone przez boski gniew, gdyż jego mieszkańcy popadli w pychę i dopuścili się występków. Tu, aby odpocząć i uzupełnić zapasy, zatrzymywały się karawany handlowe wiozące mirrę, kadzidło i złoto. Historia Atlantydy Pustyni może być jednak bardziej prozaiczna. Oaza mogła się zapaść pod ziemię w wyniku erozji i zawalenia się wapiennych jaskiń.

Docieramy wreszcie do bram pustyni Ar-Rub al-Chali. Tu kończy się droga asfaltowa i zaczyna piach. Terenowa toyota włącza napęd tylny, by nie zakopać się w piasku. Naszym oczom ukazują się wspaniałe, majestatyczne, złote wydmy. Samochód rozpędza się, by wjechać na jedną z nich. Na tę najniższą… Dalszą drogę trzeba pokonać boso.

Ar-Rub al-Chali to jedna z największych i najbardziej surowych pustyń piaszczystych na świecie. Jest nazywana Pustą Ćwiartką lub Pustym Kwartałem. Zajmuje 650 tys. km kw., rozciągając się przez terytoria Arabii Saudyjskiej, Omanu, Jemenu i Zjednoczonych Emiratów Arabskich. To rozległe terytorium kształtują wydmy podłużne, poprzeczne, gwiaździste, wadi (koryta rzek), solniska i kratery meteorowe.

Według przekazywanych z pokolenia na pokolenie opowieści Beduinów w pobliżu Ubaru znajduje się bryła żelaza wielka jak garb wielbłąda. Harry Saint John Bridger Philby, arabista, podróżnik, pisarz, oficer brytyjskiego wywiadu poszukujący zaginionego miasta, w 1932 r. natknął się na kratery po upadku meteorów oraz na bryłę naturalnego żelaza. Ubaru jednak nie znalazł…

Agnieszka Zakrzewicz

eprasa.pl d2b0a30df4

Oko w oko

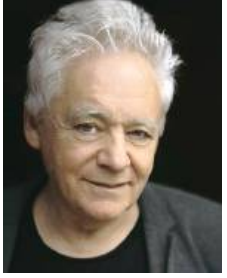

Tomasz Jastrun

Rok 2024 odszedł

Święta rodzinne, ale bez polityki – mamy wszak jednakowe poglądy, identyczne emocje – nie ma o czym mówić. Artur, kuzyn żony, fizyk atmosfery, na moją prośbę robi nam wykład na temat globalnego ocieplenia. Tak jak się spodziewałem – jest gorzej, niż powszechnie się uważa. Naukowcy są już pewni, że nie da się zahamować reakcji łańcuchowej zdarzeń, nawet gdybyśmy – co niemożliwe – zupełnie zredukowali emisję dwutlenku węgla. Uczeni już nie spierają się czy, ale kiedy i jaka będzie skala klimatycznych katastrof. Artur ma dwoje uroczych, małych dzieci i martwi się o nie. Też się martwię o swoje dzieci i wnuki. Słaba pociecha, że sam prawdziwego kataklizmu nie dożyję.

•

Przeceniłem w poprzednich felietonach byłego wiceministra sprawiedliwości Marcina Romanowskiego, sądząc, że zszedł do podziemia. Zwiał do Orbána. Nie pamiętam takiego wysypu memów i dowcipów. Romanowski na uchodźstwie będzie walczył o wolną Polskę. Orbán już oświadczył, że chętnie udzieli azylu innym politykom PiS, prześladowanym przez tyranię Tuska. Nie rozumiem, dlaczego prezes ryzykuje, zostając w kraju – też powinien ujść na Węgry. I tam tworzyć rząd na uchodźstwie. Ziobro ostrzega: „Moje poglądy były bardzo łagodne w stosunku do tego, co zrobimy, kiedy wrócimy i będziemy musieli przywrócić praworządność w Polsce". W podobnym tonie grozi prezes. Jedynym wyjściem jest nie oddawać im władzy.

•

„Gazeta Wyborcza" w numerze świątecznym, na stronie głównej, przekazała czytelnikom życzenia: „Cichych, jasnych dni. Dobrze chronionych granic. I bezgranicznej miłości". Po naszej liberalnej stronie wrzawa, wielkie oburzenie. Te „bezpieczne granice" to rzeczywiście niezręczność – jakby wejście w buty, które na granicy zostawiło PiS. Generalnie pojęcie granicy może być wieloznaczne – pragnienie poczucia bezpieczeństwa to jedno z podstawowych ludzkich i zwierzęcych instynktów. Dlatego populiści tyle zyskują, grając tym tematem, demonizując zagrożenia, jakie niesie „najazd obcych".

Zniesienie granic między państwami Unii Europejskiej i dołączenie Polski do strefy Schengen było dla mnie niezwykłym, radosnym wydarzeniem. W czasach, gdy byliśmy radziecką kolonią, granicą był wysoki mur i drut kolczasty. Współczuję uchodźcom, wzruszają mnie ci, którzy im pomagają. Ale też rozumiem rządzących. Politycy muszą brać pod uwagę nie tylko względy humanitarne, ale też oczekiwania i lęki obywateli. Jeśli tego nie zrobią, przegrają najbliższe wybory, a wtedy los uchodźców będzie o wiele gorszy, niż jest teraz. A to przecież także nasz los. Stąd pomysł „Gazety Wyborczej", ale i rządzących, by przejąć temat bezpiecznych granic od populistycznej prawicy. Agnieszka Holland woła: „Durnie! Jesteście durniami, że przejmujecie myślenie i hasła od faszystów". Ale co nam, Agnieszko, po szlachetności, jeśli prowadzi do klęski? Inna sprawa, że celebrowanie szlachetności i pięknej klęski ma u nas długie tradycje – tyleż piękne, co żałosne.

Wynotowałem słowa Iwana Krastewa: „Bycie u siebie oznacza, że mieszkasz w miejscu, które rozumiesz i które rozumie ciebie. A dziś wielu ludzi ma poczucie, że nie rozumie już, co się dzieje, i że nie są rozumiani. A kiedy nie masz domu, tracisz nie tylko poczucie bezpieczeństwa.

Nie da się gwałtownie zmienić ludzkiej natury. Przekonali się o tym marksiści.

»Czuj się jak w domu« oznacza przecież: »Rób, na co masz ochotę«. W domu możesz mówić, co chcesz. Nie krępować się. Związek między wolnością a domem jest bardzo silny. Stąd bierze się siła strachu przed bezdomnym światem. A dziś można się czuć bezdomnym nawet we własnym kraju – jeśli wierzysz, że zmienił się i jest nie do naprawienia. I to jest główna atrakcja skrajnej prawicy: obietnica, że oddamy ci dom". Te słowa odnoszą się jednako do tych, co bronią się przed uchodźcami, jak i do samych uchodźców, którzy z rozpaczą szukają nowego domu, bo dawny stracili. Ale my nie chcemy mieć sublokatorów z odmiennej kultury. Nie da się tak gwałtownie zmienić ludzkiej natury. Przekonali się o tym marksiści. Można ją tylko delikatnie modyfikować.

•

W nowy rok wchodzimy u przyjaciół. Iwona opowiada, że sprząta u nich Tamara, Ukrainka po studiach politechnicznych. Ostatnio przyszła uszczęśliwiona – jej syna wsadzili na dwa lata do więzienia. Cudowna wiadomość. Nie wezmą go do wojska. U sąsiadki sprząta inna Ukrainka. Jej syna wyciągnęli niedawno siłą z autobusu, zawieźli do obozu szkoleniowego i wysłali na front. A taki delikatny, wrażliwy chłopak. Okrutny absurd tej wojny. I nie wiadomo, jak ją sensownie zakończyć. Więc może jakoś bez sensu się da.

■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl d2b0a30df4

Dlaczego musimy spać?

Co dziesiąty Europejczyk cierpi na bezsenność przewlekłą

Prof. dr hab. n. med. MONIKA BIAŁECKA
– Zakład Farmakokinetyki i Terapii Monitorowanej Wydziału Medycyny i Stomatologii PUM w Szczecinie

Dlaczego człowiek musi spać?

– Gdy mówimy o rzeczach, które są nam niezbędne do życia, najczęściej wymieniamy picie i jedzenie. Jako neurolog dorzuciłabym do tego sen. Jest nam bardzo potrzebny, ponieważ w jego trakcie dochodzi do regulacji wielu niezwykle istotnych dla naszego organizmu procesów. Normalizuje się nie tylko układ autonomiczny, ale też układ krążenia, wartości ciśnienia tętniczego i uwalnianie hormonów. Natomiast patrząc od strony neurologicznej, sen zapewnia lepszą pamięć i dobre procesy poznawcze. Jest potrzebny do konsolidacji śladów pamięci, czyli zmiany pamięci krótkotrwałej w długotrwałą. Najlepiej przebiega to właśnie wtedy, kiedy śpimy. Brak snu kojarzony jest też z ryzykiem wystąpienia wielu chorób neurodegeneracyjnych. Między innymi dlatego, że w trakcie snu zachodzi pewnego rodzaju oczyszczanie naszego mózgu – z ośrodkowego układu nerwowego usuwane są szkodliwe dla nas związki.

Co druga osoba, tak wskazują statystyki, skarży się na incydentalne problemy ze snem. Z czego to wynika?

– Ja bym tę statystykę nawet zawyżyła. Każdy z nas w pewnym okresie życia może mieć kilka nocy, w trakcie których nie jest w stanie dobrze spać. Liczby są alarmujące, jeżeli chodzi o bezsenność przewlekłą: cierpi na nią co dziesiąty Europejczyk!

Dlaczego źle śpimy?

– Powodów jest wiele. Najczęściej wymieniane są tu nasz styl życia i natężenie światła wokół nas. Do tego dochodzi rodzaj pracy, praca zmianowa, presja awansu zawodowego i wyższych zarobków. Stąd wynikają pewne problemy. Sen jest swego rodzaju obrzędem. Jeśli mamy głowę zajętą codziennymi sprawami i kłopotami, nie uda nam się szybko zasnąć i spokojnie spać. Powinniśmy problemy dnia codziennego rozwiązać przed wejściem do sypialni, przed położeniem się do łóżka. Kolejną rzeczą, o której warto pamiętać, jest współchorobowość. Jeżeli mówimy o zaburzeniach snu o charakterze bezsenności, mamy na myśli bezsenność pierwotną. Najczęstszym jednak problemem jest bezsenność współistniejąca. Chodzi o współwystępowanie zaburzeń snu i zaburzeń lękowych, depresji, bezdechów śródsennych, chorób układu krążenia czy chorób neurodegeneracyjnych. Ogólnie można powiedzieć, że mamy problemy ze snem, ponieważ nasze społeczeństwo się starzeje, a świat jest coraz bardziej wymagający. (…)

Kiedy problem bezsenności \zaczyna być poważny?

– Mówimy cały czas o bezsenności, czyli o zaburzeniach, które są związane z trudnością w zasypianiu i w kontynuacji snu. Ta bezsenność generalnie może trwać krótko, czyli do trzech tygodni, albo przewlekle. Bezsenność przewlekła jest olbrzymim problemem klinicznym, nie preferujemy w jej przypadku leczenia farmakologicznego, ale stosujemy terapię poznawczo-behawioralną, która w polskich poradniach i ośrodkach zajmujących się zaburzeniami snu jest zdecydowanie za mało dostępna. Podsumowując, każdy z nas miewa okresowe problemy z zaśnięciem. Jeśli występują raz czy dwa razy w tygodniu i nie zaburzają naszego funkcjonowania w ciągu dnia, to nie trzeba się tym martwić. Problem pojawia się wówczas, kiedy rozpoznajemy bezsenność przewlekłą.

Rozmawiając o bezsenności, nie unikniemy tematu melatoniny. Czym ona właściwie jest?

– Melatonina jest hormonem syntetyzowanym w szyszynce, od którego zależy jakość naszego snu. Najczęściej kojarzymy melatoninę wyłącznie ze snem, natomiast ma ona zdecydowanie większe znaczenie biologiczne. Melatonina związana jest z prawidłowym przebiegiem procesów immunologicznych, z uwalnianiem hormonów, m.in. hormonów płciowych, czy z działaniem przeciwzapalnym. Jest transportowana nie tylko do ośrodkowego układu nerwowego, ale też do innych części naszego ciała: znajduje się w tkankach obwodowych, m.in. w przewodzie pokarmowym i we krwi. Wróćmy jednak do snu. To, jak śpimy, w dużej mierze zależy od nas samych. Melatonina nie jest nam dana raz na całe życie, jej stężenie zmniejsza się z wiekiem, więc problemy ze snem u osób powyżej 55. roku życia są tak naprawdę naturalne.

Nic zatem prostszego jak pójść do apteki i nabyć melatoninę.

– To wcale nie jest takie jednoznaczne i proste. Jeśli podróżujemy do innej strefy geograficznej, to możemy oczywiście zastosować melatoninę krótko działającą, żeby lepiej spać po drugiej stronie kuli ziemskiej. Na rynku farmaceutycznym melatonina dostępna jest w dwóch postaciach: o natychmiastowym i o przedłużonym sposobie uwalniania. Większość dostępnych specyfików zawiera melatoninę o natychmiastowym sposobie uwalniania. To jest preparat, który będzie działał dosyć szybko, ale też dosyć krótko. Przy problemach z zasypianiem taka melatonina nam pomoże. Jeżeli jednak chodzi o utrzymanie nas w śnie, to ze względu na stosunkowo krótki

eprasa.pl d2b0a30df4

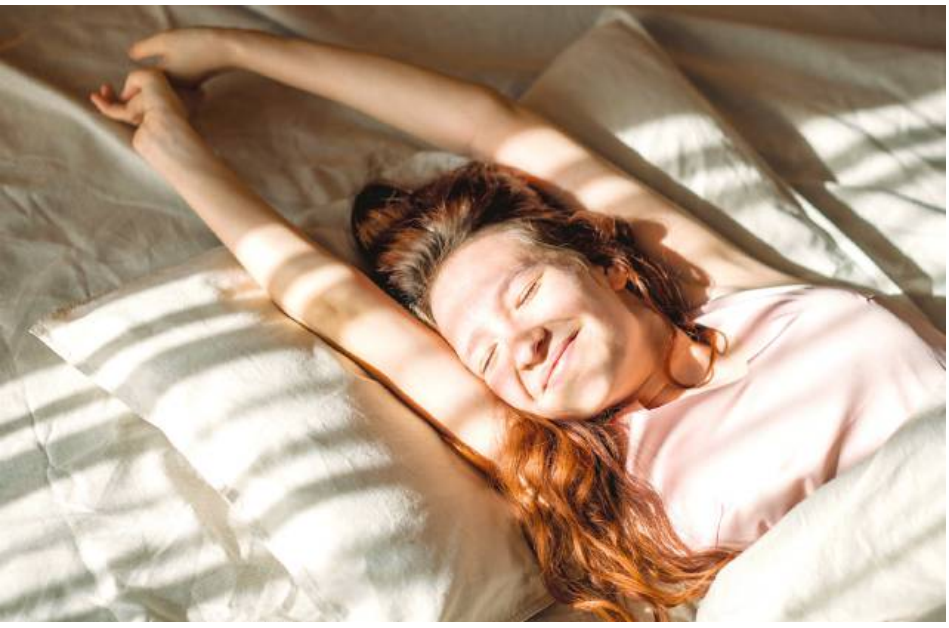

okres półtrwania ze skutecznością może być różnie.

Jak działa melatonina o przedłużonym okresie uwalniania?

– Melatonina o przedłużonym okresie uwalniania jest lekiem, którego stężenie stopniowo narasta. Podobnie jest w przypadku uwalniania naszej endogennej melatoniny, która zaczyna się syntetyzować około godz. 20, szczyt przypada pomiędzy godz. 2 a 3 w nocy, a następnie jej stężenie stopniowo się obniża. Melatonina o przedłużonym okresie uwalniania naśladuje ten rytm dobowy endogennej melatoniny. Inaczej rzecz ujmując, ta melatonina jest lekiem przeznaczonym do leczenia zaburzeń snu i zdecydowanie będzie skuteczna w sytuacji, kiedy mamy problemy z jego utrzymaniem.

Trzeba podkreślić, że melatonina o przedłużonym uwalnianiu jest lekiem na receptę, ponieważ to lekarz powinien dokonać właściwej diagnozy i dobrać najwłaściwszą farmakoterapię, szczególnie u osób starszych. W każdym przypadku warto jednak porozmawiać z lekarzem. Chodzi o to, by nie okazało się, że nasze leczenie jest nieskuteczne, co zaowocuje sięgnięciem po inne leki, a to z kolei może się stać niebezpieczne dla organizmu.

Jak długo możemy sami stosować melatoninę? Kiedy należy zgłosić się po pomoc do specjalisty?

– Zaburzenia snu mogą stanowić wstęp do różnego rodzaju chorób. Jeżeli nie śpimy dobrze przez tydzień czy dwa, to próba sięgnięcia samemu po lek nie jest dobrym rozwiązaniem. Naprawdę warto skonsultować się z lekarzem i zapytać, dlaczego nagle zaczęliśmy gorzej spać. Klasycznym przykładem zaburzeń snu są pacjenci z nadczynnością tarczycy. Oni nie wyleczą się melatoniną. Na pewno trzeba skonsultować się z lekarzem, gdy zaburzenia snu w sposób istotny mają negatywny wpływ na nasz dzień: jeżeli czujemy, że w trakcie dnia zaczynają się problemy wynikające z niewyspania, dochodzi do zaburzenia koncentracji lub do huśtawki nastroju.

Kolejną kwestią jest nadmierna senność, bo może ona być pierwszym objawem chorób ośrodkowego układu nerwowego, począwszy od zmian rozrostowych, czyli np. zmian nowotworowych, przez zaburzenia dotyczące np. depresji, na chorobach neurodegeneracyjnych kończąc. Tak jak powiedziałam, melatonina jest dobrym lekiem, o bardzo dobrym profilu działania, jeżeli chodzi o działania niepożądane, ale nie jest panaceum dla każdego pacjenta. Zachęcam więc do wizyty w poradni.

Jakiej poradni?

– To jest, niestety, bardzo duży problem. Mamy niewiele poradni, w których leczy się zaburzenia snu. Większość pacjentów szuka pomocy u swoich lekarzy rodzinnych, którzy powinni o zaburzeniach snu wiedzieć zdecydowanie więcej. To pozwoliłoby na kierowanie tych najtrudniejszych przypadków do specjalistycznych ośrodków. Najwięcej jest placówek komercyjnych, ale publiczne też można znaleźć w każdym mieście wojewódzkim. Co istotne, są to jednostki, które zajmują się diagnostyką różnicową zaburzeń snu.

W mojej poradni neurologicznej jako lekarz zastanawiam się, czy zaburzenia snu u danego pacjenta mają charakter pierwotny, czyli nie towarzyszą jakiejś chorobie neurologicznej, czy wręcz przeciwnie, wynikają ze schorzenia neurologicznego lub neurodegeneracyjnego. Zaburzenia snu często są leczone także przez psychiatrów, którzy w diagnostyce różnicowej muszą uwzględniać lęki albo depresję. Leczymy się zatem w wielu miejscach, ale specjalistycznych ośrodków oferujących kompleksowe podejście jest niewiele. A najlepiej, gdyby była jeszcze możliwość badania polisomnograficznego, które zbliżałoby nas do rozpoznania, jak ten pacjent śpi i co w jego sposobie spania jest nieprawidłowe.

Jaka byłaby rada neurologa, aby noc była dobra?

– Chciałabym powiedzieć jedną rzecz, absolutnie najważniejszą: zasypianie jest odruchem. Niezależnie od tego, czy będziemy stosować melatoninę lub benzodiazepiny, nasz organizm prędzej czy później przywyknie do schematu stosowania leku nasennego. Powinniśmy sami pamiętać o tym, że najważniejsza jest higiena snu, a dopiero w sytuacji, kiedy zaburzenia snu są przewlekłe, warto zastosować terapię poznawczo-behawioralną. Musimy zmienić nasze zachowanie, przyzwyczajenia, ułożyć relacje z chrapiącym partnerem, a dopiero potem zastanawiać się nad sięgnięciem po lek.

Autoryzowany wywiad prasowy przygotowany przez Stowarzyszenie Dziennikarze dla Zdrowia w związku z prelekcją prof. dr hab. n. med. Moniki Białeckiej w trakcie XXIII Ogólnopolskiej Konferencji „Polka w Europie", zorganizowanej pod hasłem „Medycyna 2024 – leczyć bezpiecznie i efektywnie!", jesień 2024.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl d2b0a30df4

JOLKA

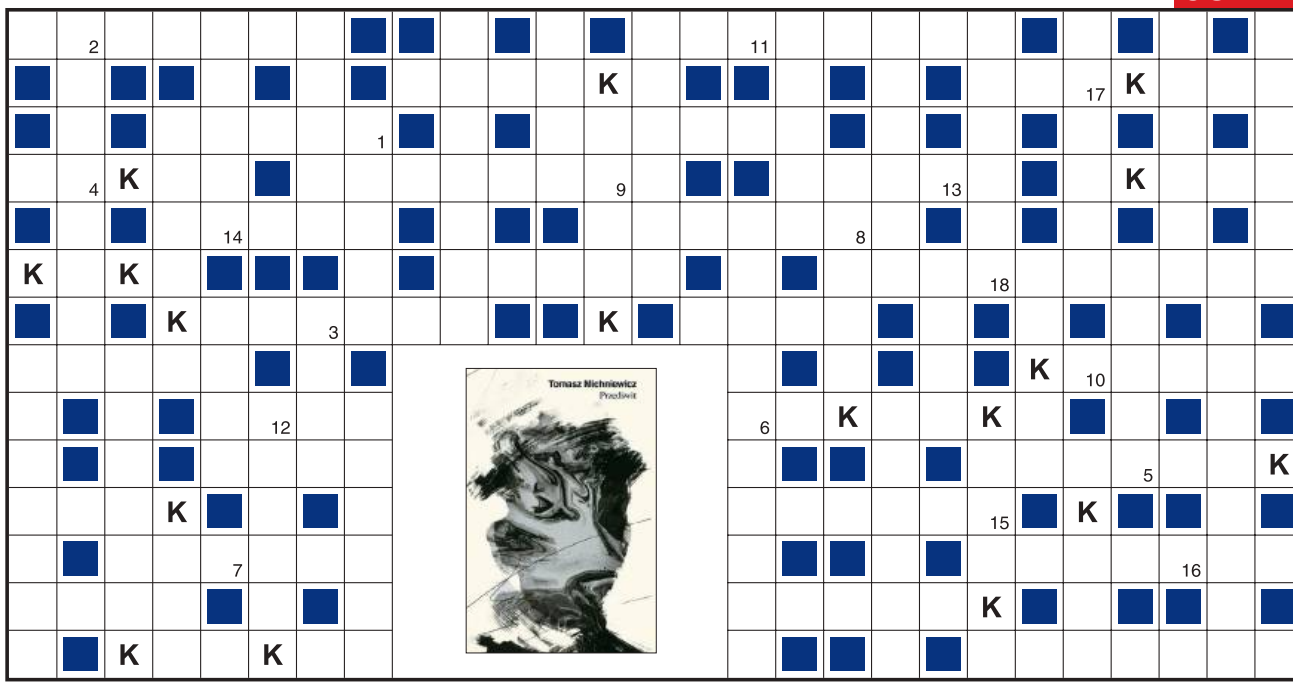

1	2	3	4	5	6	7

8	9	10	11	12	13

14	15	16	17	18

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 18 utworzą końcowe hasło.

- szpieg lub impresario
- roślina z morskiej toni
- stolica sąsiadki Tunezji i Maroka
- imię twórcy postaci wiedźmina Geralta
- święty od zgubionych rzeczy
- o Australii lub przeciwieństwie
- brat Artemidy
- lodowa kraina bez pingwinów
- domki letniskowe Rosjan
- demoralizacja, sprowadzenie z uczciwej drogi
- wielki kamień
- siła rozpędu, rozmach w działaniu
- „Dowód na… drugiego” Wojtyszki
- na kwaśne można kogoś stłuc
- o niskim, długim stoliku
- członek komisji konkursowej
- co w nim zatrzymane, to utrwalone na zdjęciu
- niewielkie, zwarte grono nie tylko Szkotów
- produkt odgazowania węgla kamiennego
- mokry ręcznik na czole
- zobaczyła go płynąca Wisła
- krótki sygnał w alfabecie Morse'a
- zbiórka do puszek
- ktoś bez fachowej wiedzy w danej dziedzinie
- gdy tłum wymierza karę
- potężny, stary król sawanny
- usychają na kartoflisku
- kłamanie w żywe oczy
- Dr. Glan (od buciorów)
- w niej w judaizmie rytualna kąpiel
- polecenie, któremu trzeba się podporządkować
- dodatek do zapłaty za jakąś usługę
- w nim w zdaniu np. wtrącenie
- skalny lub inflacyjny
- chrapy je okalają u konia
- uchodzi do Zalewu Szczecińskiego
- bezbarwna ciecz w ropie naftowej
- okrywanie lub chronienie
- zasiali go górale
- dziś częściej entuzjasta niż furiat
- wentyl w instrumentach dętych blaszanych
- gruby koc
- gdy czubki nart blisko, a pięty rozstawione
- zwielokrotnienie dźwięku
- akuszerka
- ojciec Hektora i Parysa
- zestawienie np. najlepszych uczelni
- okiem lub na taśmę
- diaskop
- instytucja nadzoru higieny
- zjazd biskupów
- łódź ratunkowa na statku
- wybitne uzdolnienie
- Józef Bem tam się urodził
- o cichej, lękliwej osobie
- Słoneczny lub hamulcowy
- trwanie przy swoim, nieustępliwość
- tak mówił szlachcic do szlachcica
- rzucik
- ropne zapalenie na palcu
- korek, spiętrzenie
- chaotycznie połączone różne elementy

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1203”. Do rozlosowania książki „Przedświt” ufundowane przez Wydawnictwo Otwarte. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 12 stycznia 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1200” z nr. 51: *Wielomowny rzadko słowny.* Nagrody otrzymują: Krystyna Bodetko z Żoch, Monika Malanowska z Warszawy, Joanna Sokolnicka-Ćwięk z Krakowa.

eprasa.pl d2b0a30df4

Witaj, Ambasado!

Wreszcie się doczekaliśmy. Już w piątek, 17 stycznia, odbędzie się otwarcie ambasady RP w Berlinie. Tym samym zakończy się trwający ponad 25 lat wielki wstyd.

MSZ zamierza zresztą uczynić z otwarcia wielką fetę. O tym, jak będzie to wyglądać, napomknął już rzecznik MSZ Paweł Wroński – ku uciesze pracujących w ministerstwie urzędników, których bawią tego typu śmieszne wypowiedzi. Otóż Wroński rzekł: „Ambasada w Berlinie to przedsięwzięcie wybitnie związane z ministrem Sikorskim, który je zaczął i za chwilę zakończy”.

Nic w tej wazelinie prawdziwe nie jest.

Przypomnijmy zatem, jak rzecz wyglądała.

Miejmy świadomość, że ambasada znajduje się w najbardziej reprezentacyjnym miejscu Berlina, przy Unter den Linden 70-72, ledwie 300-400 m od Bramy Brandenburskiej. Tę wspaniałą lokalizację zawdzięczamy socjalistycznej przyjaźni. Działkę o powierzchni 4,2 tys. m kw. Niemiecka Republika Demokratyczna podarowała w 1964 r. Polsce, która postawiła na niej biurowiec typu Lipsk. Konstrukcja długo jednak nie przeżyła. W latach 90. biurowiec technicznie nie nadawał się już do użytku, nie wspominając o estetyce. W 1997 r., w czasach koalicji AWS-UW, rozpisano więc konkurs na projekt nowej ambasady, której powierzchnia miała liczyć 800 m kw. Wygrała go pracownia BBK. Urzędnicy jednak doszli do wniosku, że w budynku powiny znaleźć się też Instytut Polski i powierzchnia wystawowa. Zlecono więc przeróbkę projektu do 1400 m kw. Ten został zaakceptowany przez dyrektora generalnego MSZ, i to on w roku 2000 zadecydował o budowie nowej siedziby. Polscy dyplomaci wyprowadzili się więc z Unter den Linden, a opuszczony budynek zaczął niszczeć i straszyć.

Tymczasem po zamachu na WTC 11 września 2001 r. wprowadzono nowe natowskie normy bezpieczeństwa, których projekt nie spełniał. MSZ zostało zatem z górą niepotrzebnych materiałów, za które musiało zapłacić, bagatela, 18,6 mln zł. Postanowiono więc wrócić do wariantu modernizacji starego budynku. Okazało się jednak, że remont będzie niewiele tańszy od budowy nowej siedziby. I sprawa znowu ugrzęzła. Nic w niej nie drgnęło w czasie kadencji Anny Fotygi. Po niej szefem MSZ został Radosław Sikorski. „Jestem przekonany, że w odróżnieniu od poprzedników nie będę potrzebował kolejnych 10 lat na zbudowanie ambasady w Berlinie”, grzmiał w Sejmie 7 maja 2008 r. Jego urzędnicy zapewniali, że ambasada zostanie otwarta w roku 2012. Jesienią 2012 r. Sikorski ogłosił, że… rozstrzygnięty został konkurs na jej projekt. I zaprezentował makietę. To o tym rozpoczęciu budowy opowiada obecny rzecznik.

Potem przyszło PiS. Minister Waszczykowski najpierw odrzucił przygotowany przez Sikorskiego projekt ambasady, a potem skierował do prokuratury zarzuty o niegospodarność. I zaczął szukać partnera, z którym MSZ mogłoby ambasadę zbudować. Bezskutecznie. 20 września 2017 r. premier Morawiecki zadecydował, że ambasadę zbudujemy sami. Po trzech latach od tej decyzji budowa ruszyła.

Czy zatem nam się to podoba, czy nie, to pisowski premier i pisowski dyrektor generalny MSZ odegrali w tej sprawie rolę największą. Choć pewnie na otwarcie budynku nie zostaną zaproszeni.

Nieważne. Ambasada jest piękna. Dla berlińczyków będzie symbolem idącej do przodu Polski. Tak jak przez poprzednie 25 lat strasząca rudera była symbolem Polnische Wirtschaft.

Attaché

Makijaż panny młodej przed ceremonią ślubną u bułgarskich Pomaków w wiosce Ribnovo. 29 grudnia 2024 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl d2b0a30df4

PENETRACJE

na szczycie

SEBASTIAN KAWA,
NAJWYBITNIEJSZY PILOT W HISTORII SZYBOWNICTWA

Nad K2 latałem pierwszy. Z Sebastianem Lampartem. Oficjalnie i w czystym stylu, bo 130 km z lotniska w Skardu pokonaliśmy bez użycia silnika. Wznosiliśmy się najpierw z wykorzystaniem zjawiska termiki, a potem zjawiska fali, przy wietrze wiejącym z prędkością 105 km/godz. Falę wywołała góra K1, czyli Maszerbrum (7821 m n.p.m.). To zjawisko rzeczywiście przypomina falę, która tworzy się za przeszkodą w wodzie. K1 pomogło nam więc wzlecieć nad K2 (8611 m n.p.m.). Wszyscy twierdzili, że to niemożliwe. Zwłaszcza nasi koledzy himalaiści. (…) Pod koniec, gdy poprawiła się widoczność, przeleciałem nad wierzchołkiem K2 trzy-cztery metry. Nawet zastanawiałem się, czy czegoś tam nie zrzucić, ale doszedłem do wniosku, że byłoby to chuligaństwo. Zaskoczyło nas to, jak mało śniegu jest na K2. Zachodnia ściana jest prawie w całości wytopiona. Zaskoczyła nas też temperatura, mieliśmy mnóstwo ubrań puchowych, kalesonów, ciepłych butów, a okazało się, że zupełnie niepotrzebnie. Mróz nie przekroczył 10 stopni. Chociaż zgodnie z prawidłowościami mógł sięgnąć minus 40.

TYGODNIK ANGORA

MAREK PALCZEWSKI,
MEDIOZNAWCA

Co ciekawe, z 15 nagród głównych w konkursie Grand Press tylko jedną uzyskała dziennikarka medium publicznego – Dominika Dębska z Polskiego Radia Białystok. Z TVP tylko jedna – Monika Meleń z TVP Kraków – została nominowana w kategorii reportaż telewizyjny. Tak duża firma z tak niską reprezentacją, a powód? Przypuszczam, że stało się tak dlatego, że TVP wciąż brakuje jednej bardzo ważnej cechy: żeby była publiczna, a nie rządowa. To rak, który od lat toczy tę instytucję i wciąż nie został uleczony, choć jest lepiej, niż było. Ale do ideału jeszcze daleko. Mam nadzieję, że w nowym roku doczekamy się wreszcie nowej ustawy medialnej. Że Rada Mediów Narodowych zniknie jako instytucja.

Twój STYL

ANDRZEJ CHYRA,
AKTOR

Wiele osób zostało wykluczonych nie dlatego, że sąd skazał ich prawomocnym wyrokiem, tylko że ktoś ich o coś pomówił. Niszczymy też autorytety. W erze PiS to był sposób na zerwanie tradycji kultury i myśli nowoczesnej Polski, co podchwyciły nowe pokolenia jako swoją szansę na wykoszenie tych starszych. A PiS dał nam wtedy Kaczyńskiego, Macierewicza, Rydzyka. Cyniczny i bezduszny paradygmat władzy za wszelką cenę. Zachęcam ludzi do myślenia. Zawsze będę bronił zdrowego rozsądku i szacunku dla ludzi, godności. Nie czekam z podkulonym ogonem, aż ktoś mi narzuci swoje poglądy, myśli i wzorce zachowań. (…) Twardo stąpam po ziemi. Nie spodziewam się wzniosłych rzeczy po ludziach. Piękne postawy i czyny traktuję jako bonus. I jestem wyrozumiały.

VIVA!

ALEKSANDRA KONIECZNA,
AKTORKA

Staram się. Po prostu doświadczam. A jeżeli doświadczam i dostaję w dupę, to też mi coś mówi. Uczy rozwiązań. Ja na maksa kombinuję. I analizuję. Życie bez analizy nie istnieje. Dzięki niej zyskuję coraz większą samodzielność. Ale to także prawda, że takie wieczne analizowanie bywa męczące. Jak wyczuwam natłok, nacisk i zmęczenie samą sobą i swoją analizą, to bardzo szybko umiem się teleportować do spa. Lubię reset i cały czas się go uczę. (…) Dla mnie bardzo ważne są drzewa. Najbardziej lubię sosny. Chciałabym kupić ziemię, na której będą rosły. Zbuduję tam maleńki domek.

FOT. SARKA FARKA (2), SEKCJA GIMNASTYCZNA, MEMY GORSZEGO SORTU

eprasa.pl d2b0a30df4

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

KSĄŻATBRAMWCASE

WISYTĘKNIIĘMCNIJ

UŚIEHPSJSTWGONE

ROZWIĄZANIA: KSIĄŻKA TO BRAMA W CZASIE, W CISZY TĘSKNI SIĘ MOCNIEJ, UŚMIECH PSA JEST W OGONIE

Aby język giętki…

ANDRZEJ SKWORZ
W APELU DO DZIENNIKARZY
Przypomnijmy władzy, że wciąż patrzymy jej na ręce, zamiast walczyć o Złotego Klakiera w plebiscycie o umizgi wobec niej.

AGATA PASSENT O LEWICY
A jaki jest pomysł na patriotyzm i propaństwowość lewicy? Jeden wieniec na grobie Daszyńskiego to żałość.

ROMAN GIERTYCH
O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM
Jest pokręconą osobowością. Z wielką inteligencją i wielkim poczuciem humoru. Ale lubi zło, lubi szukać zła w ludziach. Bo sam taki jest.

BOGDAN WAŁĘSA O RODZICACH
Trzy dni w tygodniu współpracuję z ojcem, wtorek i czwartek jestem u mamy. Codziennie rano robię jej zakupy.

PROF. JERZY BRALCZYK O LUCYNIE KIRWIL
Moja żona jest niezwykle atrakcyjna intelektualnie. Czuję się przy niej komfortowo.

MAGDALENA GRZEBAŁKOWSKA
O MARII KONOPNICKIEJ
Po śmierci poetki córki spaliły listy do matki od jej partnerki Marii Dulębianki.

MARCIN KYDRYŃSKI O TYM, KIM JESTEŚMY
Z nielicznymi wyjątkami – tłumem głupiejących z dnia na dzień hedonistów.

BOGNA SWOROWSKA O PLANACH
Planuję odnieść spektakularny międzynarodowy sukces w modelingu. Z dumą noszę siwe włosy i zmarszczki.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA
IZBA WYDAWCÓW PRASY
BIURO KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl d2b0a30df4

ALLOTOPIA. FOTOGRAFIA BAŚNIOWA

Dominika Mishka Klimczak

Dominika Klimczak (rocznik 1996), w mediach społecznościowych znana jako Mishka, z zawodu jest ilustratorką i projektantką graficzną. Fotografia baśniowa i fine art (wydruki artystyczne) są jej największą pasją. Wystawa „Allotopia" (gr. miejsce inne, odmienne) tworzy baśniową opowieść, fotografie są nastrojowe, romantyczne, pełne ukrytych znaczeń i symboli. Kreowanie tego świata to proces polegający na starannym wyborze scenerii, stworzeniu stylizacji, pracy z modelką, oświetleniem. Ostatni etap, postprodukcji, artystka definiuje tak: „Surowe zdjęcia traktuję jak niezamalowane płótno, któremu nadaję finalny i odrealniony kształt w programie komputerowym".

Miejska Galeria Sztuki w Częstochowie
al. Najświętszej Maryi Panny 64
do 2 lutego

FOT. MISHKA

eprasa.pl d2b0a30df4

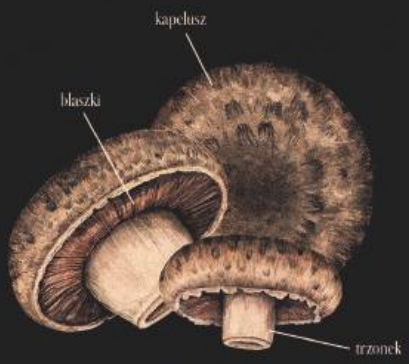

JOSIANE BALASKO

HÉLÈNE VINCENT

LUDIVINE SAGNIER

KIEDY NADCHODZI JESIEŃ

MFF SAN SEBASTIÁN NAJLEPSZY SCENARIUSZ NAJLEPSZA ROLA DRUGOPLANOWA · MFF LONDYN · MFF NAMUR · MFF TORONTO

REŻYSERIA FRANÇOIS OZON
(„8 KOBIET", „FRANTZ", „PODWÓJNY KOCHANEK")

napięcie, suspens, gęsta intryga

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

W KINACH OD 10 STYCZNIA 2025

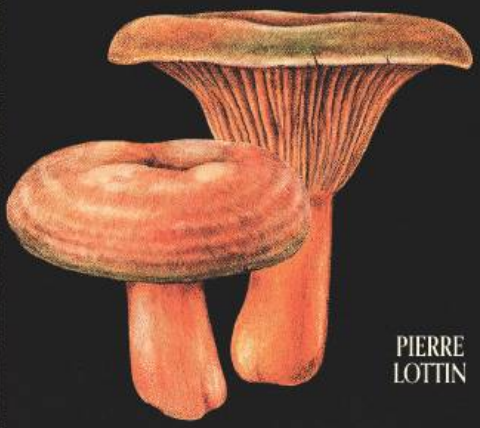

PIERRE LOTTIN

GARLAN ERLOS

eprasa.pl d2b0a30df4

GALERIA AUTORSKA ANDRZEJA MŁECZKI

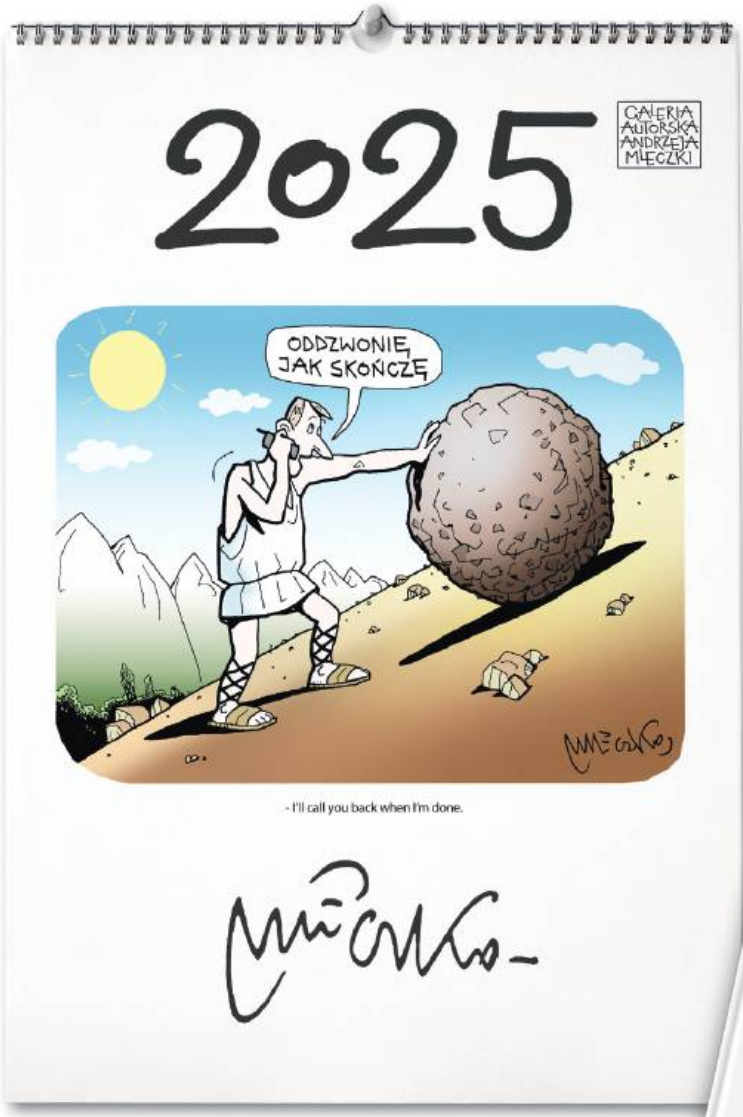

KALENDARZ ŚCIENNY

KALENDARZ BIURKOWY

NOWY ALBUM:
„ABYŚMY ZDROWI BYLI,
CZYLI JAK ŻYĆ EKOLOGICZNIE"

sklep.mleczko.pl

eprasa.pl d2b0a30df4